

UWIELBIENIE ŚW. FRANCISZKA (Lazzaro)

KALENDARZ FRANCISZKAŃSKI - 1949

Salve Regina

ZAWITAJ Królowo, Matko i Pani!
Zawitaj, o nasza Nadziejo!
Do Ciebie Adama synowie wygnani,
Z ziemskiego padołu, ze łzawej otchłani,
Wzywają i gorzkie łzy leją!

Nam serca obsiadły i kolce i ciernie,
I burze szaleją i gromy w nas biją;
Zwróć ku nam Twe oczy! O zwróć miłosiernie!
Pospiesz nam ku wsparciu, Maryo!

A owo po ziemskim wygnaniu tułaczym,
Gdy pójdziem na wieczność służebną gromadką,
Niech Jezus nad naszym zlituje się płaczem,
Ukaż nam Twe Dziecię, o Matko!...

Na łonie Jezusa, światłością odziani,
Odetchną strapieni, umarli ożyją.
Lecz módl się za nami, o Matko, o Pani!...
O, słodka Dziewico!... Maryo!...

Władysław Syrokomla

Kalendarz Franciszkański na Rok 1949



Z pozwoleniem władzy duchownej

Nakładem i Drukiem
Wydawnictwa OO. Franciszkanów — Pulaski, Wis.



Życzenia

PAN BÓG jeden zdoła ocenić wielkość przychylności ku nam ze strony łaskawych ludzi, rodaków naszych.

Pan Bóg też chyba jeden zdolen jest widzieć WDZIĘCZNOŚĆ NASZĄ i starania, by się im za tę polską przychylność i dobrodziejstwa odpłacić duchowo.

Zaręczając im wszystkim, że MODLITWY I PRACE w ich intencjach poświęcamy Bogu, pragniemy im wyrazić nasze najserdeczniejsze życzenia.

Wesołych Świąt
i obfitych a stałych błogosławieństw
od Dzieciątka Jezus.

OO. Franciszkanie z Pulaski.



Tyś Mi Nadzieją!

GDY smutku ciężar mą duszę przygniecie,
Kiedy trosk chmury oczy me zamroszą,
Gdy mi sieroco i pusto na świecie,
Do Ciebie, Jezu, zwracam się ochoczo
I, chociaż przez łzy, oczy me się śmieją:
Tyś mi nadzieją!

Gdy świat mię lodem straszliwym odpycha,
Kiedy mi brzydną jego uciech blaski,
Gdy jad spostrzegam na dnie ich kielicha,
Wyciągam ręce po Twe, Jezu, łaski,
Przed pokus i żądz złowrogą zawieją:
Tyś mi nadzieją!

Kiedy mię dręczą wyrzuty sumienia,
Gdy dawne grzechy stają mi w pamięci,
I rozpacz budzą przykre ich wspomnienia,
Twój Krzyż, Twe Serce otwarte mię nęci,
Wargi do kornej modlitwy się kleją:
Tyś mi nadzieją!

Boś Ty mym Zbawcą, boś Ty moim Bogiem!
Ty mię miłujesz i to mi wystarczy,
Nie odszedł próżno, kto przed Twym kląkł progiem...
Niech sobie szatan, jak pies wściekły warczy,
Niech życie płynie, jaką chce koleją,
Tyś mi nadzieją!

Ks. Mateusz Jeż

Na Rok 1949

ŚWIĘTA RUCHOME

Siedemdziesiątnica	13 lutego.
Zapustny wtorek	1 marca.
Środa Popielcowa	2 marca.
Niedziela Palmowa	10 kwietnia.
Wielki Piątek	15 kwietnia.
Wielkanoc	17 kwietnia.
Niedziela Przewodnia	24 kwietnia.
Dni Krzyżowe	23, 24, 25 maja.
Wniebowstąpienie Pańskie	26 maja.
Zielone Świątki	5 czerwca.
Świętej Trójcy	12 czerwca.
Boże Ciało	16 czerwca.
Serca Jezusowego	24 czerwca.
1 Niedziela Adwentu	27 listopada.

ŚWIĘTA OBOWIĄZUJĄCE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Każdy katolik, który przyszedł do używania rozumu, a któremu nie przeszkadza choroba lub inna jaka słuszna i ważna przyczyna, obowiązany jest wstrzymywać się od ciężkiej pracy i wysłuchać Mszy świętej w następujące dni świąteczne:

1. Wszystkie niedziele całego roku.
2. Nowy Rok 1 stycznia.
3. Wniebowstąpienie Pańskie 26 maja.
4. Wniebowzięcie N.M.P. 15 sierpnia.
5. Wszystkich Świętych 1 listopada.
6. Niepokalane Poczęcie Najśw. Maryi Panny 8 grudnia.
7. Boże Narodzenie 25 grudnia.

ŚWIĘTA PAŃSTWOWE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

1. Nowy Rok 1 stycznia.
2. Urodziny Washingtona 22 lutego.
3. Dzień Wieńczenia Grobów 30 maja.
4. Dzień Niepodległości 4 lipca.
5. Dzień Robotnika 5 września.
6. Dzień Krzysztofa Kolumba 12 paźdz.
7. Dzień Dziękczynienia 24 listopada.
8. Boże Narodzenie 25 grudnia.

SUCHE DNI W ROKU 1949

1. Pierwszy tydzień Wielkiego Postu, 9, 11 i 12 marca.
2. Tydzień Zielonych Świątek, 8, 10, i 11 czerwca.
3. Trzeci tydzień września, 21, 23, i 24 września.
4. Trzeci tydzień grudnia, 14, 16 i 17 grudnia.

PRZEPISY POSTU I WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI

Rozróżniamy dni **samej wstrzemięźliwości**, dni **samego postu** i dni **wstrzemięźliwości i postu zarazem.**

1. W dni **samej wstrzemięźliwości** każdy katolik od skończenia 7go roku życia jest zobowiązany wstrzymywać się od mięsa i rosołu mięsnego. Wszystkie inne pokarmy, nawet przyprawione tłuszczem mięsnym, są dozwolone. **Dniami samej wstrzemięźliwości są** wszystkie piątki roku (wyjąwszy piątki Wielkiego Postu i Suche Dni, które są zarazem dniami postu).

2. W dni **samego postu** każdy katolik, który już skończył 21szy rok życia, a jeszcze nie zaczął 60go roku życia,

może nie więcej jak tylko raz jeden (w południe lub wieczór) najeść się do sytości. Rano dozwolony jest kawałek chleba z kawą lub podobnym napojem, a wieczorem (lub w południe, jeśli główny posiłek bierze się wieczorem) można wziąść od 8 do 10 uncyj pokarmu, nie wliczając w to napoju. Mięso jest oczywiście dozwolonym przy głównym posiłku, lecz pokarmem posiłku rannego i wieczornego nie może być mięso ani rosół mięsny. **Dniami samego postu** są wszystkie dni Wielkiego Postu wyjąwszy Niedziele. W Stanach Zjednoczonych środy i piątki Wielkiego Postu są zarazem dniami wstrzemięźliwości.

3. W dni **postu i wstrzemięźliwości** katolicy pod nr. 1 zobowiązani są tylko do wstrzemięźliwości; ci, pod nr. 2 — do wstrzemięźliwości i do postu zarazem. **Dniami postu i wstrzemięźliwości są:** 1) Środa Popielcowa; 2) środy (zamiast soboty, według indultu na Amerykę Północną) i piątki Wielkiego Postu; 3) Wielka Sobota (do południa TYLKO), 4) Suche Dni; 5) Wigilie Bożego Narodzenia, Zielonych Świątek, Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny i Wszystkich Świętych. Postu nie przesuwa się na sobotę, jeżeli dzień wigilii przypada na niedzielę.

WYJĄTKI OD POSTU I WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI

1. Niedziela nie jest nigdy dniem postu, ani wstrzemięźliwości. Również poza czasem Wielkiego Postu, święta obowiązujące jak niedziela wykluczają obowiązek postu i wstrzemięźliwości.

2. Wyjęci są od prawa postu (ale nie zawsze od wstrzemięźliwości) chorzy, powracający do zdrowia, ci, którzy ciężko i wyczerpująco pracują, niewiasty w stanie błogosławionym, lub karmiące i których zdrowie mogłoby na tym ucierpieć.

3. Na mocy szczególnego indultu papieskiego udzielonego Biskupom Stanów Zjednoczonych robotnicy i ich familie mogą używać potraw mięsnych raz na dzień przy głównym posiłku w dni postu i wstrzemięźliwości przez cały rok, z wyjątkiem wszystkich piątków, wigilii Bożego Narodzenia, Środy Popielcowej, Środy Wielkiego Tygodnia i Wielkiej Soboty do południa.

4. Żołnierze Stanów Zjednoczonych w polu, czy w garnizonie mogą używać mięsnych potraw we wszystkie dni roku. z wyjątkiem Środy Popielcowej, Wielkiego Piątku, Wielkiej Soboty do południa, wigilii Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny i wigilii Bożego Narodzenia.

5. Używanie ryby i mięsa przy tym samym posiłku jest dozwolone.

Proboszczowie mają prawo udzielania dyspens od wstrzemięźliwości i postu. Do nich zatem w wątpliwych wypadkach należy się udawać.

CZASY ZAKAZANE

w których małżeństw uroczyście sprawować nie wolno i w których wypada wstrzymywać się od hucznych zabaw

1. Od pierwszej niedzieli Adwentu do Bożego Narodzenia włącznie.

2. Od Środy Popielcowej do niedzieli Wielkanocnej włącznie.

ABSOLUCJA GENERALNA

(Dla Tercjarzy)

W styczniu 1, 6
W lutym 2
W marcu 4, 19, 25
W kwietniu 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17
W maju 26
W czerwcu 5, 12, 16, 24, 29
W lipcu 2
W sierpniu 12, 15, 25, 27
W wrześniu 8, 17
W październiku 4
W listopadzie 1, 19, 21, 25
W grudniu 8, 25

SKRÓCENIA W KALENDARZU

Litery A.G. oznaczają: Absolucja Generalna dla członków III Zakonu świętego Franciszka; litery zaś O.Z. oznaczają: Odpust zupełny dla członków III Zakonu.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	**S**	**Obrzezanie P.J. (Nowy Rok)**	Obrzezanie P. Jezusa. (A.G.,O.Z.)

Niedziela 1-sza po Nowym Roku — Ew.: O Imieniu Jezus (Łuk. 2)

2	**N**	**Najśw. Imienia Jezus.**	BB. Bentiwol i Gerard, I Z. (O.Z.)
3	P	Ś. Genowefy p.	Hortulana, wdowa.
4	W	Ś. Tytusa; Eugeniusza M.	Aniela, wd., III Zak. (O.Z.)
5	Ś	Ś. Szymona Słupnika.	Juniper, I Zakonu.
6	**C**	**ŚŚ. Trzech Króli.**	Antoni z Pag., I zak. (A.G.,O.Z.)
7	P	Ś. Łucjana. M.	Adolf; Ardolf, mm., I Zak.
8	S	Ś. Seweryna, Biskupa.	Jan z Bentiwenga, I Zak.

Niedz. 1 po Trzech Król.—Ew.: 12-letni Jezus naucza w Świątyni (Łk. 2)

9	**N**	**Rodziny Świętej;** Ś. Juliana.	Andrzej ze Spoleto, m., I Zak.
10	P	Jana Dobrego; S. Wilhelma.	Katarzyna austriacka, dz., II Zak.
11	W	Ś. Hygina; Honorata.	Maria z Morl, dz., III Zak.
12	Ś	Ś. Arkadiusza, M.	Łucja z Wenecji, dz., III Zak.
13	C	Ś. Weroniki.	Henryk z Rondineli, III Zak.
14	P	Ś. Hilarego B-W-D-K.	Odoryk; Roger; Idzi, I Zak. (O.Z.)
15	S	Ś. Pawła, pustelnika.	Franciszek Ziriana, m., I Zak.

Niedz. 2-ga po Trzech Królach — Ew.: Gody w Kanie Galilejskiej (Jan 2)

16	N	Ś. Marcelego, Papieża i M.	Berard i tow., mm., I Zak. (O.Z.)
17	P	Ś. Antoniego, Opata.	Laurenty z Rewala, I Zak.
18	W	**Stol. św. Piotra w Rzymie**	Mikołaj z Molinari, I Zak.
19	Ś	Ś. Kanuta, Króla.	Tomasz, Karol i Bernard, (O.Z.)
20	C	ŚŚ. Fabiana i Sebast. MM.	
21	P	Ś. Agnieszki, M.	
22	S	ŚŚ. Wincent. i Anast. MM.	Jan z Monte Korwino, I Zak.

Niedz. 3-cia po Trzech Królach — Ew.: Uzdrowienie trędowatego (Mat. 8)

23	**N**	**Zaślub. N.M.P.;** Ś. Rajmunda.	Albert z Tizy, I Zak.
24	P	Ś. Tymoteusza, Bisk. i M.	Paweł de Ambrosi, III Zak.
25	W	**Nawrócenie Pawła św.**	Franciszek z Gizy, I Zak.
26	Ś	Ś. Polikarpa, B-M.	Jezuld z Reggio, I Zak.
27	C	Ś. Jana Złotoustego, B-W-D.	Bł. Idzi, I Zak.
28	P	Ś. Piotra z Nolasko.	Franciszek z Laur., m., I Zak.
29	S	Ś. Franciszka Sal., B-W-D.	Krystyna Królew., III Zak.

Niedziela 4-ta po Trzech Królach — Ew.: Burza na morzu (Mat. 8)

30	N	Ś. Martyny Panny i Męcz.	Hyacinta, dz., III Zak. (O.Z.)
31	P	Ś. Jana Bosco.	Bł. Ludwika i Paula, III Z. (O.Z.)



KALENDARZ RZYMSKI			KALENDARZ SERAFICKI
1	W	Ś. Ignacego, Biskupa, M.	Bł. Eustochia i Werid, II i III Zak.
2	**Ś**	**Matki Boskiej Gromnicznej.**	14 Męczen. z Pragi (A.G.,O.Z.)
3	C	Ś. Błażeja, B-M.	Bł. Mateusz b., I Zak.
4	P	Ś. Andrzeja Kors., B.	Józef z Leonissy, W., I Z. (O.Z.)
5	S	Ś. Agaty, Panny, Męcz.	Męcz. Japońsk., I i III Zak. (O.Z.)

Niedz. 5=ta po Trzech Królach — Ew.: O kąkolu między pszenicą (Mat. 13)

6	N	ŚŚ. Tytusa, B.; Doroty, M.	
7	P	Ś. Romualda, Opata.	BB. Rizzier, Idzi, Antoni, I Zak.
8	W	Ś. Jana z Maty.	
9	Ś	Cyryla Aleks., B-W-D.	Jakób ze Setesoli, III Zak.
10	C	Ś. Scholastyki, Panny.	Lilia od Krzyża, dz., III Zak.
11	**P**	**Matki Boskiej z Lurd.**	Maria Fidelis, dz., III Zak.
12	S	ŚŚ.7 Założycieli Serwitów.	Anioł Tankredi, I Zak.

Niedziela Starozapustna — Ew.: O Robotnikach w Winnicy (Mat. 20)

13	N	Ś. Katarzyny z Ricci.	Bł. Jan, m., I Zak.
14	P	Ś. Walentego, Męcz.	Bł. Joanna Val., wd., III Zak.
15	W	ŚŚ. Faustyny i Jowity, MM.	Bł. Andrzej, W., I Zak. (O.Z.)
16	Ś	Ś. Julianny, Panny, Męcz.	Bł. Filipa, dz. II Zak.
17	C	Ś. Juliana Kapad.	Bł. Łukasz, w., I Zak.
18	P	Ś. Symeona, B.M.	Barnaba z Terni I Zak.
19	S	Ś. Konrada, W.	Konrad, w., III Zak. (O.Z.)

Niedziela Mięsopustna — Ew.: Przypowieść o siewcy (Łuk. 8)

20	N	Ś. Leona, Bisk.	Bł. Piotr, w., I Zak.
21	P	Ś. Feliksa, Bisk.	Jordan Mai, I Zak.
22	W	**Stolicy Ś. Piotra w Antiochji.**	Małgorzata z Kort., III Z. (O.Z.)
23	Ś	Ś. Piotra Damiana, B-D.	Korneliusz z Lierisse, I Zak.
24	C	**Ś. Macieja, Apostoła.**	Tomasz, w., I Zak.
25	P	Ś. Tarazjusza; Wiktora, m.	Sebastian, w., I Zak.
26	S	Ś. Aleksandra, m.; Anastazji.	Bł. Izabela, dz., II Zak.

Niedz. Zapustna — Ew.: Zapowiedzenie męki. Uzdrowienie ślepego (Łk.18)

27	N	Gabriela od M.B. Boles., W.	
28	P	Ś. Romana, Opata.	Bł. Antonia, III Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	W	Ś. Albina, Biskupa.	
2	Ś	**Popielec.** Ś. Pawła, M.	Bł. Agnieszka, dz., II Zak.
3	C	Ś. Kunegundy, Cesarzowej.	Liberat i tow., mm., I Zak.
4	P	Ś. Kazimierza, Kr. Polski.	**Tajemnic Drogi Krzyż.** (A.G.,O.Z.)
5	S	Ś. Fryderyka, Wyznawcy.	Jan Józef, I Zak. (O.Z.)
Niedziela 1-sza Postu — Ew.: O kuszeniu Pana Jezusa (Mat. 4)			
6	N	ŚŚ. Perpetuy i Felic., MM.	Koleta, dz., II Zak. (O.Z.)
7	P	Ś. Tomasza z Akw., W-D.	Maria Klotylda, III Zak.
8	W	Ś. Jana Bożego.	Antoni z Kartag., I Zak.
9	Ś	**Suche Dni.** Ś. Franciszki.	Katarzyna z Bol., II Zak. (O.Z.)
10	C	ŚŚ. 40 Męczen. z Sebaste.	Piotr z Katanii, I Zak.
11	P	**Suche Dni.** Ś. Sofroniusza.	Bł. Jan i Krzysztof, I Zak.
12	S	**Suche Dni.** Ś. Grzegorza.	Franciszek Gonzag., I Zak.
Niedziela 2-ga Postu — Ew.: O Przemienieniu Pana Jezusa (Mat. 17)			
13	N	Ś. Krystyny, P-M.	Bł. Agnellus, I Zak.
14	P	Ś. Matyldy, Królowej.	Przeniesienie św. Bonawentury
15	W	Ś. Klemensa Dworzaka.	**Rozpoczęcie 13 Wtork. do Ś. Ant.**
16	Ś	Ś. Cyriaka, Męcz.	Rodiger, I Zak.
17	C	Ś. Patrycjusza, Biskupa.	Paula z Malatest., II Zak.
18	P	Ś. Cyryla z Jeroz., B-D.	Bł. Salwator, I Zak. (O.Z.)
19	S	**Ś. Józefa, Oblub. N.M.P.**	**Józef, Oblub. N.M.P.** (A.G.,O.Z.)
Niedziela 3-cia Postu — Ew.: Jezus wyrzuca czarta (Łuk. 11)			
20	N	Ś. Eufemii, Męcz.	Jan; Marek; Hipolit, I i III Zak.
21	P	Ś. Benedykta, Opata.	
22	W	Ś. Katarzyny Szwedzkiej.	Benwenuty, I Zak. (O.Z.)
23	Ś	Ś. Feliksa, męcz.	Bł. Jan Baptysta, I Zak.
24	C	Ś. Gabrjela, Archanioła.	Bł. Jeremi, III Zak.
25	P	**Zwiastowanie N.M.P.**	Joanna od Krzyża. (A.G.,O.Z.)
26	S	Ś. Teodora, Biskupa.	Bł. Dydak Józef, I Zak. (O.Z.)
Niedziela 4-ta Postu — Ew.: Cudowne rozmnożenie chleba (Jan 6)			
27	N	Ś. Jana Damasc., D-K.	Andrzej ze Sieny, I Zak.
28	P	Ś. Jana Kapistrana.	Jan Kapistran, W., I Zak. (O.Z.)
29	W	Ś. Eustazjusza, Opata.	Bł. Joanna Maria, wd., III Zak.
30	Ś	Ś. Jana Klimaka.	Piotr Regalat, I Zak. (O.Z.)
31	C	Ś. Balbiny P.; Ś. Benjamina.	Henryk Thyneu, I Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	P	Ś. Hugona, Biskupa.	Cezariusz, I Zak.	
2	S	Ś. Franciszka z Pauli.	Bł. Leopold, I Zak.	

Niedziela Pasyjna — Ew.: Żydzi chcą ukamienować Jezusa (Jan 8)

3	N	Ś. Ryszarda.	Bł. Gandulf; Jan, I Zak.	
4	P	Ś. Izydora.	Benedykt Maur, I Zak.	(O.Z.)
5	W	Ś. Wincentego Fer.	Elżbieta de Rota	
6	Ś	Ś. Celestyna.	Maria Krescen., III Zak.	
7	C	Bł. Hermana Józefa.	Bł. Wilhelm, III Zak.	
8	P	**Siedmiu Boleści N.M.P.**	Bł. Julian, I Zak.	
9	S	Ś. Marji Egipcjanki.	Bł. Tomasz, m., I Zak.	

Niedziela Palmowa — Ew.: Wjazd Jezusa do Jerozolimy (Mat. 21)

10	N	Ś. Apolonjusza.	Bł. Marek, I Zak.	(A.G.)
11	P	Ś. Leona I., Pap., W-D-K.	Bł. Assumpta, III Zak.	(A.G.)
12	W	Ś. Juljusza, Papieża.	**Rozpocz. 9 Wtork. Ś. Ant.**	(A.G.)
13	Ś	Ś. Hermenegilda.	Bł. Rudolf, I Zak.	(A.G.)
14	C	**W. Czwartek.** Ś. Epifanjusza.	Pika, matka Ś. Franciszka.	(A.G.)
15	P	**Wielki Piątek.** Ś. Dionizego.	Bł. Anna, III Zak.	(A.G.)
16	S	**Wielka Sobota.** Ś. Bernadetty.	**Profesja Ś. Franciszka.**	(A.G.,O.Z.)

Niedziela Wielkanocna — Ew.: O zmartwychwstaniu Pana Jezusa (Mar.16)

17	N	**Wielkanoc.** Ś. Ezechjela, Pr.	Paweł Heath, m., I Zak.	(A.G.)
18	P	Ś. Amideusza.	Bł. Andrzej, I Zak.	
19	W	Ś. Pafnucego, M.	Bł. Konrad, I Zak.	
20	Ś	Ś. Feliksa, Męcz.	Gundisalw, I Zak.	
21	C	Ś. Anzelma, B-D-K.	Konrad z Parzham, I Zak.	(O.Z.)
22	P	ŚŚ. Sotera i Kajusa, MM.	Bł. Franciszek Fabrycjusz, I Zak.	
23	S	Ś. Wojciecha, biskupa, męcz.	Bł. Idzi, I Zak.	

Niedz. Przewodnia (1 po Wielk.) — Ew.: O niewiernym Tomaszu (Jan 20)

24	N	Ś. Fidelisa z Singm., Męcz.	Fidelis, m., I Zak.	(O.Z.)
25	P	**Ś. Marka Ewangelisty.**	Karol Monteone, I Zak.	
26	W	**N. Marji P. Dobrej Rady.**	Jan Massacio, I Zak.	
27	Ś	Ś. Piotra Kan.; Ś. Zyty.	Bł. Jakób, III Zak.	
28	C	Ś. Pawła od Krzyża	**Bł. Luchezjusz, Iszy Terc.**	(O.Z.)
29	P	Ś. Piotra z Werony, Męcz.		
30	S	Ś. Katarzyny ze Sieny.	Józef Benedykt, Cot., III Zak.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
		Niedziela 2=ga po Wielkanocy — Ew.: O dobrym pasterzu (Jan 10)		
1	N	**ŚŚ. Filipa i Jakóba, Ap.**	Przeniesienie Ś. Elżbiety.	
2	P	Ś. Atanazego, B-D-K.	Tomasz z Berg., I Zak.	
3	W	Znalezienie św. Krzyża.	Aleksander i Tow, mm.	
4	Ś	**Opieki Ś. Józefa, Patr. Koś.**	Filip z Akwili, I Zak.	(O.Z.)
5	C	Ś. Piusa V, Pap.	Juta z Kulmsee, III Zak.	
6	P	Ś. Jana w Oleju.	Illuminat z Assyżu, I Zak.	
7	S	Ś. Stanisława, B.M.	Jan ze Stroncone, I Zak.	
		Niedziela 3 po Wielkanocy — Ew.: Maluczko, a nie ujrzycie mnie (Jan 16)		
8	N	Zjawienie się Michała Arch.	Szymon Fil., I Zak.	
9	P	Ś. Grzegorza z Naz., D-K.	Bernardyn z Busti I Zak.	
10	W	ŚŚ. Antonina, B.; Izydora, Or.		
11	Ś	Ś. Franciszka de Hieron.	Benedykt, Julian, Jakób,	(O.Z.)
12	C	ŚŚ. Nereusza i Achilesa.		
13	P	Ś. Roberta Bellarmina.	Piotr Regis, I Zak.	
14	S	Ś. Bonifacego, M.	Bł. Petronela,p., II Zak.	
		Niedziela 4=ta po Wielkanocy — Ew.: O odejściu do Ojca (Jan 16)		
15	N	Ś. Jana Baptysty de la Salle.	Bł. Klemens, m., I Zak.	
16	P	Ś. Andrzeja Boboli.	Jan i Piotr, mm.	
17	W	Ś. Paschalisa Baylon.	Paschalis, I Zak.	(O.Z.)
18	Ś	Ś. Wenancjusza, Męcz.	Feliks Kant., I Zak.	(O.Z.)
19	C	Ś.Piotra Celestyna.	Teofil, Iwo, I i III Zak.	(O.Z.)
20	P	Ś. Bernardyna z Sieny.	Bernardyn, I Zak.	(O.Z.)
21	S.	Ś. Feliksa, ŚŚ. Tym. i Tow.	Wład., Kryspin, Wiwald	(O.Z.)
		Niedziela 5=ta po Wielkanocy — Ew.: O prawdziwej modlitwie (Jan 16)		
22	N	Ś. Ryty.	Bł. Jan Forest i tow., mm., I Zak.	
23	P	**Dni Krzyż.** Ś. Dezyderjusza.	Bartol, Benwenuty, Gerard.	
24	W	**Dni Krzyż. N.M.P. Wspom. W.**	Jan Prado; Jan Cet.; Piotr, m., I Z.	
25	Ś	**Dni Krzyż.** Ś. Grzegorza VII.	Przeniesienie Ś. Franciszka.	
26	C	**Wniebowstąpienie P. Jezusa.**	Bł. Maria Anna, III Z.	(A.G.,O.Z.)
27	P	Ś. Bedy, B-D-K.	Maria z Agredo, II Zak.	
28	S	Ś. Augustyna.		
		Niedz. 6 po Wielkanocy — Ew.: O obietnicy zesłania Ducha Św. (Jan 15)		
29	N	Ś. Magdaleny de Pazzi.	Stefan i Rajmund, mm. I Zak.	
30	P	Ś. Joanny z Arc.	Ferdynand, Król, III Zak.	(O.Z.)
31	W	Ś. Anieli Merici.	**Najśw. M.P. Pośredniczki Łask.**	



KALENDARZ RZYMSKI			KALENDARZ SERAFICKI
1	Ś	Ś. Jakóba Strepy.	Aniela Merici, p., III Zak. (O.Z.)
2	C	ŚŚ. Sadoka i Towarz.	Herkulan, Feliks, Jan, (O.Z.)
3	P	Ś. Klotyldy Królowej.	Bł. Andrzej ze Spoleto, I Zak.
4	S	Ś. Franciszka Car. **Wigilia.**	

Niedziela Zielonych Świątek — Ew.: O zesłaniu Ducha św. (Jan 14)

5	N	**Zielone Świątki.**	(A.G.)
6	P	Ś. Norberta, B.	Alojzy od Krzyża, I Zak.
7	W	Ś. Roberta, Op.	Bł. Humiliana, wd., III Zak.
8	Ś	**Suche Dni.** Ś. Medarda.	Bł. Baptysta, II Zak.
9	C	ŚŚ. Pryma i Felicjana, MM.	Bł. Pacyfik; Wawrzyniec, I Zak.
10	P	**Suche Dni.** Ś. Małgorzaty, Kr.	Generosa z Trem., II Zak.
11	S	**Suche Dni. Ś. Barnaby, Apost.**	Roger Bacon, I Zak.

Niedz. 1 po Ziel. Ś. (Ś. Trójcy) — Ew.: O władzy nadanej Chrys. (Mat. 28)

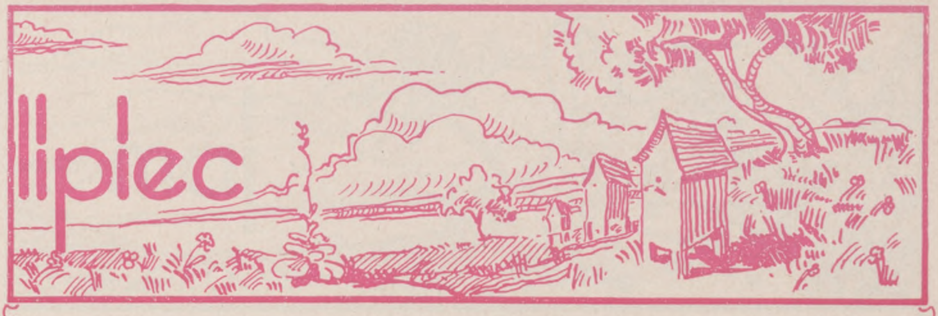
12	N	**Urocz. Trójcy Przenajśw.**	Floryda, dz., II Zak. (A.G.,O.Z.)
13	P	**Ś. Antoniego z Padwy.**	**Antoni z Padwy, W.D.K., I Zak.**
14	W	Ś. Bazylego Wielkiego, B.W.	Jan Zumar, I Zak.
15	Ś	ŚŚ.Wita i Modesta, męcz.	Bł. Jolanta, wd., II Zak.
16	C	**Boże Ciało.**	Bł. Gwidon, I Zak. (A.G.,O.Z.)
17	P	Ś. Marcjana, M.; Ś. Adolfa.	Andrzej z Borgo, I Zak.
18	S	Ś. Efrema, diak., D-K.	Jan z Alb., I Zak.

Niedz. 2 po Ziel. Świąt. — Ew.: O wezwaniu na wielką ucztę (Łuk. 14)

19	N	S. Juljanny.	Bł. Cecylia Janelli, p., III Zak.
20	P	Ś. Sylwerjusza.	Bł. Michalina, wd., III Zak. (O.Z.)
21	W	Ś. Alojzego Gonzagi, W.	Anioł Klar., I Zak.
22	Ś	Ś. Paulina Biskupa.	Leonard Golici, III Zak.
23	C	Ś. Zenona, Męcz.	Józef Cafasso, w., III Zak.
24	P	**Najsł. Serca Jezusowego.**	**Poświęcenie się Ser. J.** (A.G.,O.Z.)
25	S	**Narodzenie Ś. Jana Chrz.**	Daniel i Tow., mm., I Zak. (O.Z.)

Niedz. 3 po Ziel. Świąt. — Ew.: O zgubionej owcy i o groszu (Łuk. 15)

26	N	ŚŚ. Jana i Pawła, MM.	Sancja Martinez, III Zak.
27	P	**M.B. Nieust. Pomocy.**	Bł. Benwenuty z Gub., I Zak.
28	W	Ś. Ireneusza, Biskupa.	Jan Chrzciciel, III Zak.
29	Ś	**ŚŚ. Piotra i Pawła, Ap.**	Urakki Rodr., III Zak. (A.G.,O.Z.)
30	C	Wspomnienie Ś. Pawła.	Rolanda, III Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	P	**Przenajśw. Krwi P. Jezusa.**	**Przenajśw. Krwi P. Jezusa.**
2	S	**Nawiedzenie N.M.P.**	Janina, wd., III Zak. (A.G.,O.Z.)

Niedz. 4 po Ziel. Świąt. — Ew.: O obfitym połowie ryb (Łuk. 5)

3	N	Ś. Leona II, P.; Anatola.	Małgorzata od Krzyża, II Zak.
4	P	Ś. Teodora B.; Ś. Berty.	Bł. Rajmund, M., III Zak.
5	W	Ś. Antoniego Mar. Zac.	Eliasz de Bour., I Zak.
6	Ś	Ś. Łucji M.; Ś. Tomasza Mor.	Tomasz Morus, M., III Zak.
7	C	ŚŚ. Cyryla i Metodego.	Michał an. z Neap., I Zak.
8	P	Ś. Elżbiety Portugalskiej.	Elżbieta Port., wd., III Z. (O.Z.)
9	S	Weroniki de Julianis.	Mikołaj i tow. Gorkom. (O.Z.)

Niedz. 5 po Ziel. Świąt. — Ew.: O sprawiedliwości faryzeuszów (Mat. 5)

10	N	ŚŚ. 7 Braci Męczenników.	Bł. Emmanuel i Tow., m., I Zak.
11	P	Ś. Piusa I, Papieża.	Weronika Guil., p., II Zak. (O.Z.)
12	W	Ś. Jana Gwalberta.	Bernard Kw., I Zak.
13	Ś	Ś. Anakleta, Papieża.	Franciszek Sol., I Zak. (O.Z.)
14	C	Ś. Bonawentury, D-K.	Bonawentura, B.D.K., I Z. (O.Z.)
15	P	Ś. Henryka, Cesarza.	**Grobu Chrystusowego.**
16	S	**Matki B. Szkaplerznej.**	**Kanonizacja Ś. Franciszka.**

Niedz. 6 po Ziel. Świąt. — Ew.: O nakarmieniu 4,000 ludzi (Mar. 8)

17	N	Ś. Aleksego, Wyznawcy.	Marja Magdal., III Zak.
18	P	Ś. Kamila z Lellis.	Teotim, m., I Zak.
19	W	Ś. Wincentego a Paulo.	Antoni Br., m., I Zak.
20	Ś	Bł. Czesława; Ś. Małgorzaty.	Henryk Har., I Zak.
21	C	Ś. Praksedy, Panny.	Bł. Angelina, wd., III Zak.
22	P	Ś. Marji Magd., Pokutnicy.	Marja Magd., Pokutnica.
23	S	Ś. Apolinarego, B-M.	Wawrzyniec z Brund., I Z. (O.Z.)

Niedz. 7 po Ziel. Świąt. — Ew.: O fałszywych prorokach (Mat. 7)

24	N	Bł. Kingi, Kr.; Ś. Krystyny.	Bł. Kunegunda, p., II Zak.
25	P	**Ś. Jakóba, Apostoła.**	Ludwik, m., I Zak.
26	W	**Ś. Anny, Matki N.M.P.**	Modestyn, I Zak. (O.Z.)
27	Ś	Ś. Pantaleona, Męcz.	Bł. Maria Magd., p., II Z. (O.Z.)
28	C	ŚŚ. Nazarjusza i Tow.	Bł. Wawelon, III Zak.
29	P	Ś. Marty Panny.	
30	S	ŚŚ. Abdona i Sennena, MM.	Szymon, Piotr, Archanioł, w., I Z.

Niedz. 8 po Ziel. Świąt. — Ew.: O niesprawiedliwym włodarzu (Łuk. 16)

31	N	Ś. Ignacego Loyola.	Maria Huber, III Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	P	Ś. Piotra w okowach.	Jan de Piano, I Zak.
2	W	**M.B. Anielskiej;** Ś. Alfonsa.	**Odpust Porcjunkuli.**
3	Ś	Znalez. Ś. Szczepana.	Tomasz Bel., m., I Zak.
4	C	Ś. Dominika, Wyzn.	Ś.O. Dominik, W.
5	P	**Matki B. Śnieżnej.**	Bł. Cichy, III Zak.
6	S	**Przemienienie Pańskie.**	Antoni Marg., I Zak.

Niedz. 9 po Ziel. Świąt. — Ew.: O zburzeniu Jerozolimy (Łuk. 19)

7	N	Ś. Donatusa; Ś. Kajetana.	Agatangel i Kasjan, I Z. (O.Z.)
8	P	ŚŚ. Cyrj., Larga, Smarag.	Wincenty z Akwinu, III Zak.
9	W	Ś. Jana Vianney.	Jan Marja Vianney, III Z. (O.Z.)
10	Ś	Ś. Wawrzyńca, Męcz.	Amade ze Silwy, I Zak.
11	C	Ś. Zuzanny, Panny.	Bł. Ludwika, wd., II Zak.
12	P	Ś. Klary, Panny.	Klara, dz., II Zak. (A.G.,O.Z.)
13	S	ŚŚ. Hipolita i Kasjana, M.	Jan; Wincenty; Nowelon, I i III Z.

Niedz. 10 po Ziel. Świąt. — Ew.: O faryzeuszu i celniku (Łuk. 18)

14	N	Ś. Euzebiusza, B.	Bł. Sanktes i Franciszek, I i III Z.
15	P	**Wniebowzięcie N.M.P.**	**Wniebowz. N.M.P.** (A.G.,O.Z.)
16	W	**Ś. Joachima, ojca N.M.P.**	Marek z Asyżu, I Zak. (O.Z.)
17	Ś	Ś. Jacka, Wyzn.	Roch, III Zak. (O.Z.)
18	C	Ś. Heleny Cesarzowej.	Beatryca i Paula, dz., II Zak.
19	P	Ś. Ludwika z Tuluzy.	Ludwik, b., I Zak. (O.Z.)
20	S	Ś. Bernarda, Opata, D-K.	Liwin, m., I Zak.

Niedz. 11 po Ziel. Świąt. — Ew.: O uzdrowieniu głuchoniemego (Marek 7)

21	N	Ś. Joanny Fr. de Chantal.	Aleksander z Hales, I Zak.
22	P	**Niep. Serca N.M.P.**	**Niep. Serca N.M.P.**
23	W	Ś.Filipa Benicjusza.	Anioł z Par., I Zak.
24	Ś	**Ś. Bartłomieja, Apostoła.**	Agnieszka St., II Zak.
25	C	Ś. Ludwika, Króla franc.	**Ludwik, kr. Pat., III Z.** (A.G.,O.Z.)
26	P	**M.B. Częstochowskiej.**	Tymoteusz i Bernard, I Zak.
27	S	Ś. Józefa Kalasantego.	**7 Radości N.M.P.** (A.G.,O.Z.)

Niedz. 12 po Ziel. Świąt. — Ew.: O miłosiernym Samarytaninie (Łuk. 10)

28	N	Ś. Augustyna, B-D-K.	Louiza, dz., II Zak.
29	P	Ścięcie Ś. Jana Chrzciciela.	Ludwik Sot., m., I Zak.
30	W	Ś. Róży Limańskiej.	Benedykt z Ar., I Zak.
31	Ś	Ś. Rajmunda Nonnata.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	C	Ś. Idziego; Bronisławy.	Jan i Piotr, MM., I Zak.
2	P	Ś. Stefana, Króla.	Jan; Franc.; Apolinary; Seweryn.
3	S	Ś. Szymona Słupnika.	

Niedz. 13 po Ziel. Świąt. — Ew.: O dziesięciu trędowatych (Łuk. 17)

4	N	Ś. Rozalii, Panny.	Róża z Witerbo, III Zak. (O.Z.)
5	P	Ś. Wawrzyńca Justyn.	Bł. Gentilis, m., I Zak.
6	W	Ś. Zacharjasza, Proroka.	Liberat i Peregryn, I Zak.
7	Ś	Bł. Melchjora G.; Ś. Reginy.	Jan Tisserond. I Zak.
8	C	**Narodzenie N. Maryi P.**	Michał i Tow., I Zak. (A.G.,O.Z.)
9	P	Ś. Piotra Klawera.	Serafina, wd., II Zak.
10	S	Ś. Mikołaja z Tolentynu.	Apolinary i Tow., m., I i III Zak.

Niedz. 14 po Ziel. Świąt. — Ew.: O służeniu Bogu i mamonie (Mat. 6)

11	N	ŚŚ. Prota i Jacka, MM.	Bonawentura, W., I Zak.
12	P	**Najśw. Imienia Maryi.**	Piotr Bar., I Zak.
13	W	Ś. Filipa, Męcz.	Franciszek z Cald., I Zak.
14	Ś	**Podwyższenie Św. Krzyża.**	Piotr Majona, m., I Zak.
15	C	**Siedmiu Boleści N.M.P.**	**7 Boleści N.M.P.**
16	P	ŚŚ. Korneliusza i Cypriana.	Leon i Tow., mm., I Zak.
17	S	Blizn Ś. Franciszka.	**Blizny Ś. Franciszka.** (A.G.,O.Z.)

Niedz. 15 po Ziel. Świąt. — Ew.: O wskrzeszeniu młodzieńca z Naim (Łk.7)

18	N	Ś. Józefa z Kupertynu.	Józef z Kuper., I Zak. (O.Z.)
19	P	Ś. Januarego B.	Paweł Tr., I Zak.
20	W	Ś. Eustachego.	Jan Brug., I Zak.
21	Ś	**Suche Dni. Ś.Mateusza, Ap.**	Ignacy od Ś. Augustyna, I Zak.
22	C	Ś. Tomasza z Wilanowa.	Piotr Damian, I Zak.
23	P	**Suche Dni.** Ś. Tekli, Panny.	Znalezienie Ś. Klary.
24	S	**Suche Dni. N.M.P. od Wykupu.**	Pacyfik, I Zak. (O.Z.)

Niedz. 16 po Ziel. Świąt. — Ew.: O uzdrowieniu opuchłego (Łuk. 14)

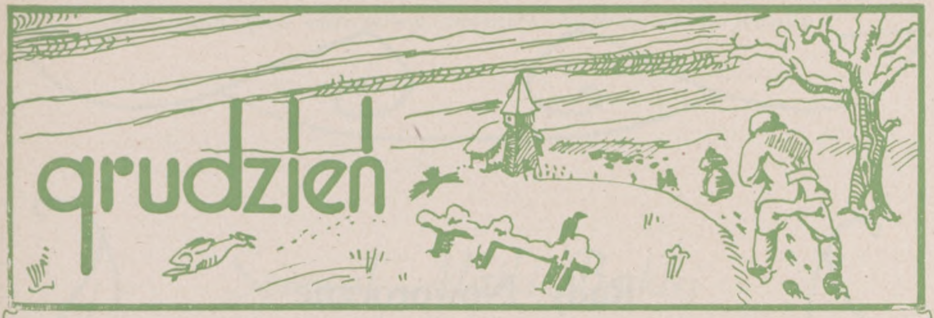
25	N	Bł. Władysława z Gieln.	Franciszek Marja, I Zak.
26	P	ŚŚ. Izaaka Jog. i Tow., MM.	Łucja z Kaltag., dz., III Zak.
27	W	ŚŚ. Kosmy i Damiana, MM.	Elzear, III Zak. (O.Z.)
28	Ś	Ś.Wacława, Króla.	Bł. Bernardyn z Feltry, I Zak.
29	C	Ś. Michała, Archanioła.	Bł. Kordia, III Zak. (O.Z.)
30	P	Ś. Hieronima, D-K.	Benignus z Kun., I Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	S	Ś. Jana z D.; Ś. Remigiusza.	Jan z Dukli i Mikołaj, I i III Zak.
Niedz. 17 po Ziel. Świąt. — Ew.: O największym przykazaniu (Mat. 22)			
2	N	ŚŚ. Aniołów Stróżów.	Bonawentura R., w., I Z. (O.Z.)
3	P	Ś. Tereski od Dz. Jezus.	**Wigilia. Post dla Tercjarzy.**
4	W	**Ś. Franciszka z Asyżu.**	**Ś. Franciszek z Asyżu.** (A.G.,O.Z.)
5	Ś	ŚŚ. Placyda i Tow., MM.	Feliksa Meda, p., II Zak.
6	C	Ś. Brunona, Op.; Emil.	Maria Franciszka, III Z. (O.Z.)
7	P	**Matki B. Różańcowej.**	Jan Pub., I Zak.
8	S	Ś. Pelagii, Pokutnicy.	Brygida, wd., III Zak.
Niedz. 18 po Ziel. Świąt. — Ew.: O uzdrow. powietrzem ruszonego (Mat. 9)			
9	N	Ś. Dionizego i Tow.	Jan Sob., I Zak.
10	P	Ś. Franciszka Borgiasza.	Daniel i Tow., mm., I Zak. (O.Z.)
11	W	**Macierzyństwa N.M.P.**	Oktawa Ś. Franciszka.
12	Ś	Ś. Maksymiliana, Biskupa.	Ś. Serafin, I Zak. (O.Z.)
13	C	Ś. Edwarda, Króla.	Robert Malet, III Zak.
14	P	Ś. Kaliksta, Papieża, M.	
15	S	Ś. Teresy, Panny.	Bonawentura, b., I Zak.
Niedz. 19 po Ziel. Świąt. — Ew.: O szacie godowej (Mat. 22)			
16	N	Ś. Gerarda; S. Jadwigi.	Jan z Ypern, III Zak.
17	P	Ś. Małgorzaty Marii Alac.	Bertrand, m., I Zak.
18	W	Ś. Łukasza, Ewangelisty.	Anna Telber, wd., III Zak.
19	Ś	Ś. Piotra z Alkantary.	Ś. Piotr z Alkantary, I Z. (O.Z.)
20	C	Ś. Jana Kantego.	Herkulan Ober., I Zak.
21	P	Ś. Urszuli, Panny, Męcz.	Jakób ze Strepy, B.W., I Zak.
22	S	Ś. Korduli, Panny, Męcz.	Poświęcenie Kościołów Francisz.
Niedz. 20 po Ziel. Świąt. — Ew.: O uzdrowieniu syna królewskiego (Jan 4)			
23	N	Ś. Seweryna, Biskupa.	Józefina, dz., m., II Zak.
24	P	Ś. Rafała, Archanioła.	Franciszek od Antoń., I Zak.
25	W	ŚŚ. Chryzanta i Darii, M.	Bł. Baltazar, W., I Zak.
26	Ś	Ś. Ewarysta.	Bł. Bonawentura, I Zak. (O.Z.)
27	C	Ś. Florencjusza, Męcz.	Klara, dz., II Zak.
28	P	**ŚŚ. Szymona i Judy, Ap.**	Dominik Ant., I Zak.
29	S	Ś. Narcyza, Biskupa.	
Niedz. 21 po Ziel. Świąt. — Ew.: O Królestwie Chrystusowym (Jan 18)			
30	N	**Uroczystość Chrystusa Króla.**	Anioł z Acri I Zak. (O.Z.)
31	P	**Wigilia.** Ś. Wolfganga, B.	Krzysztof i Tomasz, I Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	W	**Wszystkich Świętych.**	**Wszystkich ŚŚ.**	(A.G.)
2	Ś	**Dzień Zaduszny.**	Krzysztof od Ś. Klary.	
3	C	Ś. Huberta, B.	Rajner z Ar., I Zak.	
4	P	Ś. Karola Boromeusza.	Karol Borom., B.W., III Zak.	
5	S	ŚŚ. Zachariasza i Elżbiety.	Relikwie w kościołach fran.	
Niedz. 22 po Ziel. Świąt. — Ew.: O monecie czynszowej (Mat. 22)				
6	N	Ś. Leonarda Wyzn.	Małgorzata, wd., II Zak.	
7	P	Bł. Antoniego Bal.	Helena Enzel, dz., II Zak.	
8	W	Ś. Godfryda, Biskupa.	Jan Duns Skot, I Zak.	
9	Ś	Ś. Teodora, Męcz.	Franciszek Ksim., I Zak.	
10	C	Ś. Andrzeja z Awelinu.	Tomasz i Tow., mm., I Zak.	
11	P	Ś. Marcina, Biskupa.		
12	S	ŚŚ. 5 Braci Polaków.	Gabriel Fer. i Jan, I i III Zak.	
Niedz. 23 po Ziel. Świąt. — Ew.: O wskrzeszeniu córki Jaira (Mat. 9)				
13	N	Ś. Stanisława Kostki.	Dydak, I Zak.	(O.Z.)
14	P	Ś. Józafata, Bisk., Męcz.	Józafat, B.M.	(O.Z.)
15	W	Ś. Alberta, W.	Dawid z Augs., I Zak.	
16	Ś	**Matki B. Ostrobramskiej.**	Agnieszka, dz., II Zak.	(O.Z.)
17	C	Ś. Grzegorza, Cudotwórcy.	Salomea i Joanna, II i III Zak.	
18	P	Pośw. Bazyl. ŚŚ. Piot. i Paw.		
19	S	Ś. Elżbiety Węgierskiej.	**Elżbieta kr. Pat. III Z.**	(A.G.,O.Z.)
Niedz. 24 po Ziel. Świąt. — Ew.: O wielkim spustoszeniu (Mat. 24)				
20	N	Ś. Feliksa Walezjusza.	Leon, Rufin, Masseo	
21	P	**Ofiarowanie N.M.P.**	Bartłomiej z Sal.	(A.G.)
22	W	Ś. Cecylii, Panny, Męcz.	Filip z Borc., I Zak.	
23	Ś	Ś. Klemensa, Pap., Męcz.	Maria Rugiel., III Zak.	
24	C	Ś. Jana od Krzyża, D-K.	Albert z Leyd., m., I Zak.	
25	P	Ś.Katarzyny Aleksandryj.	Antoni Fassani, I Zak.	(A.G.)
26	S	Ś. Jana Berchmansa.	Leonard z P. Maur., I Zak.	(O.Z.)
Niedziela 1-sza Adwentu — Ew.: O znakach na niebie i na ziemi (Łuk. 21)				
27	N	Ś. Walerjana, Biskupa.	Bernard i Humilis, I Zak.	
28	P	Ś. Zdzisławy, Panny.	Jakób z Marchii, I Zak.	(O.Z.)
29	W	Ś. Saturnina.	**Wszystkich ŚŚ. Zak. Fran.**	(O.Z.)
30	Ś	**Ś. Andrzeja, Ap.**	Blanka z Kast., III Zak.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	C	Ś. Eligiusza, Biskupa.	**Dzień Zaduszny Zak. Fr.** (O.Z.)
2	P	Ś. Bibiany, Panny, Męcz.	Anioł z Monteleone, w., I Zak.
3	S	Ś. Franciszka Ksawerego.	Rafał Chylinski, I Zak.

Niedziela 2-ga Adwentu — Ew.: O Janie w więzieniu (Mat. 11)

4	N	ŚŚ. Piotra Chryz.; Barbary.	Piotr z Bogn., I Zak.
5	P	Ś. Sabby, Opata.	Mikołaj z Tav., m., I Zak.
6	W	Ś. Mikołaja, Biskupa.	Salwator i Tow., mm., I Zak.
7	Ś	Ś. Ambrożego, B-D-K.	**Wigilia. Post dla Tercjarzy.**
8	C	**Niepokalane Pocz. N.M.P.**	**Niep. Pocz. N.M.P.** (A.G.,O.Z.)
9	P	Ś. Leokadii, Panny.	Elżbieta i Delfina, III Zak. (O.Z.)
10	S	**N. Maryi P. Loretańskiej.**	Piotr Seneń., III Zak.

Niedziela 3-cia Adwentu — Ew.: O świadectwie św. Jana (Jan 1)

11	N	Ś. Damazego, Papieża.	Hugolin Mag., III Zak.
12	P	**N.M.P. z Guadalupe.**	**N.M.P. z Guadalupe.**
13	W	Ś. Łucji, Panny, Męcz.	Znalezienie Ciała Ś. Franciszka.
14	Ś	**Suche Dni.** Ś. Agnellusa.	Konrad i Bartol, I i III Zak.
15	C	Ś. Waleriana; Florencji.	Bartłomiej, I Zak.
16	P	**Suche Dni.** Ś. Euzebiusza.	Innocenty z Chiusi.
17	S	**Suche Dni.** Ś. Łazarza, B.	Maria Krucyf., III Zak.

Niedziela 4-ta Adwentu — Ew.: Poselstwo Jana Chrzciciela (Łuk. 3)

18	N	**Oczekiwanie N.M.P.**	Franciszek Art., m., I Zak.
19	P	Ś. Nemezjusza.	Teodoryk z Munst., I Zak.
20	W	Ś. Liberata, M.	Maria Long, wd., II Zak.
21	Ś	**Ś. Tomasza, Ap.**	Franciszka Schol., III Zak.
22	C	Ś. Franciszki Cabrini.	Bonifacy Sezze, I Zak.
23	P	Ś. Wiktorii, Panny, Męcz.	Mikołaj Faktor, I Zak.
24	S	**Wigilia.** ŚŚ. Adama i Ewy.	Jan Disc.

Niedziela Bożego Narodzenia — Ew.: O narodzeniu Chrystusa (Łuk. 2)

25	N	**Boże Narodzenie.**	**Boże Narodzenie.** (A.G.)
26	P	Ś. Szczepana, 1go Męcz.	Szczepan, I Męcz.
27	W	**Ś. Jana Apostoła i Ewang.**	Hugolin z Sum., I Zak.
28	Ś	ŚŚ. Młodzianków.	Anna Maria, II Zak.
29	C	Ś. Tomasza, Biskupa, M.	
30	P	Ś. Eugeniusza, Biskupa.	Małgorzata i Matea, dz., II Zak.
31	S	Ś. Sylwestra, Papieża.	Jan Parenti, I Zak.

Rady Noworoczne

BÓG, dawca życia, zdrowia i wszystkiego,
Niech będzie w sercu, w ustach w każdej porze,
Czyliś doświadczył złego, czy dobrego,
Do Boga westchnij — On ci dopomoże;
Modlitwa, człeku, zawsze życie słodzi,
Jeśli prawdziwie ze serca pochodzi.

Lenistwem brzydź się, jako matką złego...
A pracuj ciągle, boś do pracy, człecze —
Bez trudów, bracie, nie zyskasz niczego —
"Praca wzbogaca" tak przysłowie rzecze...
I praca nawet daje zdrowie — siłę —
Czyliż w próżniactwie życie bywa miłe?

Ale pracując, trzeba żyć oszczędnie, ...
Nie trzeba lekko — marnie puszczać grosza —
Rwij w pracy ręce, a możesz żyć biednie,
Gdy nie oszczędzasz chociażby potrosze —
Pracując, ciągle na jutro spoglądaj...
Wiedź życie skromne — cudzego nie żądaj!

Niech zazdrość w sercu twoim nie postoi,
Ma drugi więcej — od ciebie mniej mają —
Ci najszczęśliwsi, tym Bóg szczęści — dwoi,
Którzy się cieszą tym, co posiadają;
Spokojem świętym darzy Bóg obficie
Zawsze tych ludzi — błogosławi życie.

Felek miał głos chrapliwy, niemiły, nosowy — a jednak...



Śpiewak Matki Boskiej

FELIKS, młody zecer, bardzo lubił muzykę i śpiew. Śpiew zwłaszcza wprowadzał go w taki zachwyt, że zapominał wtedy o swoim otoczeniu i o całym świecie; słuchał tylko, słuchał, aż twarz i oczy mu pałały, aż dech w piersi wstrzymywało.

A kiedy śpiew i muzyka umilkły — on jakby się budził, jakby wracał z innego świata i długo i długo nieraz nie mógł przyjść do siebie; długo w uszach brzmiały mu słyszane dźwięki, a tak były żywe, iż zdawało się, że zagłuszają głosy rzeczywiste, że z jego piersi płyną, że to on sam śpiewa...

Często próbował powtórzyć którą ze znanych ulubionych pieśni, ale, niestety, z krtani jego wydobywał się głos chrapliwy, niemiły, to znów nosowy, zduszony i biedny Felek po kilku tonach urywał, żeby innym i sobie samemu nie sprawiać przykrości. Felek nie miał głosu.

A koledzy, jakby przez ironię nazywali go "śpiewakiem" i kpili sobie z niego.

Nie czynili tego nawet przez złość, broń Boże, lubili bowiem łagodnego i pracowitego chłopaka, ale korciło ich, że nie uznawał innych przyjemności, jak tylko muzykę, koncerty i książki.

— A toć tej bibuły mamy do syta w drukarni, a ty byś ciągle tylko czytał i czytał — żżymał się jeden z kolegów — chodź, pójdziemy dziś do cyrku.

— W drukarni tylko pracuję. Sam dobrze wiesz, że to nie jest prawdziwe czytanie — odpowiedział młody zecer, nie puszczając książki z ręki — a cyrku nie lubię.

— No to chodźmy na kolację do baru, gdzie jest muzyka, już nie powiesz, że muzyki nie lubisz.

— Naturalnie, że kawiarnianej muzyki, a tymbardziej takiej w barze nie lubię. Zaciągnęliście mnie tam kilka razy, ale już więcej wam się nie uda. Ja lubię muzykę prawdziwą, piękną, w kościele lub na koncercie.

Więc zostawiali go w spokoju.

W każdą niedzielę i święto Felek już od godziny 10 rano był w kościele. Podczas procesji i śpiewów z zapałem głos swój łączył z głosem tłumu, śpiewał z całego serca i czuł się wtedy prawie szczęśliwym.

— Kto śpiewa — podwójnie się modli — myślał, pamiętając te słowa Pisma świętego.

A kiedy zagrały organy i zabrzmiał czysty, piękny śpiew chóru męskiego, prowadzonego przez młodego, zdolnego muzyka artystę — Felkowi łzy napływały do oczu i modląc się nieraz z głębi duszy wołał:

"O Boże, żebym to i ja mógł na Twoją chwałę tak pięknie na chórze śpiewać!"

Niektórzy z jego kolegów należeli do chóru kościelnego, śpiewali na nabożeństwach i innych uroczystościach. Z jakąż zazdrością na nich patrzał, ileż się nawzdychał:

— Żebym to i ja mógł tak z wami śpiewać!

Pewnego razu przyjaciel jego, Janek, rzekł do niego:

— Wiesz co, dyrektor naszego chóru jest również profesorem śpiewu solowego, doskonale uczy, poprawia głosy, możebyś się do niego wybrał? Zaprowadzę cię.

Felek chętnie się zgodził i nazajutrz obaj młodzieńcy znaleźli się u dyrygenta chóru, profesora Grota.

— Panie dyrektorze, tak bardzo, tak gorąco pragnąłbym należeć do chóru pana — rozpoczął młodzieniec, patrząc błagalnie muzykowi w oczy — ale nie mam głosu, możeby pan dyrektor coś mi poradził, dopomógł, nauczył... do śmierci będę mu wdzięczny...

Profesor z zainteresowaniem i życzliwością przyglądał się Felkowi, poczem bardzo starannie i dokładnie zaczął badać głos, słuch chłopca, zbadał mu nawet struny głosowe w gardle, poczem oświadczył:

— Słuch ma pan doskonały, gardło w porządku, ale głos nie do śpiewu, przynajmniej na razie.

— Jakto na razie?

— To znaczy, że jest nosowy, nieprzyjemny i do chóru nieprzydatny; ale z czasem, przy usilnej pracy, może jeszcze się zmienić. Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia.

— Jest więc pan tak młody, że przy pańskim słuchu i zamiłowaniu do śpiewu można próbować nauki, ale ostrzegam zgóry, że praca to wcale nie łatwa, długa, mozolna i wcale a wcale za skutek nie ręczę, bo głosu tak jakby nie było.

— Panie profesorze, z radością będę pracował, choćby najciężej, najdłużej, byleby mieć nadzieję śpiewania kiedyś z chórem pańskim w kościele.

— No dobrze! możemy zatem rozpocząć naukę, ale jeszcze raz uprzedzam, że nadzieja bardzo słaba i ja, osobiście, wolałbym, żeby pan na naukę skierował się do kogo innego.

— O, nie, już ja wolę tutaj, niech mi pan profesor nie odmawia — prosił Felek.

Profesor ujęty zapałem Felka i jego miłym, szczerym zachowaniem się, postawił warunki tak przystępne, że nawet niezasobna kieszeń młodego zecera mogła temu podołać.

Felek zresztą był pracowity i bardzo oszczędny. Wydatki swoje tak układał, żeby mu nietylko starczyło do końca miesiąca, ale żeby mógł jeszcze coś odłożyć.

Zdarzało się, że czasem nawet głodował, ale od zasady oszczędzania nie odstępował. Co miesiąc, choćby najmniejsza kwota musiała być zaniesiona do kasy.

Rodziców już nie miał, ale mieszkał ze starszą, niezamężną siostrą, prowadzącą w domu krawieczyznę, więc to mu też życie ułatwiało.

Rozpoczęła się więc nauka śpiewu. Upływały miesiące na bardzo mozolnej i męczącej pracy, a wysiłki profesora i ucznia były prawie bezowocne. Daremnie Feliks stosował się najskrupulatniej do wskazówek i wymagań swego kierownika, prowadził życie regularne i hygieniczne, zapisał się do "Sokoła" na gimnastykę, uprawiał ćwiczenia oddechowe. Zyskał tyle, że czuł się zdrowym, silniejszym niż dawniej, ale głosu nie było.

— Rzuciłbyś tę naukę śpiewu — mówiła mu siostra — szkoda tylko czasu i pieniędzy.

— Mylisz się, Andziu — odpowiadał — choćbym się śpiewać nie nauczył, czasu nie tracę. Lekcje u pana Grota są mi pożyteczne pod wielu innymi względami. To człowiek rozumny, a przytym pobożny i tercjarz. A co do pieniędzy, toć wiesz, że uczy mnie na pół darmo.

— Nie będzie z ciebie śpiewak, to darmo — mówili koledzy — żyjesz, jak zakonnik, bez żadnej rozrywki, odmawiasz sobie wszystkiego, a to napróżno, bo jak się głosu nie ma, to

nikt na to nie poradzi; daj pokój śpiewowi i używaj trochę młodości.

— Używam ja młodości przyjemniej i radośniej, niż wam się zdaje, a nauki śpiewu nie zaprzestanę, chyba, że profesor sam odpędzi mnie od siebie — mówił z uśmiechem.

Koledzy wzruszali ramionami, żartowali sobie, lecz zdawało się, że Feliksa to nic nie obchodzi. Wogóle, nie obrażał się, był bardzo łagodny i delikatny wobec wszystkich i to mu jednało życzliwość kolegów.

A tymczasem profesor też wcale nie był zadowolony z tej nauki. Tyle już czasu nad nim pracował i bez rezultatu. Głos ucznia cośkolwiek się poprawił, w chórze jednak śpiewać nie mógł, gdyż psułby piękne brzmienie zespołu.

Nieraz, po setnych i tysiącznych próbach wydobycia z krtani ucznia kilku czystych tonów — Grot rozpaczliwie opuszczał ręce i z wyrzutem patrzał na chłopaka, a dla Felka ten gest zmęczenia profesora był najdotkliwszym, najboleśniejszym ze wszystkiego; nic go nie mogło tak podciąć, zachwiać, jak niezadowolenie Grota. Wtedy to ogarniało go smutne zniechęcenie, ale jednocześnie z głębi duszy wołał: "O Boże, daj mi głos, pozwól śpiewać na Twoją chwałę!"

— Daj pan spokój tej nauce, nic z ciebie wydobyć nie mogę, albo idź do innego profesora — radził Grot.

Ale Felek wiedział, że nie ma nic gorszego dla głosu i ucznia, jak zmiana nauczycieli; obracał się teraz w kołach śpiewaczych, słyszał i widział wiele, a że był inteligentnym i umiał obserwować ludzi, nie dawał się tak łatwo zbić z tropu. Więc zwykle odpowiadał:

— Jeżeli nie nauczę się tutaj, nie nauczę się nigdzie.

I tak ciągnęła się ta bezowocna nauka.

Sam profesor podziwiał niezwykłe zamiłowanie i wytrwałość Feliksa, a choć nie żywił już nadziei co do wydobycia z niego ładnego głosu, polubił go serdecznie za zalety charakteru, skromność, za tę miłość muzyki. To też, choć jako śpiewak do chóru jego nie mógł należeć, dał mu jednak w tym chórze stanowisko bibliotekarza, to znaczy polecił mu utrzymywać w porządku nuty i śpiewniki, używane na nabożeństwach i koncertach.

Feliks przytem nauczył się pisania nut, a czynił to tak starannie, że chór miał w nim pod tym względem dużą pomoc; rozpisywanie głosów też należało do niego.

Dawało mu to duże zadowolenie i nieraz mówił do Grota:

— Chociaż w ten sposób jestem pożyteczny chórowi, że mogę służyć sługom Bożym, boć śpiewacy kościelni podobni są trochę do aniołów, śpiewających w niebie.

Idąc za przykładem swego profesora zapisał się Feliks do Trzeciego Zakonu św. Franciszka, a choć zawsze był pobożnym i dobrym katolikiem, teraz pobożność jego i gorliwość wzrosła; z twarzy promieniowała czystość i dobroć.

Towarzysze jego pracy i koledzy często szorstcy i swawolni, choć nieraz porządnie dokuczali mu za niebranie udziału w zbyt wesołych zabawach, w gruncie rzeczy lubili go bardzo i w obecności jego nie pozwalali sobie nawet na niewłaściwe dowcipy lub wyrażenia.

Pewnego razu, czytając w żywocie św. Franciszka, jak ten Święty śpiewał Bogu chwałę na wyścig z ptaszkami, doznał tak gwałtownego pragnienia śpiewania wraz z innymi, a nawet samemu (solo), że padłszy na kolana z płaczem wołał:

"Ojcze mój, święty Franciszku! wyjednaj mi u Boga dar śpiewaczy! Obrócę głos mój na chwałę Bożą, na chwałę Najświętszej Panny. Ludziom będę śpiewał o tyle, o ile mnie to od służby Bożej odrywać nie będzie!"

I od dnia tego dziwna ufność weń wstąpiła. Ze zdwojoną energią pracował i w drukarni i u profesora i w chórze.

— Nadzwyczajny człowiek! — mówił o nim Grot — nie tylko nie zniechęca się do nauki nie dającej rezultatów, lecz gorliwość jego i zapał rośnie; podziwiam go!

Tak upłynął cały rok.

W lecie otrzymał Feliks miesięczny urlop; profesor radził mu wyjazd na wieś.

— Od kilku lat już nie miałeś prawdziwych wakacji, wyjedź, chłopcze, na wieś, odpoczniesz, odzyskasz rumieńce, bo zmizerniałeś bardzo.

Feliks uśmiechnął się zagadkowo, wreszcie rzekł:

— Muszę się dyrektorowi zwierzyć z pewnej tajemnicy...

— Cóż to, może żenisz się? — zażartował profesor:

— Nie, ale dziś mi się śniło, że przed ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej śpiewałem solo i to tak pięknie, że Matka Boska z obrazu uśmiechnęła się do mnie. Płakałem ze wzruszenia i radości; obudziłem się w tym płaczu i powziąłem postanowienie udania się z pielgrzymką do Częstochowy. Mam uczucie dziwnej pewności, że Najświętsza Panienka głos mi wyjedna.

Grot z głębokim współczuciem patrzał na rozjaśnioną twarz swego ucznia. Jakże on gorąco pragnął ten głos wydobyć, kształcić! Jak usilnie pracował nad nim, ilu używał sposobów i prób — wszystko bezskutecznie.

Grot był z Bożej łaski artystą, miłował muzykę i śpiew i jeżeli to zamiłowanie widział w kim innym — pomagał mu ile możności, zachęcał, sam kształcił byleby tylko zdolności i chęci się nie marnowały. Ale co do Felka, zwątpił już prawie zupełnie, żeby ta praca na co się przydała. Mówił mu to już nieraz, ale chłopak trwał w swym postanowieniu.

— Muszę ładnie śpiewać na chwałę Bożą.

— A no, to pielgrzymuj do Częstochowy, niech ci Matka Boska dopomoże — odparł, ściskając serdecznie ulubionego swego ucznia.

— Zobaczysz, profesorze, że powrócę, jako śpiewak Najświętszej Panienki.

— Daj Boże, daj Boże, Felku mój kochany, najlepiej wszakże zrobisz, jeżeli w ciągu pielgrzymki i przy prośbach o głos, będziesz powtarzał: "Bądź wola Twoja"...

— Zawsze tak mówię, a mimo to jednocześnie czuję, że Bóg chce, abym śpiewał.

Pożegnał się.

II

Po spowiedzi i Komunii świętej Feliks wyruszył z kompanią do Częstochowy. Cały czas modlił się w drodze gorąco i ciągle przypominał sobie pielgrzymki św. Franciszka, zwłaszcza te, które Święty odbywał w towarzystwie brata Leona.

Często powtarzał wiersz, którego i współtowarzysze podróży chętnie słuchali, a zaczynał się on tak:

"Idzie święty Franciszek z braciszkiem Leonem
Przez łąki operlone, przez drzemiący las,
I nad źródłem przezroczym w jutrzni zróżowionym
Staje modląc się cicho w on poranny czas".

Pełne skromności i skupienia zachowanie się Feliksa pobudziło i innych do pobożności. Z miłością w sercu i modlitwą na ustach dążyli pielgrzymi do Królowej Niebios, do Jej ulubionego miejsca na Jasnej Górze i pielgrzymka ta obfitą była dla nich w łaski. Feliks zwracał ich uwagę na każdy piękny widok natury na ziemi i na niebie, uczył ich podziwiać i wielbić Stwórcę w Jego dziełach.

Jednego dnia czuł się w drodze tak

zmęczonym, że nie mógł nadążyć z kompanią i został w tyle.

— Dogonię ich na noclegu, tymczasem muszę trochę odpocząć, nogi mnie okropnie bolą — myślał Feliks. Zdjął obuwie, żeby ulżyć obolałym nogom i przykładał na stopy liście wyciągające ogień.

Narazie ból się zmniejszył i Feliks sądził, że za godzinę, półtorej będzie mógł udać się w dalszą drogę. Niestety, po kwadransie ból wrócił i wzmagał się tak, że nietylko chodzić, ale stąpać nie mógł; bezwład ogarniał całe jego nogi.

Usiłował się przezwyciężyć, opanować ból i przykry, niepokojący bezwład nóg, ale wysiłki te były bezskuteczne. Nie mógł nawet stać, upadł. Przestraszył się, gdyż był sam jeden w szczerym polu. Jak okiem sięgnąć nie widać nikogo, ktoby mu mógł podać rękę, doprowadzić do jakiej siedziby ludzkiej. Wołał, hukał, przyzywał — ale napróżno. A tymczasem godziny upływały i wieczór się zbliżał.

Feliks był zgnębiony, bo ani niemoc nóg nie ustępowała, ani nikt z pomocą nie mógł mu pośpieszyć, bo o jego wypadku nie wiedziano.

— Mój Boże! — myślał — kompania odeszła już bardzo daleko, zapewne już są na noclegu. Przed wschodem słońca ruszą dalej i jutro ujrzą już Jasną Górę, wieżę klasztorną, a ja stąd ruszyć się nie mogę zupełnie, jakbym stracił władzę w nogach. O Boże mój, czyżbym był sparaliżowany?...

Dreszcz przerażenia go przeszedł, gwałtownym wysiłkiem zerwał się z brózdy, lecz natychmiast upadł...

Długo leżał nieprzytomny, a kiedy się ocknął, była już noc. Księżyc świecił jasno na niebie, gwiazdy mrugały tajemniczo, jak gdyby mówiły:

— Patrz, człowiecze, jak cudnym jest świat nawet w nocy; jak potężnym i wszechmocnym jest Ten, który to wszystko wywiódł z nicości. Jakim ty pyłkiem jesteś wobec całego stworzenia, a jednak, zawołaj tylko, a Pan tego nieba i ziemi usłyszy cię, poratuje...

Feliks, choć w pierwszej chwili po ocknięciu się nie wiedział, co się z nim stało, skąd się tu znalazł i dlaczego — prędko sobie wszystko przypomniał i zrozumiał swą nagłą niedolę, nagłą chorobę, a może straszne kalectwo... I znowu usiłował wstać, wołał na pomoc ludzi — nadarmo...

— Nie, to niepodobieństwo! — wykrzyknął w przerażeniu — niepodobieństwo, abym właśnie wtedy, kiedy idę do Ciebie, o Boże mój, do miejsca świętego, miał być takim nieszczęściem dotknięty! O Matko Najświętsza! Ojcze mój święty Franciszku, przybądźcie mi na pomoc!

Czar pięknej, księżycowej, letniej nocy przenikał młodzieńca, koił jego przerażenie,

Leciuchny wiaterek niósł z pobliskiego lasu rzeźwiące wonie, łagodził ból ciała. Feliks całą duszą i sercem wzniósł się ku Bogu, pogrążył się w modlitwie tak gorącej, tak usilnej i głębokiej, jak dotąd chyba jeszcze nigdy.

Zdawało mu się, że widzi klasztor Jasnogórski, a nad nim wysoko, na tle błękitnego nieba, przecudną, jaśniejącą postać Bogarodzicy Częstochowskiej z Dzieciątkiem na świętych rękach.

— O Jezu mój, o Boże mój! O Matuchno Najświętsza, Najukochańsza moja! — zawołał w uniesieniu niewysłowionego szczęścia — o, czyńcie ze mną, co chcecie, bylebyście mnie nie opuścili, nie oddalili od Swej łaski! Otom na każdą niedolę i na śmierć gotów! O Boże, bądź wola Twoja!

Znikło cudowne widzenie, lecz uczucie bezgranicznej miłości i szczęścia przepełniało duszę Feliksa i powtarzał bez końca:

— Bądź wola Twoja!

Nagle poczuł jakby gwałtowny powiew wiatru po obezwładnionych nogach. Poczuł je zdrowe i krzepkie. Pod-

niósł się. Był zdrów zupełnie, silny, chodził...

Łzy szczęścia i wdzięczności lśniły mu w oczach, serce w uniesieniu wielbiło Boga i Najświętszą Pannę.

Szybkim krokiem skierował się do miejsca, gdzie kompania miała nocować, spodziewając się, że o wschodzie słońca dogoni pątników. Szedł, jakby miał skrzydła u ramion; szedł kilka godzin, nie czując żadnego zmęczenia, a kiedy świt zróżowił niebo i kiedy wreszcie słońce zajaśniało — Feliks ujrzał z pagórka w niewielkiej odległości przed sobą, idącą już z krzyżem na czele kompanię.

Jeszcze kwadrans i młodzieniec zrównał się z nią.

Przywitano go radośnie i ze zdziwieniem:

— A myśmy myśleli, że brat zatrzymał się we wsi, żeby odpocząć i że już do Częstochowy dojedzie, boć taki był wczoraj zmęczony...

— A tymczasem, widzicie, odpocząłem w polu tak dobrze, że jeszcze was dogoniłem...

Feliks nie zwierzył się nikomu z tym, co mu się przydarzyło, skupiony był, pogrążony w rozmyślaniach i wewnętrznej modlitwie.

— Wyznam to księdzu, na spowiedzi — postanowił.

Zbliżano się do Częstochowy. Pątnicy cieszyli się, śpiewali pieśni do Matki Boskiej, upatrując, kiedy na horyzoncie zarysuje się wieżyca klasztorna. Powietrze było tak przezroczyste, niebo tak jasne, że oko objąć mogło daleką przestrzeń, zwłaszcza, kiedy się patrzało z pagórka.

Felek cieszył się nie mniej od nich, może więcej, ale nie śpiewał, nie rozmawiał, był, jakby na pół we śnie, w zachwyceniu, myśląc o tym, co się z nim wczoraj działo.

— O Boże mój! o Matko Boska!— wołało jego serce.

Słońce się zniżyło, za chwilę miało się już skryć zupełnie, kiedy z piersi kilku pielgrzymów, o bystrzejszym wzroku, wydarł się okrzyk:

— Wieża!

— Wieża! wieża! — podchwycono i wszyscy, cała kompania, jak jeden człowiek padli ze szlochem serdecznym na kolana.

— Witaj nam, o witaj Królowo nasza! Matuchno nasza! — wołali z płaczem.

I Feliks padł wraz z innymi na ziemię, witając Panią Niebios, a po chwili, jakby niewidzialną siłą ciągniony zerwał się i biegł naprzód, wyprzedzając kompanię, aby prędzej już do klasztoru, do Cudownego Obrazu.

Ale Jasna Góra była jeszcze daleko, pielgrzymi zmęczeni, więc brat prowadzący kompanię zarządził zatrzymanie się na nocleg.

— Jutro Cię powitamy w Twym Cudownym Obrazie, o Pani nasza! — mówili pątnicy.

— Jutro!... o jakże to długo — myślał z utęsknieniem Feliks. — Wyprzedzę ich, pójdę sam... Nie czuję zmęczenia, tylko pragnienie ujrzenia Cudownego Obrazu.

Ale jeden z podróżnych, z którym Feliks najwięcej rozmawiał i który go polubił, jakby przeczuł myśl jego, mówiąc:

— Nie odłączaj się od nas, bracie, razem wyszliśmy z warszawskiego kościoła Paulinów z przed Ołtarza Matki Boskiej Częstochowskiej, to i razem Ją powitamy na Jasnej Górze.

Posłuchał i został.

A kiedy błysnął ranek i ruszono w dalszą drogę, a przed oczami pątników zarysowywał się coraz wyraźniej upragniony cel ich podróży "Klasztor Jasnogórski" — z piersi pielgrzymów uderzyła pieśń potężna, powitalna, serdeczna...

Śpiewał i Felek. Z oczami wzniesionymi w niebo z sercem bijącym, śpiewał:

"Witaj, Święta i Poczęta Niepokalanie..."

I nagle przerwał:

— Czy to on śpiewał, czy ktoś inny? Znowu zaczął śpiewać.

— O, Boże! czyj to głos?... Co to za głos?... Czy on ma złudzenie słuchowe?...

Śpiewa, a głos jego brzmi dźwięcznie, słodko, jak srebrny dzwon; szlachetnie, donośnie, choć śpiewa bez wysiłku.

Płynie z piersi jego głos piękny, czysty, przejmujący uczuciem, słodyczą, a tak lekko, tak łatwo, że aż rozkoszą się staje.

Feliks jest jak nieprzytomny. Własny śpiew tak go upaja i raduje, tak porywa w niebiosa, że zdaje mu się, iż z pieśnią tą, z tymi cudnymi tonami duszę swą u stóp Najświętszej Panienki wyleje, że umrze w tym śpiewie. I tak mu dobrze, tak słodko, tak błogo, że pragnie tej śmierci, pragnie połączenia się z Jezusem i Matką Jego.

Stał się cud! Ziściło się najgorętsze pragnienie młodzieńca. Pani Częstochowska wyjednała mu u Swego Syna łaskę, o którą tak długo i usilnie prosił, łaskę śpiewaczego głosu!

Nic nie mogły zdziałać jego trudy i praca, ani najgorliwsze zabiegi zdolnego, doświadczonego profesora — głosu jak nie było, tak nie było. A tu oto, jeden moment i Najświętsza Panna tak hojnie, tak po królewsku go obdarowała głosem tak pięknym, o jakim nie marzył. Bezmiar wdzięczności wypełniał mu duszę po brzegi, a twarz zalewały łzy radości.

III

— Chłopcze najdroższy, masz prześliczny, liryczny głos. Jesteś wybitnym solistą — tenorem; najzdolniejszym i najlepszym śpiewakiem w mym chórze, perłą mego zespołu — mówił w uniesieniu profesor, ściskając serdecznie swego ucznia, to znów tańcząc z nim po pokoju w przystępie radości.

Feliks rozpromieniony, szczęśliwy, śmiał się i płakał naprzemian.

— Matce Boskiej to zawdzięczam!

— O, tak, tak, cud to prawdziwy, ja to najlepiej zaświadczyć mogę — wołał profesor.

— To też głos ten postanowiłem poświęcić wyłącznie na chwałę Bożą; śpiewać pragnę tylko w kościele i na religijnych koncertach. Ty, ukochany profesorze, dopomóż mi w tym i kierować mną będziesz stale, nieprawdaż?

— Ależ, naturalnie, Felku drogi. Świat ma dosyć piewców, sług i wielbicieli; dość ma sławnych artystów i bałwochwalców. Ty będziesz śpiewakiem Bożym, pieśniarzem Matki Boskiej, będziesz śpiewał chwałę Niebios.

I Feliks został śpiewakiem religijnym i to nieośledniej miary.

Głos jego, kształcony i pielęgnowany przez profesora Grota, coraz więcej rozwijał się i pięknia ł, coraz większe wywoływał zdumienie wśród tych, którzy Felka przedtem znali.

— Nie, to niesłychane! — mówili— co to się stało? Skąd ten głos? Przecież niepodobieństwem jest wierzyć, że pielgrzymka do Częstochowy uczyniła go artystą, dała mu tak świetny talent... to coś innego, ale co?

Łamali sobie głowy, czyniąc najróżniejsze, najdziwaczniejsze przypuszczenia, nie chcąc tylko uznać prawdy, nie chcąc wierzyć jawnemu dowodowi łaski Pańskiej. Jeden tylko profesor i siostra Feliksa cud uznali, korzyli się przed nim i nie wahali się świadczyć, gdzie należało, o niepojętej dobroci Bożej.

A młodzieńcowi uśmiechała się kariera śpiewacza na wielką skalę. Czyniono mu bardzo korzystne propozycje, zapraszano na wielkie koncerty, do prywatnych salonów osób wysoko w świecie postawionych, lecz on uprzejmie dziękował za zaszczyt i odmawiał.

— Jestem tylko śpiewakiem kościelnym, religijnym.

— Ależ to jedno drugiemu nie przeszkadza — mówił do niego pewien możny pan, wielki miłośnik śpiewu — zaufaj mi, młodzieńcze, i pozwól się sobą zająć, zobaczysz, że nie pożałujesz. Wyślę cię zagranicę, do Włoch; pokształcisz się jakiś czas u pierwszorzędnych mistrzów śpiewu, poznasz świat, ludzi, wielkie sceny i opery; zostaniesz sławnym śpiewakiem. Posłuchaj mnie, pragnę zająć się tobą, jak synem.

A Feliks z ujmującą serdecznością dziękował.

— Nie pragnę sławy, jestem szczęśliwy, że śpiewam Bogu, a świat i jego wielkości nie nęcą mnie wcale, raczej odpychają.

— Ależ Bóg ci dał talent, żebyś nim i ludziom służył.

— To też do kościoła może przyjść każdy i słuchać; zresztą śpiewam na koncertach religijnych i poważnych. Śpiewam kolegom i rodzinie w domu. Jak mogę, tak służę tym głosem ludziom, a te wielkie drogi to nie dla mnie.

— Źle robisz, mój chłopcze, nie słuchając doświadczonej rady, psujesz sobie życie, a mógłbyś zyskać wszystko: sławę, majątek, powodzenie — mówił pan, kusząco.

— Cóż przyjdzie człowiekowi z tego, choćby i cały świat zyskał, a na duszy swej szkodę poniósł? — mówi Pismo święte — a ja właśnie czuję, że na innych drogach duszę mógłbym zgubić. Niech mi szanowny i dobry pan daruje, ale ja już zostanę tym, czym jestem — odpowiadał z prostotą i szczerością, a ta jego dziecięca szczerość i prostota rozbrajała każdego, kto miał z nim styczność, tak, że nawet ci, którym odmawiał, gniewać się na niego nie mogli i tylko mówili:

— Jakiż to niesłychanie miły chłopak, jaka szkoda tylko, że ma takie ciasne pojęcia!

A chłopak o ciasnym pojęciu żył sobie szczęśliwie; był zecerem, skromnym pracownikiem, ciężko zarabiającym na kawałek chleba dla siebie i cichej siostry; a w niedziele, święta i wolne godziny przemieniał się w natchnionego śpiewaka. Szczególniej pięknie i z uczuciem śpiewał pieśń do Najświętszej Maryi Panny tak, że ogólnie nazywano go "śpiewakiem Matki Boskiej", co go ogromnie cieszyło.

— Nie zamieniłbym tej nazwy na królewski tytuł — mawiał.

Jak przystało na prawdziwego syna i naśladowcę św. Franciszka, był zawsze wesół, pogodny, towarzyski i uczynny dla każdego, a choć zdrowie często mu nie dopisywało, nigdy się na nic nie użalał, nie krzywił, nie lubił nikogo swoją osobą zajmować.

— Felku, ty coś za często kaszlesz i kolory masz zbyt silne — mówiono w drukarni — czy to nie gorączka?

— Nic mi nie będzie, rozpieszczacie mnie, aż mi wstyd — śmiał się żartobliwie.

Jednakże profesor innego był zdania i zmusił swego ucznia do zasięgnięcia porady lekarskiej.

Okazało się, że chłopak ma zajęte płuca.

Właściciel drukarni wysłał go swym kosztem na wieś. Profesor zajmował się nim, jak ukochanym bratem; koledzy i przyjaciele okazywali mu również swe przywiązanie, troskliwość i przyjaźń, ale choroba szybkie czyniła postępy.

Feliks zdawał sobie sprawę ze swego stanu, to też myśl jego i serce wzlatały nieustannie ku Bogu. Co parę dni przystępował do Komunii świętej, a choć płuca trawiła choroba — śpiewał głosem czystym, dźwięcznym hymny na cześć swej Anielskiej Pani.

Nieraz, kiedy wysoka gorączka pozbawiała go przytomności i nie poznawał otoczenia, śpiewał głosem tak przejmująco pięknym i silnym, że doktorzy wpadali w osłupienie.

— Co za szkoda tak wielkiego talentu i tak pięknej duszy! — mówili z głębokim żalem.

Pewnego dnia chory zwrócił się do profesora ze słodkim uśmiechem:

— Śniło mi się, że Matka Boska powiedziała mi, że już jutro będę Jej śpiewał w niebie!

Profesor nie mógł powstrzymać łez.

— Nie płacz, przyjacielu, dobroczyńco mój, jam taki szczęśliwy... Pamiętajcie o biednej mej siostrze, opiekujcie się nią.

Potem zażądał ostatnich Sakramentów świętych.

A nazajutrz... poszedł już śpiewać Matce Boskiej w niebie.

— — — — — — — — — — — —

O jakże na ziemi, wśród jego przyjaciół, smutno i pusto się zrobiło!

Stefania Ottowa



Na Nowy Rok



ACH, BOŻE Jedyny!
Wieczności krainy
Zabrały na zawsze rok stary —
A nowy nam świta,
Co każdy go wita,
Tak pełen nadziei i wiary.

Lecz, czyliż, o Boże,
Przyszłości swej morze,
Kto zgłębi, co w Twojej jest dłoni?
Więc z serca, o Panie,
Wznosimy błaganie:
Niech łaska nas święta osłoni!

Nieszczęścia już mnogie
I kary dość srogie,
Za winy nas często smagały —
Cierpienia znosimy,
Lecz, Boże, prosimy:
O, ukróć ich szereg niemały.

Niech dobroć Twa, Boże,
Nam wszędzie pomoże,
I w domu, przy pracy — na łanie,
Błogosław łaskawie,
Sił dodaj w poprawie
Ojcowską Swą dłonią, o Panie!

Oświata niech nasza
Ciemności rozprasza,
I ducha podnosi ku Tobie —
Niech jedność i zgoda,
Umysłu pogoda
Rozkwita w miłości osobie!

Niech zdrowie nam służy,
Abyśmy najdłużej
Swe życia spełniali zadanie —
Ze sercem poczciwym,
Dla bliźnich życzliwym,
I Ciebie, chwalili, o Panie!

W ojczyźnie nam miłej,
Niech każdy, co siły
Pracuje dla dobra wspólnego —
Niech pokój panuje,
On szczęście zgotuje...
I chwałę "Królestwa Twojego"!

To prośby, o Boże,
Co dzisiaj w pokorze
Przed Twoim Obliczem składamy—
Lecz wola Twa, Panie,
Niech zawsze się stanie,
A my Cię wielbimy — kochamy!

Franciszek Marzec



Idzie Rok 1949... Ukochany nasz Zbawicielu, zmiłuj się nad nami. Narody i rodziny Cię odstępują... Nie oddalaj się od nas, bo zginiemy. Odwróć od nas karanie... Poprawimy się! Jezu, zmiłuj się nad nami!



Gwóźdź Cieśli

NA krańcu wsi Selle, w diecezji Gandawskiej, na niewielkim wzgórzu przy rozstajnych drogach wznosił się wysoki drewniany krzyż z dużym wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela. Rzeźba ta odznaczała się głębokim wyrazem bólu na twarzy konającego Chrystusa, jak również tym, że jeden z gwoździ wypadł już oddawna i prawa ręka, oderwana od krzyża, wisiała w powietrzu.

Zaznaczyć należy, że ludność wsi Selle była wielce pobożną i nietylko w niedziele lub święta nie brakowało nikogo w ubogim parafialnym kościółku, ale i w dni powszednie kto tylko mógł, podążał na Mszę świętą. Gdyby jednak zapytano któregokolwiek z mieszkańców wioski, czemu dotąd nikt nie postarał się naprawić krzyża, to jest umieścić ręki Chrystusa na właściwym miejscu — każdyby odpowiedział:

— Bo tam sterczy wciąż jeszcze gwóźdź cieśli Rabou.

I zmieniłby natychmiast temat rozmowy.

Pewnego razu do cichej, spokojnej tej wsi przybył jakiś nieznajomy. Był to olbrzym o niskim, szerokim czole, ponurym wyrazie oczu, z długą czarną brodą, spadającą mu na piersi. Nabywszy tanio chatę od jakiegoś starca, który wkrótce potem umarł, przybysz sprowadził do niej warsztat stolarski, oraz piły, heble i inne narzędzia do obrabiania drzewa.

Z początku tyle tylko wiedziano o nim, że przyjechał z miasta i zamieszkał ze starą, głuchoniemą służącą. Wkrótce jednak zaczęły krążyć o nim rozmaite niepochlebne dla niego pogłoski. Mówiono, że ten cieśla, a zarazem stolarz, nazwiskiem Rabou był niedowiarkiem, nie uczęszczał nigdy do kościoła, w gniewie zaś miotał okropne bluźnierstwa i przekleństwa. Niebawem zaś zaczęto szeptać pomiędzy sobą, iż był przedtem zakonnikiem i stał się odstępcą od Wiary św.

Wielu wszakże nie chciało uwierzyć tym potwornym wieściom.

Odtąd atoli zaczęto bacznie mu się przyglądać i przekonano się, że nietylko w niedziele unikał Domu Bożego, ale jakby naumyślnie z chaty jego dolatywały odgłosy piły lub hebla, świadczące o tym, że wtedy właśnie najgorliwiej pracował... Dla kogo i dlaczego? Czy chciał tą pracą przytłumić głos sumienia, czy przeciwnie, popisywał się swoją bezbożnością?...

Pewnej niedzieli po południu kil-

ku starszych wieśniaków zabawiało się w pobliskiej gospodzie w kręgle, gdy nagle zbliżył się do nich Rabou i wziąwszy udział w grze, zaczął umyślnie przegrywać, jak gdyby chciał tym sposobem pozyskać sobie sympatię. Wygrywający jednak odsunął z widoczną niechęcią jego pieniądze. Wobec takiej zniewagi twarz odstępcy zaczerwieniła się, z ust zaś wydarło mu się tak straszne bluźnierstwo, że wszyscy obecni zadrżeli, a najstarszy z nich rzekł:

— Rabou, nie znieważaj Imienia Pańskiego!

Szyderczy uśmiech niedowiarka był jedyną odpowiedzią na tę przestrogę.

— Cofnij twe słowa, Rabou! — dodał inny z wieśniaków. — Zaklinam cię na Chrystusa, Którego przedtem byłeś sługą!

Ale ta wzmianka o przeszłości rozniecił jeszcze bardziej nienawiść bezbożnika.

— Chrystus! — zawołał — Chrystus. Ach, chciałbym bardzo, aby raz jeszcze zstąpił na tę ziemię!

— Dlaczego? — zapytali obecni, upatrując w tych słowach pewien odcień skruchy.

— Bo gdyby Jezus Chrystus był znowu między nami — szydził odstępca — to nie kto inny, tylko ja, cieśla Rabou z przyjemnością zrobiłbym dlań krzyż!...

Słowa te wywołały ogólne oburzenie tak, że wszyscy jednogłośnie zawołali:

— Precz stąd!... Nie chcemy z tobą mieć nic do czynienia, dopóki się nie nawrócisz!

ŻARTY

Uderz w stół, a nażyce się odezwą

Szła drogą pijana kobieta. Obok cieśle stawiali dom, a mieli dwie piły: starą i nową. Jeden cieśla nie mogąc znaleźć starej piły, pyta drugiego:

— Gdzie ta stara piła?

A kobieta słysząc to, woła rozgniewana:

— A wam co do tego? Nie wasz interes! Gdziem piła, to piła, alem zapłaciła!

Koniec mody

Pewien pan, przeczytawszy w oknie wystawowym napis na jakiejś sukni "ostatnia moda" rzecze uradowany wielce:

— O, co za szczęście, że się to warjactwo raz nareszcie skończy!

Żydzi na letnisku

— Z przeproszeniem, wójt się pytają, jakiej wy jesteśta religii.

— Powiedzcie, co my jesteśmy starozakonni.

— Tak? A myśwa wszyscy byli pewni, żeśta żydy.

Ciekawe imię

Pan Nowobogacki zwiedza muzeum. Zatrzymuje się przed jakąś rzeźbą, pod którą widnieje data: MDCCXXXII.

— Co za komiczne imię — powiada, — pewnie jakiś obcokrajowiec.

Na targu

— Strasznie chudą macie tę gęś, gosposiu. —

— Trudno, paniusiu kochana, nie wszyscy możemy tak dobrze wyglądać, jak pani.

Pytanie

— Co robi się coraz krótsze, im więcej się je ciągnie?

— Papieros.

— Głupcy! — mruknął Rabou z pogardą i odszedł. Przechodząc zaś koło krzyża, powziął okropny zamiar, mogący zrodzić się tylko w sercu, opanowanym zupełnie przez szatana. Zwróciwszy się bowiem do kilku przechodniów, krzyknął:

— Wasz Chrystus chce zstąpić z krzyża, ale cieśla Rabou przygwoździ Go na dobre, zobaczycie!

Upłynęło kilka tygodni, w ciągu których Rabou nigdzie się nie pokazywał. Nadszedł wreszcie Wielki Tydzień i w nocy z piątku na sobotę paru wieśniaków, wracających z miasta, widziało idącego cieślę z młotem w ręku i drabiną na ramieniu. Pomiędzy zębami błyszczało u niego coś, podobnego do stalowego gwoździa. Nikomu jednak nie przyszła na myśl zbrodnia, którą złoczyńca, korzystając z jasnej księżycowej nocy, właśnie spełnić zamierzał... On zaś nie domyślał się wcale, że za nim w niewielkiej odległości szła pewna staruszka, matka Balisot, która opowiedziała później koniec tej smutnej historii.

Na rozstajnych drogach Rabou zatrzymał się przed krzyżem i przystawiwszy do niego drabinę, zaczął wstępować po szczeblach. Gdy jednak stanął na ostatnim z nich i ujrzał przed sobą zawisłą w powietrzu rękę, której nigdy przedtem zbliska nie widział, wydała mu się ona teraz przy świetle księżyca olbrzymią i jakby strasznie zbolałą, bo rzeźbiarz postarał się w skurczu jej mięśni odtworzyć całą okropność katuszy. Ręka ta miłosiernie wyciągała się ku niemu, ale odstępca widział w niej tylko grozę...

Matka Balisot spostrzegła wyraźnie, że złoczyńca otarł sobie czoło rękawem i wypowiedział jakieś przekleństwo głosem tak drżącym, jak gdyby miał atak febry. Przez chwilę zdawał się wahać, nagle jednak wyjął z ust gwóźdź, który w księżycowym blasku błyszczał jak sztylet i przyłożył go do dłoni Chrystusa. Potem podniósł młot i wymierzył nim cios tak silny, że cały krzyż zadrżał i zdawało się, iż ręka skurczyła się od bólu...

Właśnie świętokradca ocierał sobie znowu czoło i całą twarz rękawem, gdy gwałtowny powiew wiatru omal nie zrzucił go z drabiny...

Wówczas Rabou zaczął gorączkowo walić młotem, za każdym zaś uderzeniem ręka zdawała się drgać, jakby żywa... Złoczyńca się śpieszył, zimny pot zalewał mu oczy. Nagle ogarnął go taki przestrach, że rzucił młot i zaczął zstępować z drabiny.

Teraz jednak stało się coś strasznego. Zdawało się nieszczęsnemu, że ręka Ukrzyżowanego spadła mu na szyję i coraz mocniej ją ściska. W pośpiechu bowiem nie zauważył, iż wraz z dłonią Zbawiciela przybił do krzyża koniec szala, który miał na szyi...

Chcąc się oswobodzić z tego niesamowitego uścisku, szarpnął się gwałtownie, lecz pętla jeszcze mocniej się zacisnęła. Wówczas oszalały z przerażenia, Rabou zeskoczył z drabiny i olbrzymie jego ciało zawisło w powietrzu, kołysząc się na szalu...

Matka Balisot uciekła przerażona, lecz długo jeszcze zdawało się jej, że słyszy z oddali okropne śmiertelne rzężenie świętokradcy...

Piotr de Gaemaere
Tłum. z franc. Jawnuta

Błogosławieni . . .

BŁOGOSŁAWIENI, którzy w Panu umierają,
I tam we wieczności szczęśliwi się stają...
Więc rozważajmy często o szczęśliwym zgonie,
Nim nas święta ziemia w swym wnętrzu pochłonie!

Często ciału naszemu w nadmiar dogadzamy,
A że się w proch obróci, wciąż zapominamy...
Nie jest zbyt długie życie, które przeżywamy —
Pięćdziesiąt — choćby sto lat — pewności nie mamy,
Jak długo żyć będziemy — lecz wiemy niezbicie,
Że tutaj na tej ziemi nie jest wieczne życie...

Bowiem wcześniej czy później umierać nam trzeba,
Gdy przyjdzie Anioł Śmierci przysłany nam z nieba.
Częstokroć nam się zdaje, że wnet nie umrzemy,
Niestety, prędzej niźli pomyśleć możemy...
Iluż to niespodzianie, nagle pada ludzi —
I już ich we wieczności Anioł Śmierci budzi...

O marności doczesne ciągle się staramy,
O duszę nieśmiertelną mało starań mamy...
Więc pamiętajmy na śmierć — mój drogi człowiecze,
Że śmierć na każdym kroku za nami się wlecze...

Każdy z nas bywa tylko śmiertelnym człowiekiem...
Który pożyje tylko do pewnego czasu —
I znika z tego świata często bez hałasu...
Wkrótce o nim ludzie w lot zapominają,
Bowiem o zmarłym myśleć ochoty nie mają...
Więc umierajmy w Panu, w duszy rozmodleni,
A będziemy na wieki z Nim błogosławieni!!!

— Brat Anioł Wasilewski, O.F.M.

(Opowiadanie na tle prawdziwego zdarzenia)

SPOWIEDŹ

BYŁ wieczór. Za oknem szalała marcowa śnieżyca, w pokoju było zacisznie i ciepło, przez rozwarte drzwiczki pieca snuł się blask ognia i wesoło strzelało suche, płonące drzewo bukowe.

Siedział u stóp matki na małym stołeczku, jasną głowę oparł o jej kolana, czuł na włosach delikatne, pieszczotliwe dotknięcie jej dłoni. Milczeli oboje.

I wtedy, gdy przez chwilę ręka jej zatrzymała się w swojej pieszczocie, zapytał:

"O czym myślisz, mamo?"

Lubił, gdy mówiła; miała taki cichy, melodyjny głos. Nie zawsze szedł za treścią jej słów. Ona usiłowała zazwyczaj wykorzystać tę godzinę zmierzchu, żeby przelać w niego swoją wiarę żarliwą i wielką. A on... jego już zaczynało ogarniać życie i praca. Cóż? każdy ma swoje przekonania; zabolałoby matkę, gdyby otworzył przed nią swoją duszę, tak daleko odbiegł przekonaniami od jej nauczań. Nie zrozumiałaby go, podobnie jak i on przestał rozumieć Boga, o którym mu mówiła. A jednak, zostało mu z dziecinnych lat przyzwyczajenie, że o godzinie zmierzchu siadywał u jej kolan i słuchał jej głosu, a myślał o czym innym.

Niejedna burza życiowa układała się wtedy w ciszę.

Niejeden bunt zamierał.

Nie zwierzał się jej jednak; ona mówiła, on milczał, i było im dobrze razem.

I zdziwił się też teraz, gdy chyląc się nad nim szepnęła:

"Coraz dalej odchodzisz ode mnie, mój synku, coraz dalej, świat mi cię zabiera. Ale najwięcej boli mnie to, że i od Boga oddala się twoja dusza. I myślałam właśnie, że tak bardzo starałam się ugruntować w tobie wiarę, by się nie załamała, a tymczasem na błędną wszedłeś drogę..."

"Skąd wiesz?"

"Czuję... I to czuję, że będę musiała rychło odejść już od ciebie".

"Nie mów tak, to boli..."

Gorąco przylgnęły jego usta do jej ręki, ale ona ciągnęła dalej:

"Ale jeżeli jest drugie życie i jeżeli tam matce wolno czuwać nad dzieckiem, to ja uproszę, wymodlę drogę nawrotu dla ciebie".

"Mamo, nie trzeba, nie trzeba... nie będziesz mogła znowu spać w nocy".

Milczała i tylko odczuł łzę, która mu na czoło spadła.

I rzeczywiście były to już ich ostatnie godziny o zmierzchu. Odeszła tak cicho i pogodnie, jak żyła.

Napisała Maria Czeska-Mączyńska

I wtedy dopiero odczuł w całej pełni pustkę, jaką wyrwała jej śmierć w jego życiu.

Wiele lat przeszło od tego czasu, ciężkich i twardych. Przewaliła się nad światem wojna, patrzył na śmierć, ocierał się o nią co dnia. A potem tyle gruzu powojennego zwaliło się na jego duszę. Zobojętniał. Byle żyć, byle zdobyć grunt pod nogami, dać chleb żonie i dzieciom. Codzienna troska pętała w nim każdy poryw wzwyż. A potem zaczęły się walić nieszczęścia; żona, omotana duchem czasu, uciekła z innym, dzieci chowały się po obcych ludziach, został sam. I ostatni słaby promień wiary w jego duszy zgasł.

Niedola, zamiast zbliżyć, oddaliła go od Boga jeszcze więcej. Szukał po dziełach ludzkiej myśli czegoś, co zapełniłoby pozostałą pustkę.

Dzieci dorosły, syn był już na posadzie, córka miała już własną rodzinę. Wyrośli obcy i dalecy. Płacił na nich, ale chowały ich cudze ręce, kształtowali ich charaktery obcy ludzie. Dzieci więc nie miały dla niego miłości.

Sam był, coraz więcej sam.

Tego dnia wrócił z biura do domu zmęczony i rozgoryczony. Posługaczka poszła już do domu, przez niedomknięte drzwiczki pieca przedzierał się w głąb pokoju odblask ognia.

O jak bardzo tęsknił dzisiaj za ciepłem ludzkiego serca!

Czytał i nie mógł myślą objąć treści, więc zamknął książkę, wyłączył światło i patrzył w żar...

Wracało wspomnienie matki i dziecinnych lat.

Drgnął...

Ktoś zastukał. Któż do niego?

Z kolegami nie żył, znajomych do siebie nigdy nie zapraszał, u córki bywał raz w miesiącu, a ona u niego nigdy. Tak to jakoś weszło w zwyczaj.

Za oknami zlewał się deszcz strumieniami.

W taki czas ktoś do niego? Przesłyszał się zapewne.

Ale nie, pukanie się powtórzyło.

Wyszedł do sieni, otworzył...

W ganku stała wysoka, ciemna postać z ociekającym wodą parasolem.

Ksiądz...

Obcy ksiądz.

Zesztywniał:

"Czym mogę służyć księdzu?"

"Wezwano mnie do umierającego..."

"Ksiądz się zapewne pomylił w numerze domu; tutaj mieszkam tylko ja sam, a jak ksiądz widzi, cieszę się zupełnie dobrym zdrowiem, a przy tym... nie jestem praktykującym katolikiem".

"Numer domu się zgadza, posłano mnie pod numer dwunasty, czy jest może jeszcze druga dwunasta na tej ulicy?"

"Nie ma. Ktoś księdzu i mnie spłatał figla. Niechże ksiądz jednak wejdzie... na taki deszcz... proszę mi dać parasol. Zdaje się herbata jest gotowa, napijemy się".

Tak przecież dziwnie tęsknił dzisiaj do ludzkiego towarzystwa, że nawet ten dziwny gość stał mu się pożądanym. Ksiądz zawahał się chwilę i wszedł, zdjął ociekający wodą płaszcz i przygładził starczymi rękami siwe włosy.

"Nie wyglądało mi to na żart"— mówił, sadowiąc się naprzeciwko gospodarza w głębokim, staroświec-

kim fotelu, w którym niegdyś siadywała matka. — "Opowiem panu, jak to było: Wróciłem z kościoła— pan wie, w tygodniu Wielkanocnym mamy wiele pracy — byłem więc zmęczony i cieszyłem się na wypoczynek i na łóżko.

"Służąca przyniosła mi herbatę. Nagle, gdy zacząłem pić, posłyszałem, że drzwi się otwarły. Odwróciłem się, by zobaczyć. Na progu stała siwa kobieta w staroświeckiej mantylce. Nie mógłbym panu powiedzieć dokładnie, jak wyglądała. Pamiętam tylko jej głos cichy, trwożny i lęk jej oczu, gdy mówiła: Proszę księdza o pofatygowanie się do umierającego; człowiek ten dawno już nie był u spowiedzi świętej, a jest bardzo opuszczony i samotny.



PRZYKAZANIA DLA MĘŻÓW

1) Pamiętaj zawsze, że jesteś wprawdzie panem domu, ale nie tyranem.

2) Nie zapominaj, że żona nie jest aniołem, tylko istotą ludzką ze wszystkimi ułomnościami, które znosić winieneś z tą samą cierpliwością, jak swoje własne.

3) Myśl o tym, że kobieta jest po części słabszą fizycznie, aniżeli mężczyzna i często tylko z przezwyciężeniem słabości ciała spełnia nużące obowiązki codzienne.

4) Jakkolwiek nie znasz tych obowiązków w najdrobniejszych szczegółach, to jeszcze nie daje ci to prawa do lekceważenia. Pracę kobiety ocenia się dopiero wtenczas, gdy jej zabraknie.

5) Spamiętaj sobie zdanie, które powiada: Szlachetny człowiek zwykle wyżej ceni to, czego sam zrobić nie umie, a tylko prostak gardzi tym, czego sam nie wykonał.

6) Dawaj żonie osobno pieniądze na gospodarstwo i jej potrzeby osobiste. Niechaj troski o codzienne potrzeby życia nie dźwiga sama jedna. Omawiaj z nią, w czym możnaby zaprowadzić oszczędność. Ognisko domowe stanie się droższym, im większymi ofiarami okupione.

7) Miej od czasu do czasu słowo uznania dla zręczności żony w prowadzeniu gospodarstwa, a serdeczne słowo dla niej samej. Będzie to dla niej wielką zachętą, choć tego może nie powie.

8) Bądź sprawiedliwym i nie wyróżniaj jednego dziecka z pośród innych. Serce matki cierpi bardzo z tego powodu.

9) Pytaj żonę o przyczynę postępowania, zanim ją zganisz. Nie gań jej nigdy w obecności dzieci, lecz przy nich zawsze się z nią zgadzaj.

10) Jeżeli poróżniliście się— to wspomnij na słowa: Niechaj słońce nie zachodzi nad gniewem waszym! Pojednajcie się zawczasu, nim będzie zapóźno!

Ulica Mała 12, dom w ogródku".

"I ta kobieta przyprowadziła księdza aż tutaj?"

"Nie, gdy się ubrałem i wyszedłem z domu, chciałem jeszcze wstąpić do kościoła po Przenajświętszy Sakrament, ale pomyślałem, że ten człowiek może nie zechce odbyć spowiedzi, więc postanowiłem rzecz zbadać na miejscu, a w razie potrzeby wrócić się po Przenajświętszy sakrament... Zdecydowałem się pójść sam i dlatego, że kobieta znikła gdzieś, ale pamiętałem dobrze numer domu i jej przerażone, żebrzące oczy. Myślałem, że to matka chorego, taka była zatroskana".

"Ktoś zrobił księdzu złośliwy żart, komuś zależało na tym, żeby ksiądz nie odpoczął, ale zmoknął. Moja matka umarła trzydzieści lat temu".

"To nie mógł być żart..."— Kapłan miał jeszcze tak żywo w pamięci ten głos błagalny i lękliwy i to spojrzenie pełne śmiertelnej trwogi. "Nie, to nie mógł być żart".—Spojrzał uważnie w twarz gospodarza.— "Jednak pod jednym względem informacja się zgadza. Jak pan to sam powiedział, nie jest pan praktykującym katolikiem".

"Nie jestem, ani też nie mam zamiaru nim zostać. Ksiądz pozwoli, że przyniosę herbatę".

"Proszę bardzo, rzeczywiście zziąbłem, bo to najpierw w kościele, a teraz w tym deszczu i bardzo jestem zmęczony, więc spocznę trochę, jeżeli pan pozwala i kiedy tak się dziwnie złożyło, że jestem tu dzisiaj u pana".

Gdy wypili herbatę, rozmawiając jak dwaj starzy znajomi, ksiądz szepnął:

"Razi jednak to światło lampy, byłbym panu wdzięczny, gdyby ją pan trochę przesłonił. Nigdy tak dobrze się nie wypoczywa i nie rozmawia jak w godzinie zmierzchu".

Ręka, zabierająca właśnie sprzed gościa pustą filiżankę, drgnęła.

"Matka moja mówiła tak samo, Siadywaliśmy zwykle we dwoje o zmierzchu i tylko blask od ognia się snuł, jak teraz. Matka miała dla mnie tyle zrozumienia i wyrozumienia i serca. Siadywała właśnie na tym fotelu, na którym ksiądz usiadł..."

"I pan odkrywał przed nią swoją duszę?"

"Tak, z początku, a potem usiłowałem zakryć ją starannie, coraz bowiem więcej rozdzielało nas życie. Nie chciałem sprawiać jej bólu, kochałem ją. Była taka wierząca... Jeżeli księdza razi to światło i jeżeli lepiej nam będzie rozmawiać o zmroku, to je wyłączę".

"Proszę".

Snuł się tylko blask od ognia. Od oparcia fotelu odcinała się słabym konturem siwa głowa, jak niegdyś.

Twarz ginęła w mroku, świeciła tylko ta głowa siwa.

Po szybach deszcz się zlewał z monotonnym szumem.

I nagle ogarnęła go ochota wypowiedzenia się, wyrzucenia z siebie wszystkiego, co tak dręczyło od lat; to przecież nie spowiedź, to tylko rozmowa z przeszłością, rozmowa z cieniem.

Mówił i w miarę jak mówił, zapominał, że słucha go zupełnie obcy człowiek. Z każdym słowem wchodził na drogę szczerości i prawdy. On zwykle taki powściągliwy w wyrażaniu swoich uczuć, duszę rozwierał na ścieżaj.

Czasem, w krótkich chwilach zastanowienia nad samym sobą, dźwięczał z mroku przyciszony głos księdza, zbijał z zapałem, jakie daje głębokie przekonanie, zasady fałszywe, uczył cierpliwie, umacniał, wskrzeszał prawdy niegdyś znane, później odrzucone z pogardą, pogubione po drogach życia, obce, dalekie, a teraz znowu jakieś wielkie, silne, zrozumiałe, zwycięskie.

Słuchał o Bogu, dobroci i miłosiedziu. O Bogu ojcowskim, czekającym na powrót zbłąkanego syna, byle tylko przyniósł dar szczerości, żalu i postanowienia poprawy.

Nie ma takiej drogi, z której by do Boga nie było powrotu, i nie ma takiej winy, której by żal nie okupił.

I nie ma takiej pustki, której by Bóg Sobą nie wypełnił.

Słuchał i coraz jaśniej czuł błędność swojej drogi. O, jakąż ulgą było zrzucić ciężar myśli dźwigany od lat, wypowiedzieć się przed kimś szczerze, zastanowić się nad samym sobą, zrozumieć winy swojego życia i swoje własne, zagubione "ja" odnaleźć. Sam nie wiedział, kiedy osunął się na kolana i chyląc głowę zapytał:

"Czy to była spowiedź?"

I spoczęła na jego siwiejącej głowie ręka litościwa i pełna miłości, rozgrzeszająca, jak ręka matki:

"Tak, to była spowiedź, mój synu. Wzbudź w sobie teraz żal szczery i głęboki a staniesz się znowu synem Boga, miłym Mu, jako nim byłeś za twoich dziecinnych i młodocianych, lat gdy jeszcze wierząca matka czuwała nad tobą".

Rano w kościele ręka starcakapłana podała mu Komunię św.

A wieczorem, tego samego dnia, przeglądając gazetę popołudniową, ksiądz zauważył wzmiankę o wypadku. W godzinach porannych pękł kocioł w fabryce przędzalnej; kilku robotników zostało poranionych, a przechodzący właśnie tamtędy inżynier X, został zabity na miejscu. Mieszkał przy ulicy Małej 12...

A więc jednak był u człowieka umierającego...

Po pogrzebie córka i syn zmarłego poprosili księdza do mieszkania. Poszedł; chciał jeszcze raz w dzień zobaczyć pokój, w którym spędził takie dziwne chwile.

Nagle dojrzał na ścianie fotografię siwej, starej kobiety o głębokich, wymownych oczach...

To ona, tak, te same rysy, przypomina je sobie teraz tak dokładnie, trochę starsza tylko, i te łagodnie uśmiechnięte oczy pełne były śmiertelnego lęku, ale to ona...

"Kogo przedstawia ta fotografia, proszę pani? To ta właśnie kobieta była u mnie w przeddzień wypadku i prosiła mnie, bym szedł wyspowiadać umierającego".

"Ksiądz się chyba myli. To matka ojca, zmarła już trzydzieści lat temu".

"A jednak, to ona..."

Miłość macierzyńska była silniejsza od śmierci — myślał ksiądz, patrząc na wyblakłą fotografię — matka przyszła, by uratować duszę swego syna. Matka miłująca...

W życiu ludzkim pełno doświadczeń, ale ten tylko prawdziwie szczęśliwy, kto potrafi...

RADOŚNIE DŹWIGAĆ SWÓJ KRZYŻ



NA OBRAZKACH często widzimy kapłana odprawiającego Mszę świętą, na którego głowę po Konsekracji Jezus kładzie swą koronę cierniową. To symboliczne przedstawienie stosuje się równocześnie i do każdego z nas. Pan Pan Jezus nakłada na nas misję nie tylko pracy dla Boga, lecz i cierpienia dlań. Msza św. ma uczynić z nas doskonałych chrześcijan podobnych do Chrystusa, chrześcijan, którzy za Jego przykładem dźwigają swój krzyż.

To nie Msza święta sprowadza na nas cierpienia. Cierpienie jest stare jak świat. Odnajdujemy je wszędzie, napotykamy co krok. Czy pójdziemy na Mszę św. czy nie, chodzi o to, że wszystkie drogi naszego życia są poprzecinane, a nawet założone krzyżami. Lecz chodzi o to, by krzyże te były znoszone radośnie, w sposób pożyteczny, godny zasługi. To nam trudno pojąć, zrozumieć, jeśli nie przeżyliśmy Mszy św., jeśli nie realizujemy jej w życiu.

Wobec cierpienia wydaje się, że nie pojmujemy innej modlitwy, jak tylko proszącej o oddalenie nas od krzyża. Zapewne, nic nie przeszkadza nam w modlitwie prośba, by dane cierpienia, dana próba była nam oszczędzona. Lecz nie należy chcieć gwałtem przez modlitwy usunąć każdy krzyż, każde cierpienie z naszego życia.

Pewnego dnia święta Gertruda, mając się modlić za pewną chorą, prosiła Pana Jezusa, by jej wskazał, jak się ma modlić. I uzyskała odpowiedź, że ma prosić jedynie o dwie rzeczy: łaskę cierpliwości, a potem, by wszystkie chwile w tej chorobie posłużyły ku chwale Bożej i największemu dobru samego chorego, właśnie dokładnie tak, jak zadecy-

dował od wieków Bóg w Swej Ojcowskiej dobroci.

Jeśli pociecha objawia się nam jako uśmiech Pana naszego, nie należy również przyjmować inaczej doświadczeń. Uśmiech przez doświadczenia przemienić należy w prawdziwą radość, w prawdziwe szczęście.

Są różne sposoby dźwigania krzyża. Jedni ciągną go z ciężką irytacją wśród westchnień i skarg. Inni dźwigają go, śpiewając pieśni triumfalne. Ten drugi sposób jest najpiękniejszy i najbardziej chwalebny złożenia z siebie. Msza i Komunia święta, gdy są naprawdę przeżyte i należycie odczute sprawiają, że krzyże nasze dźwigamy śpiewając. Gdybyśmy pierwszego Wielkiego Piątku znaleźli się u stóp Krzyża, a tam choćby jedna kropla Boskiej Krwi spadła wówczas na czoło lub wargi nasze, czy moglibyśmy tego wieczoru uskarżać się na drobne przykrości? Jeśli więc w czasie Mszy świętej, u stóp ołtarza, widzieliśmy odnawiającą się Ofiarę Krzyżową i otrzymaliśmy w Komunii św. Ciało i Krew Boskiej Ofiary, czyż po tym wszystkim nie możemy dźwigać drobnego doświadczenia w ciągu dnia z miłością i pełni radości...?



Dziwna i ciekawa natura ludzka

ŻART MILIONERA

Jak ludzie zachowują się wobec pieniędzy?

PEWNEGO dnia pochmurnego na murach miasta Jackson, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, pojawiły się ogromne afisze żółtoczerwone, następującej treści:

"John Madson, dotknięty atakiem nudy, szukając rozrywki, podaje do wiadomości, że w przyszły piątek pozwala każdemu wejść do swojego skarbca, gdzie w skrzyniach znajduje się kilka milionów dolarów w monecie srebrnej i złotej. Każdy, kto zechce i kto potrzebuje, może sobie wziąć pieniędzy, ile mu się podoba. Do skarbca schodzi się po piętnastu stopniach. U wejścia są drzwi żelazne. Zastrzega się, że od chwili wejścia do skarbca, do chwili wyjścia, nie może upłynąć więcej jak 60 sekund. Jeśli kto dłużej, choćby sekundę, pozostanie w skarbcu, umowa staje się nieważną, a ludzie silni i uzbrojeni odbiorą mu wszystko, co zdołał zabrać. Wejście do skarbca będzie otwarte od godziny dziesiątej do dwunastej w południe".

podpisano **John Madson**

Afisz zrobił szalone wrażenie. Wiedziano, że Madson jest oryginałem, że ma kilkadziesiąt milionów dolarów majątku, nie przypuszczano jednak nigdy, żeby chciał tym majątkiem dzielić się z biedakami.

Co mu też do głowy przyszło!...

W klubach, w kawiarniach, w sklepach, wszędzie mówiono o nowym "wybryku" Madsona.

— Wariat!... — mówili jedni.

— Dobroczyńca!... — odpowiadali drudzy.

— Jakiś świeży kawał!...— przypuszczali niedowierzający.

Ponieważ do zapowiedzianego piątku był prawie cały tydzień, więc zaciekawienie wzrastało. Robiono zakłady, że Madson tylko dla żartu coś podobnego ogłasza.

John Madson nie żartował. Znał słabości ludzkie i... umiał liczyć. Na tym właśnie zrobił majątek.

I teraz też obliczył dokładnie: z wyznaczonych 60 sekund człowiek, który potrafi zachować zimną krew, 20 zużyje na wejście i wyjście ze skarbca; w ciągu 40 sekund zdoła sięgnąć 30 — 40 razy i za każdym razem nabierze w garść 400 — 500 dolarów. Ale czy każdy zachowa zimną krew? czy każdy potrafi dobrze obliczyć się z czasem?... Ilu na widok takich skarbów i w takiej chwili potrafi skorzystać z okazji?

Widok tych ludzi, gorączkowo przebierających w skarbach, zapowiadał się niezwykle interesująco. Za podobne widowisko John Madson gotów był dobrze zapłacić.

Skarbiec oświetlono olbrzymimi lampami. W jednej ze ścian umieszczono umyślnie sporządzony duży zegar, którego wskazówka rozpoczynała ruch z chwilą naciśnięcia klamki u wejścia i obiegała obwód tarczy w ciągu 60 sekund.

Pieniądze leżały w wielkich skrzyniach. Tylko sięgnąć i brać, ile się podoba.

Nadszedł piątek.

Od rana tłumy biedaków zaczęły się gromadzić przed pałacem Johna Madsona. Nie brakło też ciekawych tego widowiska.

U wejścia stało czterech barczystych ludzi, którzy mieli wpuszczać po jednym zgłaszających się, a czterech innych pilnowało drzwi skarbca.

O godzinie dziesiątej wpuszczono pierwszego. Był to młodzieniec ubrany przyzwoicie, choć ubogo. Szedł zupełnie spokojnie, gdy go wprowadzono do podziemia. Ale gdy stanął we drzwiach skarbca, zaczął drżeć jak w febrze. W paru skokach przebył schody, rzucił się na pieniądze i zaczął je kłaść do kieszeni, spoglądając na zegar.

Jeszcze 30 sekund. Kładzie kapelusz na pieniądzach, napełnia go obiema garściami. Jeszcze 5 sekund. Ostatnia garść. Rzuca się na schody. Kapelusz nie wytrzymuje ciężaru, pęka, pieniądze wysypują się, uciekają. Zatrzymuje się chwilę, aby je podnieść, przypomina sobie, że nie ma czasu. Pędzi do drzwi!...

Za późno!... Stracił trzy sekundy. Odebrano mu wszystko, co miał w kieszeniach. Gdy wychodził blady, tłum przyjął go śmiechem.

Drugi.

Człowiek lat trzydziestu. Na twarzy widocznie maluje się ślad przebytych w życiu cierpień. Rzuca się gorączkowo na skrzynię, zaczyna czerpać pieniądze, ale wylatują mu z ręki. Pogrążył obie ręce w srebro,

przewraca, nie bierze nic, wreszcie wybucha śmiechem strasznym, dzikim.

Służba wyprowadza go z piwnicy, gdy minęło 60 sekund.

Nie wziął nic, ale postradał rozum. Oszalał!...

Trzeci zapomniał zupełnie o czasie. Nabierał pieniądze nie spoglądając na zegar. Minęło 60 sekund, on brał ciągle. Gdy służba doń podeszła, rzucił się na kolana, błagał, płakał, krzyczał, mówił o żonie, o dzieciach, wył z bólu i rozpaczy.

Daremnie. Gdy go wyprowadzono, włos jego zbielał. Wyszedł na ulicę milczący, pochmurny. Tłum przyjął go milczeniem.

Dziewięćdziesiąt pięć osób przebyło w ciągu naznaczonych dwóch godzin próg skarbca. Ze wszystkich jeden wyszedł, wynosząc 650 dolarów, drugi cokolwiek mniej. Inni nic nie wynieśli.

John Madson uznał, że "zabawa" ta bardzo tanio go kosztowała.

Bóg sercu i duszy naszej tak potrzebny jak —

SŁOŃCE

O. Rajmund Sonnek, O.F.M.



OLBRZYMIA kula ognista — źródło światła, ciepła i życia, przewala się rozpędzona w przestworzu i szlakiem gwiazd na niebie zdąża do celu wytkniętego jej przez Boga. A obok ziemia malutka drepcze w pośpiechu i księżyc przed sobą popycha. Wszędzie ruch twórczy i zbawcza ruchliwość życia dokoła.

Jakże niezmiernie prostą zdaje się być tajemnica stworzenia! Jak niezmiernie tajemniczą i niezbadaną prostota cudu powstania wszechrzeczy. Bóg wyrzekł Słowo a natychmiast wyłoniła się z nicości wspaniała postać ognista tysiącznymi językami wielbiąc Stwórcę i ludziom służąc ku zbawieniu.

Cóżby człowiek bez słońca uczynił? A raczej cóżby się z nim stało, gdyby bez światła i ciepła tułać się musiał w zmrokach ciemności odwiecznej? Trudno sobie wyobrazić obraz spustoszenia, jakiby nastąpił. Pod zimę, gdy dymy z kominów przepocone wilgocią oparów nocnych poczynają ociężale snuć figury białe w powietrzu, a mgły coraz silniej czepiają się powierzchni, czujemy powolne zamieranie w naturze. Dzień staje się krótszym i chłód dokuczać poczyna. Trzeba światła i w piecach wcześniej zapalić.

A jednak w tym czasie znajdujemy się bliżej źródła światła, ciepła i życia, aniżeli w lecie, chociaż mniej go odczuwamy. Ziemia przerażona bliskością słońca, jak może sposobi

się do ominięcia grożącego jej niebezpieczeńtwa... Ściśle obrachowaną odległość, nachylenie osi, szybkość biegu i obrotu, miejsce na niebie oraz tysiąc innych warunków niezbędnych dla rozwoju życia na ziemi — wszystko to szczegółowo obmyślił i dla dobra ludzkiego uplanował mądry Bóg, Stwórca i Ojciec światłości.

We wierze podobnież rozporządził Bóg życie pod Słońcem Prawdy odwiecznej dla naszego dobra duchowego. W świetle ciepła nadprzyrodzonej nauki Chrystusowej może się rozwijać bezpieczne i szczęśliwe. Jak słońca nic zastąpić nie potrafi, tak Wiary Chrystusowej nie zastąpią wierzenia prywatne.

Czy rozumiemy nieskończoną dobroć naszego Ojca względem nas, gdy w promieniach słonecznych używamy wesoło dnia pogodnego? Wielu spogląda w niebo, lecz Boga nie widzi, ani słyszy, jak niebiosa przecudnie wielbią i rozpowiadają Jego chwałę. Jak dzieci nierozumiejące się na wartości rzeczy sądzimy, że skoro możemy sztucznym światłem zastąpić światłość słoneczną, to sztuczną nauką własną zdołamy także zastąpić Wiarę Chrystusową. Co za nierozum i nierozwinięte pojęcia człowieka dorosłego!

Zwróćmy się bez uprzedzeń dziecinnych ku słońcu na niebie i porównajmy je ze Słońcem Wiary. Zobaczymy, że źródłem światła, ciepła i życia jednego i Drugiej jest Bóg. On obmyśla, planuje i daje potrzebne wskazówki, nie człowiek postawiony na malutkiej planecie, która drepcze dokoła słońca i księżyc przed sobą popycha. Bóg jest Sprawcą zbawienia. Bo do Niego należy słońce i ziemia z księżycem, oraz niezbadany wszechświat cały.

Czy potrafi człowiek wstrzymać bieg ziemi lub nachylić jej oś w stronę przeciwną? A przecież ziemia to pyłek drobny wobec słońca i innych wielmożnych gwiazd na niebie. Jakże więc zdoła powstrzymać Słońca Prawdy odwiecznej lub nachylić naukę Wiary Chrystusowej na wierzenia prywatne! Starajmy się raczej używać słonecznych promieni Wiary i wielbić Boga na ziemi, abyśmy Go szczęśliwie twarzą w Twarz oglądać mogli po wszystkie wieki w niebie.



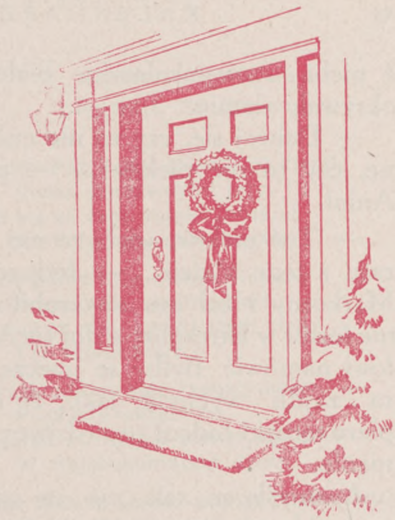
Tragiczny koniec bluźniercy

Z Madrytu donoszą o następującym wypadku, który wielkie wrażenie wywarł na ludności miejscowej. Przejęty naukami komunistycznymi robotnik Joan Aguilera niejednokrotnie zapowiadał w kole swych towarzyszy, że zburzy jeden ze starych przydrożnych krzyżów pod Madrytem i rozbije go na kawałki. W ostatnich dniach wybrał się wreszcie w nocy dla dokonania ohydnego czynu; zarzucił sznur na ramiona krzyża i usiłował obalić go. W czasie tych usiłowań obluzowała się bronzowa figura Chrystusa i padając na bluźniercę strzaskała mu głowę na miazgę...

*Napisał Stanisław Ligoń
Karlik z Kocyndra*

Opowiastka Wigilijna

W gwarze górno-śląskiej



W CICHY wiecór wigilijny siedzioł se jakiś karlus som i łopuszcony przy stoliku w knajpie "Pod Eisenbahną". Nazywoł sie Markotny, a był... zresztom wszystko jedno cym był. Dzisiok jakoś był zły i łozżolony. Nikt z jego codziennych kamratów nie prziszoł do knajpy, musioł som słepać piwsko, kiere mu jakoś nie podłaziło.

To tyż przezywoł na ta cołko wilio i wszystkie święta.

Naroz zjawił sie kole niego Anioł. Był łoblecony w biało, długo szata, kiero cuć było piernikoma. Anioł schylił się nad Markotnym i dotknął rękom jego ramienia.

Markotny sie łobejrzoł, a ujrzawszy Anioła pedzioł grubelacko:

— A idom se idom, jo ta nic nie kupia.

Zdawało mu się, że ten Anioł, to jakisik handlyrz, cy tyż "reisender", a to skiż tego, że trzimoł w gorści malutki goicek, cyli jak sam tyż padajom "Christbaum".

Po chwili zaś Anioł dotknył karlusa i rzekł:

— Markotny, wstoń i pódź semnom!

Ale sam Markotny, już fest łozgorszony pado:

— A cóżeś to, pierzinie, za jeden? cóż to chcesz łodemnie, aże co?

Na to łodpedzioł Anioł:

—Jestech twoim Aniołem, przyszedech Cię napomnieć, ażebyś szoł do dom, a nie siedzioł samotny w knajpie i słepoł, w ten święty wiecór, kaj radość wszystkiemu stworzeniu.

I prawił ów Anioł więcej, słowa pełne dobroci i słodyczy, aż Markotny wdzioł czopka i wyszoł z Aniołem z knajpy na ulica.

Kiej byli na dworze, Markotny się zatrzymoł:

—Ale pedzom mi jeny, co jo tam byda w doma robiół?

Na to Anioł:

— Mosz pójść do swoich i sie do żupy z śniemi raduwać, i dosz im sam ta choinka na znak weselo i pokoju.

I Markotny z Aniołem zaś ruszyli w droga. Wiecór był cichy, piękny i uroczysty. Płatki śniegu leciały

z nieba i niepokalanom białością okrywały ziemia.

— Dziwej sie, czy to nie cudowne, czy to nie piekne?... — pado Anioł.

— Toć piekne, wiela to zaś marasu z tego bydzie... — łodpedzioł Markotny i żol mu sie zrobiło, że nie łostoł w karczmie, a doł sie Aniołowi namówić. Byłby se jeszcze pora "zajdli" wychylił, jako, że dziepiero terozki łodczuł prowdziwe pragnienie.

Łozmyślając tak, zaś sie zatrzimoł. Ale sam go zaś Anioł pociągnął za ręcysko i padoł:

— Dzisiok każdy człowiek siedzi w doma. Jeny ty nie chcesz być dokupy ze swojom rodzinom. Nie gańba cie to, co?

— Przebocom, cy łoni znajom moja kobieta?... — pyta Markotny.

— Toć znom? — pado Anioł.

— A moja "Świgiermutra" znajom?

— Toć znom, przecach jo wasz Anioł, kierego wom Pon Bóg przeznaczył na łopiekuna.

— Ja! Toż to łoni som mój Anioł Stróż!

— Toż suchajom jeny... padom im to po dobroci... ciągnom se łodemnie, ale za dobrej pogody!... Toż to łoni mój Anioł Stróż i dali mi się łożynić? — pado Markotny.— A dyć siandara byłby mi stokroć



Wartość Śniegu

CZY ŚNIEG ma jaką wartość? W jesieni błoto i szaruga, na wiosnę odwilż nieznośna — gdzież w tym wszystkim szukać jakiejś wartości? Dla ludzi, usposobionych poetycznie — śnieg przedstawia pewną wartość poetyczną. Widok pól, lasów, łąk i gór, pokrytych śniegiem nie jest pozbawiony uroku. A jednak śnieg ma jeszcze inną wartość, nawet bardzo wielką, chociaż na pieniądze trudno ją obliczyć. Przede wszystkim ogrzewa w zimie rolę. Jako zły przewodnik ciepła, z jednej strony nie dopuszcza do wypromieniowania ciepła, znajdującego się we wnętrzu ziemi, z drugiej zaś strony nie dopuszcza zimna zzewnątrz. W odpowiedniej znów chwili ten sam śnieg chroni rolę przed ciepłem promieni słonecznych podczas pierwszych dni wiosennych. Zasługa to bardzo ważna. W ziemi, któraby w dzień była rozgrzana, a w nocy zmarznięta, prawie każda roślina musiałaby zaginąć. Wiadomo każdemu, że ziarno zaczyna kiełkować w cieple wynoszącym półtora stopnia, a ileżto razy zdarza się, że po pierwszych dniach ciepłych znów wracają mrozy? W tym wypadku śnieg tylko ratuje rośliny od zguby. Pod tą osłoną śpią one spokojnie, lub wegetują tylko, dopóki ciepło stałe nie powoła ich do życia. W ten sposób zatem śnieg jest najlepszym regulatorem temperatury roli.

milszy, niźli taki Anioł bez serca.

— Jo wiem, człowieku — pado Anioł — żeś nie jest szczęśliwy. Ale to też dzisiok chca sprawić zgoda pomiędzy tobą i twojom kobietom. Pódź wartko!

I Markotny doł sie jak baranek wieźć dalej łod Anioła. Łod czasu do czasu musioł go jednak Aniołek porządnie sztuchać i ciągnąć, i ciągnąć, bo Markotny czym się barżij zbliżoł ku chatynie, jakosik więcej tracił chęć do tej zapowiedzianej zgody...

Kiej tak przechodzili bez ulice miasteczka, pokazywoł Anioł Markotnemu łoświetlone łokna, bez kiere widać było świecone Boże drzewka i uroczysty śpiew radosnych kolend.

— Widzisz, mój kochany, jak szczęśliwi są dzisiok ludzie.

Kiedy już byli blisko domostwa Markotnego, pado Anioł pełen dobroci:

— Widzisz, toć jo byłech na waszem weselu.

— Ja? no i cóż?...

— Twoja młodo oblubienica tako wtedy była piekno w tym wioneczku na biołem czole...

— Ja piekno, no i cóż dalej?

— Liczka takie miała szumne, jak jabłuszka. A jak wstydliwie spuszczała ślypka, kiej ci przy łołtorzu przysięgała wieczno miłość — pado Anioł.

Na to Markotny:

— Słuchajom, przestanom już berać i radza im po dobroci, pódźmy nazod skądeśmy przyśli, wypijemy se do kupy po jednym i bydzie nom tyż dobrze niech im sie nie zachciewo boznów.

— Jak możesz być takim zatwar-

KIEDY PAN JEZUS CHODZIŁ PO Ziemi...

Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi,
Przed pradawnymi laty,
To się za Jego stopki jasnymi
Garnęły wszystkie kwiaty.

Szły polne lilie, niosąc kielichy
Przeczyste, wonne, białe,
A tuż za nimi powój szedł cichy
I te fijołki małe.

Bratki mu do stóp rzucały liście,
Puszyste aksamity,
A mak ku niemu płonął ogniście
W najporanniejsze świty.

Szły za Nim polem, szły za Nim miedzą
Te rzesze bławatkowe,
I niezabudki, co w rowach siedzą,
Wznosiły modrą głowę,

Stulistnej róży przejasne pąki
Woń Mu roniły swoją,
Kobierzec słały te nasze łąki,
Co pod rosami stoją.

Biała konwalia wybiegła z boru,
Zwołuje leśne kwiaty,
W sto srebrnych dzwonków do Jego [dworu,
Za wiewem Jego szaty.

Otwarły oczy stokrocie drobne,
W miękkiej zieleni śpiące,
I te narcyzy gwiazdom podobne,
Co je wybiela słońce.

Szły za Nim kwiaty, szły za Nim [zioła.
Płynęły falą tęczy,
A złoty jaskier pochyla czoła,
I macierzanka klęczy...

A nasz Pan Jezus patrzał miłośnie
Oczyma przesmutnymi,
I błogosławił wszystko, co rośnie
I kwitnie na tej ziemi.

I takim tłumem szło owo kwiecie
Łąkami, polem, lasem,
Kiedy Pan Jezus chodził po świecie
Przed najdawniejszym czasem.

Więc dotąd jeszcze, gdy w letniej [dobie
Kwiat gęsto kryje grzędy,
To starzy ludzie gadają sobie
Pan Jezus przeszedł tędy!

—MARYA KONOPICKA.

działem — łodpowiado Anioł. — Przeca pamiętom, jakieś jom wtencos nazywoł... szczęściem swojem, dziubeckiem jedynem, no czy nie było tak?

— A może i było...

— Padołeś, że sie miłość twoja ku niej nie skońcy nigdy!

— Cego, joch to pedzioł?...

— Tak, tak, mój drogi... padołeś i widzisz, to samo dzisiok znów musi między was powrócić... W ten święty, cichy wieczór wigilijny otwierajom się wszystkie serca i ludzie odnajdują się zaś w miłości i dobroci.

Markotny milczał i wlókł coraz ciężej swoje nogi. Po chwili z pewną nieśmiałością pyta Anioła.

— Przebocom, czy Anieli znajom tyż przyszłość człowieka?

— Poniekąd znomy, więcej nom bowiem Bóg dał mocy, aniżeli wom grzesznym na ziemi.

— Toż przebocom i bydom tacy dobrzy i pedzom mi, jako jest ta moja przyszłość?

— Widzę cię — pado Anioł —siedzącego w pokoju między swoimi. Boże drzewko świeci się, przystrojone na stole. Oczy twoje pełne dobroci patrzą w światło, a potem pełne wesela na rozradowaną żonę, siedzącą obok ciebie na kanapie...

— Maryjo!... To wszystko widzom?... — pado Markotny.

— Wszystko! I to tak dokładnie, jak ty widzisz wszystko naokoło, czego się możesz dotknąć rękami... Widzę jak jom łobejmujesz ręką, ona tuli ci głowę na piersi, a ty ją zaś nazywosz swojem szczęściem i swojem dziubkiem jedynym...

— Toż to nie jest znochwione? — pado Markotny.

— Nie, to szczyro prowda! — łodpowiado Anioł...

Tak rozpowiadając przyszli przed mieszkanie Markotnego. Na pierwszym sztoku świeci się w łoknie.

— Widzisz, mój kochany, łona czeka na nos — pado Anioł i chycił za zwonek.

— Jeckusie... dajom pokój... nie zwoniom — szepcze pełen trwogi Markotny.

— Czamuto nie? — pyta pełen radości Anioł.

— Jo im radza, nie zwoniom... a a pójdziemy lepiej nazod, skądechny przyśli!

— Nie, strapiony mój człowieku, dzisiok musisz zaś łodzyskać swoje szczęście.

TRAFNA ODPOWIEDŹ

WE FRANCJI spotkał razu jednego niedowiarek jadący na pysznym wierzchowcu, prostego kapłana wiejskiego, zamierzającego odwiedzić chorego, aby go w cierpieniach pocieszyć.

— Księże — zagadnął pyszny jeździec kapłana—gdzie to ksiądz zostawił swoją starą szkapę, na której ksiądz zwykł był jeździć?

— Koń nie żyje — odparł kapłan.

— Co za szkoda! — rzekł jeździec i dodał złośliwie:— Ksiądz jednakowoż udzielił biednemu zwierzęciu ostatnich sakramentów?

— Niestety, nie.

— A dlaczego?

— Koń w nic nie wierzył.

Niedowiarek zawstydzony odjechał prędko...

I Anioł chycił ponownie po zwonek i pociągnął zań z całych sił.

Chwila ciszy, potem słychać otwieranie okna i jakiś głos kobiecy woło:

— Wto tam?

— To jo, Anioł waszego domu, przywodza ci twojego chłopa.

— Dockajom chwilka — pado ten sam głos.

Markotny chcioł się Aniołowi wyrwać, ale Anioł trzymoł go fest, nie puścił.

— Raduj sie, człowieku — pado — przeżyjesz zaś jak dawniej szczęśliwy wieczór...— i zaczon cichutko nucić:

"Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi"...

Ale nie skończył, bo gwołtem łozdarły się dzwierze i jakoś mokro chadra chlapnyła mu między łocy, potem zaś pocuł jakoś twardo miotła na plecach i głowie i głos pełen piekielnego jadu:

— Mosz, ty ślimoku djobelski... a mosz ty chacharze łośkliwy kolenda...

I kibel jakisik pomyji cy cegoś gorszego gichnył na głowa Markotnego i jego biednego, przerażonego Anioła.



Wesoły Kącik

Pocieszył go

— Kelner! W mojej zupie pływa mucha.

— No, nic wielkiego, takie małe stworzenie niewiele przecież wypije.

Żal mu

— Cóżeś się tak zajadle targował z twoim krawcem o wiosenną zarzutkę? Przecież i tak mu nie zapłacisz.

— Pewnie, ale żal mi go i chciałem, żeby mniej stracił.

Mądry Morycek

— No, ale z dodawaniem to nie najlepiej idzie u ciebie, Moryc! — powiada nauczyciel.

— A na co mi to teraz potrzebne? Teraz tylko się odejmuje.

Chciał wiedzieć...

— Drogi chłopcze! Dlaczego prosisz, bym pogłaskał tę psinę?

— Psze pana, chciałem wiedzieć, czy on nie gryzie!

Ile razy?

— Już z dziesięć razy prosiłem pana, żeby mi pan oddał te pieniądze!

— Tak, a ile razy ja musiałem pana prosić, zanim mi pan je pożyczył?

Roztargnienie

Matka:— Mój Boże!! Bobuś połknął zapałki... Co tu robić?

Ojciec: (w roztargnieniu): Weź moją zapalniczkę!..



Obrazki z życia i działalności naśladowców św. Franciszka. Modlitwą i pracą przeplatają swe życie, w którym znajdują pokój prawdziwy i szczęście wewnętrzne.


Ci. którzy pragną poświęcić się Bogu w Zakonie świętego Franciszka, niech piszą po bliższe informacje na adres:
Very Rev. Provincial
Franciscan Fathers
Pulaski, Wis.



Pisarz a Msza św.

MANZONI, sławny poeta i powieściopisarz, był już w podeszłym wieku i osłabiony, a mimo to co niedziela i święto uczęszczał na Mszę świętą, przekonany o jej nieocenionym pożytku.

Pewnej niedzieli deszcz lał jak z cebra, zimno dojmowało do kości, a siłą orkanu szalejąca burza nie pozwalała wychylić się z domu. Sędziwy poeta chciał mimo to udać się na Mszę świętą, lecz jego usiłowania, przedstawienia i prośby zostały bezskuteczne, bo domownicy jego nie puścili go z domu. Został więc w domu bez Mszy świętej Manzoni, ale posmutniał i popadł w zły humor.

Po południu odwiedził go jeden z jego najszczerszych przyjaciół, a widząc go w niebywałym usposobieniu, zagadnął:

— Przyjacielu, co ci się stało, żeś taki smutny i nieswój? Chyba cię wzburzyła burza dzisiejsza? Grozą burzy dzisiejszej groźne twoje oblicze. Porzuć u licha te chmury i gromy, i czoło rozjaśnij!

— Ależ to nie burza tak mi dogryzła.

— Cóż tedy?

— Ach, to domownicy dla burzy nie puścili mnie na Mszę świętą!

— Więc to dlatego jesteś tak smutny!? Ciesz ty się raczej, że masz domowników tak o twą osobę troskliwych! W taką burzę nie godzi się i psa z domu wyganiać, a ty na twe stare lata do kościoła chcesz chodzić!! Miej rozum!

— Na miłość Boską — wpadł mu w słowa Manzoni — nie mów tak, proszę cię bardzo!

— Cóż to ma znaczyć? — zdziwiony gość pyta.

— Słuchaj — mówi Manzoni — słuchaj, co powiem. Wyobraź sobie, że masz w ręku los loteryjny, i żeś na ten los wygrał sto tysięcy złotych. Dzisiaj rano przyniósł ci listonosz tę radosną nowinę. Dzisiaj więc miałbyś dostać w kasie wygrane pieniądze. Powiedz, czybyś dla burzy zostawił w kasie pieniądze, czy też mimo huraganów i burzy pobiegłbyś po wygrane pieniądze?

— Pobiegłbym, rozumie się, po pieniądze, bo sto tysięcy złotych, to nie Msza święta. Czy może ty myślisz, poeto, że jedna Msza święta większej jest wartości, niżeli złotych sto tysięcy!?

— Takie jest moje najświętsze przekonanie — odpowiedział poeta — złoto całego świata nie ma takiej wartości, jak jedna Msza święta. Czyż wobec tego, że dla burzy opuściłem Mszę świętą, podczas gdy ty dla marnych pieniędzy wcalebyś na burzę nie zważał, powiedz, czy wobec tego nie mam powodu do niezadowolenia!?... **J. M. Z.**



DO CZEGO MOŻNA UŻYWAĆ SOLI KUCHENNEJ

SÓL kuchenna, której używamy do potraw dla nadania im smaku, można zastosować w wielu innych wypadkach i z wielkim pożytkiem. Jest ona substancją pomocniczą przy tworzeniu się klatek naskórka, wzmacnia kości, i jest hygieniczna dla żołądka, jamy ustnej i t.d.

A więc sól, używana jako przyprawa, może służyć:

1) Jako środek oczyszczający naczynia od spalenizny, powstałej przez przypalenie się w nim potrawy. Należy przygotować roztwór — na każde pół litra wody wsypać 1 dużą łyżkę soli i roztwór ten przegotować w tymże naczyniu. Spalenizna bez trudu odstanie i naczynie będzie jak nowe.

2) Jako środek przeciw wypłynięciu białka w razie pęknięcia jaja przy gotowaniu. Należy przeto do wody, w której jaja mają się gotować, wsypać na każde pół litra wody małą łyżeczkę soli.

3) Jako środek wzmacniający szczecinę i włos w szczotkach od czyszczenia obuwia i tp. Należy przegotować ciepły roztwór — na każde pół litra wody 2 łyżki soli — i w tym roztworze zanurzyć i pozostawić na 10 minut każdą nową szczotkę. Uchroni to od łamania się i wycierania włosia.

4) Jako środek leczniczy — przy zapaleniu lub ropieniu ocznym, które powstaje przez nadwyrężenie wzroku przez czytanie lub pracę przy nieodpowiednim świetle. Należy przygotować roztwór — na pół litra wody przegotowanej lub dystylowanej wsypać 1 małą łyżeczkę soli (czystej). W ciepłym roztworze maczać watę hygieniczną lub gałganek płócienny (tylko z płótna) i przemyć oczy co godzinę.

5) Jako środek higieniczny dla jamy ustnej, wzmacniającej dziąsła i oczyszczający zęby od osadu, a przez to zapobiegający prędkiemu psuciu się ich. Należy przegotować roztwór — do szklanki ciepłej wody wsypać 3/4 łyżeczki (od herbaty) soli i i roztworem tym płókać po każdym jedzeniu. Silniejszy roztwór t.j. 1 i pół łyżeczki na szklankę wody może służyć jako środek leczniczy przy zapaleniu gardła i płókać nim należy co 15 minut.

Zbierane z całego świata...

Ciekawostki



SKĄD POCHODZI KRAWAT

Nazwa "krawat" pochodzi od korpusu kroackiego armii cesarskiej z przed lat 350. Żołnierze tego korpusu występowali w swym narodowym stroju, do którego należała też chusteczka, zawiązana na węzeł u szyi, a której końce opadały im na piersi. Szeregowcy "korpusu kroackiego" mieli takie chustki czarne z taniego materiału, oficerowie zaś — różnobarwne, jedwabne.

Ponieważ zaś w ludowym języku niemieckim Kroatów nazywano też Krowotami, więc i te ich charakterystyczne chustki ochrzczono nazwą krowotów, lub krawatów.

Z biegiem czasu moda ta rozpowszechniła się po całym świecie.

ILE CZŁOWIEK MA WŁOSÓW NA GŁOWIE?

Nie sztuka odpowiedzieć, gdy mowa o łysym, jak kolano, Ale, ile jest włosów na głowie normalnie uwłosionego? Na takie pytanie odpowiada się zazwyczaj: Policz sam. Jednak znaleźli się "uczeni", którzy policzyli. Twierdzą oni, że na centymetrze kwadratowym skóry rośnie przeciętnie 300 włosów. Nie wszędzie jednak na głowie włosy są jednakowo gęste. I tak na centymetrze kwadratowym ciemienia rośnie zaledwie 170 włosów.

Ilość włosów zależy zresztą od ich barwy. Mężczyźni mają rzadsze uwłosienie od kobiet. Ruda kobieta ma na głowie około 88,000 włosów; blondynka 140,000; szatynka 109,000; brunetka 102,000. Na centymetrze brody dorosły mężczyzna ma 23 do 30 włosów.— Kto nie wierzy, niech sam policzy.

ROZKŁAD ŻYCIA LUDZKIEGO

Przeciętny wiek ludzki wynosi 70 lat. Ciekawe jest, w jaki sposób rozkłada się te 70 lat na poszczególne sprawy życia człowieka.

W łóżku spędza się przeciętnie około 23 lat; 13 lat pochłania mówienie; 6 lat jedzenie; 3 lata czytanie. Na mycie traci się półtora roku, na odpoczynek pełnych lat 20. Z rachunku tego wynika, że na pracę człowiek poświęca w ciągu życia za-

ledwie 13 lat. Ciekawe, ile z tego wypada na modlitwę, w obecnych czasach chyba bardzo niewiele.

JAPOŃSKIE PRZESĄDY

W Japonii panuje mnóstwo przesądów. Jeżeli, np. dziecko zabije kota, kot będzie się mścił na nim aż do siódmego pokolenia. Jeżeli dziecko zabije żabę i przygląda się jej przedśmiertnym drganiom, będzie mu przez całe życie drgała ręka przy pisaniu.

Jedno kichnięcie oznacza pochwałę; dwa po sobie następujące — brak smaku; trzy — nieprzyjemny zatarg z sąsiadem; cztery — zawód w miłości. Igła nieopatrznie upuszczona wróży dużą stratę materialną, zwłaszcza w handlu. Liść herbaty, znaleziony w szklance, oznacza przybycie niespodziewanego gościa.

Święto Nowego Roku Japończycy spędzają w milczeniu, gdyż wielomówność w tym dniu może sprowadzić długotrwałą chorobę. Kto chce zostać bogatym, powinien w ostatnim dniu starego roku połknąć kawałek nici.

Kwiat lotosu, podarowany innemu człowiekowi, sprowadza śmierć na tego, kto nieopatrznie przyjmie ten złowróżbny prezent. Pomimo swojej piękności i miłej woni, kwiat lotosu, poświęcony Buddzie, jest uważany za symbol śmierci.

KAŻDY UMIERA INACZEJ

Królowie i książęta *schodzą z tronu.* Trębacze, klarneciści, fleciści *puszczają ostatni dech.* Adwokaci, mówcy polityczni *milkną na zawsze.* Wielce i mali żydzi *przechodzą na łono Abrahama.* Kupcy, bankierzy i komornicy *liczą się z ostatnią minutą.* Podróżni i pielgrzymi *kończą*



DOBRA NAUKA

Wydzwoniono południe. W małym, niskim domku siedziała średnich lat kobieta; wokoło niej bawiło się kilkoro dzieci. Dziecinne twarzyczki raz po raz zwracały się ku matce, która smutna, pogrążona w myślach, nie zwracała uwagi na swe maleństwa.

Nagle podniosła się z ławki, wzięła pusty garneczek, owinęła go i wyszła. W kilka minut stanęła przed drzwiami karczmy. Zawahała się — na chwilę. Pchnęła lekko jedno skrzydło i znalazła się w ciemnej, przedymionej, pełnej zapachu alkoholu izbie. Odnalazła wzrokiem męża i podchodząc do niego, rzekła:

— Przyniosłam ci obiad, będąc pewna, że praca nie pozwoli ci spożyć wspólnego posiłku z nami.

Po tych słowach cicho odeszła.

Mąż począł się śmiać, pragnąc zatuszować niemiłe wrażenie i pokryć uczucie wstydu. Chcąc przed kolegami zatrzeć ślad bytności żony, gorąco zaprasza ich do przyniesionego dopiero co obiadu. Podnosi pokrywę — zdumienie graniczące z przerażeniem maluje się na jego twarzy — na dnie pustego garnka znajduje skrawek papieru ze słowami: "Smacznego. Taki sam posiłek żona twoja i dzieci mają w domu".

doczesną pielgrzymkę. Właściciele domów *przenoszą się do domu wieczności.* Sędziowie i prokuratorzy zostają *wezwani na Sąd Boży.* Doktorzy i aptekarze *odchodzą tam, gdzie nie ma już żadnych chorób ani boleści.* Notariusze *sporządzają ostatni akt zejścia.* Dłużnicy *oddają dług... naturze.* Gwiazdy i gwiazdorzy filmowi *odgrywają ostatnią scenę komedii życia.* Biedacy *przenoszą się do lepszego świata.* Życie zapalaczy lamp *gaśnie.* Rzemieślnikom, fabrykantom i sportowcom *ręce i nogi ustają na zawsze.* Redaktorzy *wydają ostatni numer życia...*

POST I ZDROWIE



GŁÓD jest najlepszym kucharzem a post najlepszym lekarzem. Jako środka leczniczego winni nietylko ludzie chorzy stosować posty, aby łatwiej dochodzić do zdrowia, ale też ludzie zdrowi, aby uniknąć wielu chorób na przyszłość.

Post jest doskonałym sposobem odczyszczania organizmu z nagromadzonych w krwi i tkankach pierwiastków chorobowych, stanowi ponadto konieczny odpoczynek dla przepracowanych narządów wewnętrznych. Post wpływa ponadto na nasze siły duchowe, podnosząc je, uszlachetniając, budząc w nas energię i nowe siły fizyczne i duchowe wskutek racjonalnego postu nie tylko nie maleją, lecz owszem, wzmagają się niezmiernie.

Kuracje postne, to nie — jak wielu sądzi — jedynie wstrzymanie się od spożywania mięsnych potraw, trzeba ponadto ograniczyć ilość ogólną pożywienia. Objadanie się potrawami postnymi jest tak samo szkodliwe, a post, mający zadanie lecznicze dotyczy nietylko jakości potraw, ale i ich ilości.

Dłuższy post jest jednak szkodliwy w chorobach bardzo posuniętych, jak: rak, cukrzyca, złośliwe nowotwory, gruźlica, uwiąd rdzenia w trwałych zmianach tkanek, w zwyrodnieniu tłuszczowym serca lub wątroby, w ogólnym zakażeniu krwi.

Natomiast wskazany jest dłuższy post w chorobach z nieprawidłową przemianą materii, obłożonym językiem, brakiem apetytu, zaburzeniami w przewodzie pokarmowym, chorobach skórnych i t.d.

Jeżeli ktoś chce przeprowadzić dłuższą kurację postną lub głodówkową, powinien koniecznie zasięgnąć rady lekarza, ogólne jednak stosowanie postu w tych mądrych granicach, jakie nakreśla w okresie Wielkiego Postu swym wiernym Kościół katolicki, każdemu może wyjść tylko na zdrowie.



Zwycięstwo Łaski

CIEMNA noc, śnieżna zawieja. Cisza zaległa górską wioszczynę, nawet pies nie zaszczeka, tylko wicher wyje i targa korony drzew. Jedynie w chacie Macieja błyszczy jeszcze światło. Gazda gotuje się w daleką podróż.

Mocując się z zawieruchą, brnąc w śniegu po kostki, spieszy drogą dwóch staruszków. To ksiądz proboszcz, z wiernym kościelnym, Walentym, niesie konającemu Maciejowi posiłek na drogę wieczności. Kroczą w milczeniu, chwilami tylko słychać ściszony jęk, kiedy wicher zanadto oddech zapiera. Stary Walenty wzdycha raz po raz, bo wiatr mu zgasił latarnię, a to przecież nie uchodzi, żeby bez światła iść z Panem Bogiem.

Szli tak godzinę, a czas naglił, bo Maciejowi bardzo spieszno było do nieba. Zaledwie przyjął święte Sakramenta, zgasła lampka jego życia. Umarł, pojednany ze swoim Zbawcą, otoczony rodziną, zgromadzoną przy jego łożu. Ksiądz proboszcz i kościelny pomodlili się chwilkę przy zwłokach i ruszyli w powrotną drogę. Teraz nie potrzebowali już latarni, bo księżyc wyjrzał z za chmur.

Walenty odprowadził księdza proboszcza na plebanię i poszedł do swojej chatynki na skraju wioski. Z trudem odparł śnieg, który zasy-

pał drzwi. W izdebce było zimno. Naftowa lampka słabo oświetlała wnętrze; stół, ławka przy piecu, przybory szewskie i kilka kulawych krzeseł, to całe urządzenie. Piec był zamały, żeby ogrzać ciasną izdebkę i w towarzystwie pożółkłych obrazów staruszek poczuł się bardzo opuszczony.

Walenty był szewcem, organistą i kościelnym w jednej osobie, a kiedy w okolicy zdarzyło się wesele, to bywał i za grajka. Byłby mógł żyć spokojnie, gdyby nie dwa zdarzenia, które zatruły mu życie. Najpierw młodo umarła mu żona, a potem jego jedynak, Franek, poszedł sobie w świat. Wtedy Walenty odsunął się od ludzi. O Franku słuch zaginął. Pewnie już nie żyje, bo to przecież trzydzieści lat minęło... Długo, długo wyglądał go biedny ojciec, ale teraz pewnie już nie wróci. Że też to nie zatęsknił za rodzinną wioską... Często tak rozmyślał Walenty i teraz, kiedy zmęczony, przeziębnięty wrócił do zimnej izdebki, opadły go te wspomnienia.

Na dworze śnieżyca rozszalała się nanowo, wicher szarpał oknami, wpadał przez szpary, porywał resztę ciepła i sen spędzał z powiek. Walenty leżał z otwartymi oczami, a myśli jego uleciały do chaty Macieja. Naraz zmarły wydał mu się taki podobny do Franka, ale ten także już nie żył, więc wszystko było w porządku. Strach, gdyby na taki czas musiał się błąkać głodny, obdarty...

Na wieży kościelnej wybiła północ. Drżące dźwięki upewniły Walentego, że zegar jeszcze idzie. Bo i o tym musiał pamiętać. Czy tylko wieczna lampka się pali, czy wicher jej nie zgasił, jak latarnię w drodze do Macieja?

Walenty miał swoje troski. Teraz dręczyła go myśl, że wieczna lampka mogła zgasnąć, a przecież światło musi się zawsze palić w kościele, bo tam mieszka Pan Bóg. Powinien był dolać oliwy... No tak, niespodziewana śmierć Macieja wstrząsnęła nim głębiej, niż sądził...

Wstał więc znowu, pociemku, ubrał się i sięgnął po wielki klucz od zakrystii, wiszący zawsze koło drzwi. Nie zważał na szalejącą śnieżycę, dziwny niepokój gnał go ku kościołowi. Im bliżej, tym bardziej przyspieszał kroku. — A to co?... Zakrystia otwarta, a przecież dobrze pamięta, że drzwi zamknął na klucz! Nerwowo otrząsnął śnieg z butów i wszedł do zakrystii, poomacku szukając zapałek, które kładł zwykle na oknie.

Wtem stało się coś okropnego. Walenty uchwycił rękę ludzką; w tej samej chwili uczuł silne uderzenie w głowę i runął nieprzytomny na ziemię. Po chwili dusza jego opuściła ten padoł płaczu. — Walenty leży martwy na świętym miejscu, a śnieg, upadający tumanami przez otwarte drzwi, nakrywa go białym całunem.

Przez pola ktoś skulony pędzi w stronę pobliskiego lasu.

Promienie wschodzącego słońca z trudem przebiły ciężkie, ołowiane chmury, a kiedy wreszcie oświeciły chaty i pola, nie mogły rozbudzić radości. Koło kościoła grupkami stali wieśniacy i coś smutno rozprawiali...

Czas już na Mszę św., a dotąd nikt nie dzwonił. Wreszcie i ksiądz proboszcz przyszedł do kościoła zo-

baczyć, co się to dzieje. I oto znalazł swego kościelnego, posiwiałego na służbie Bożej, leżącego bez życia. Na skroniach jego widniała zaskrzepła krew... Zamordowała go zbrodnicza ręka... Wiekowy Duszpasterz sam zadzwonił na trwogę, a kiedy zbiegła się cała wioska, oświadczył: "Nasz Walenty nie żyje, ktoś go zamordował... zamordował na świętym miejscu".

Z ust zebranych wymknęło się niejedno przekleństwo, niejedna pięść podniosła się przeciw nieznanemu mordercy.

Jeszcze przed południem zjechała komisja sądowa z powiatowego miasta. Mogła jednak ustalić tylko, że nieznany sprawca włamał się do kościoła i — jak wskazywały ślady — chciał ukraść święte naczynia. Zamordowany musiał mu w tym przeszkodzić, więc uderzył go jakimś ciężkim przedmiotem. Ślady na śniegu wskazywały, że sprawca uciekł do lasu, ale tam już zaginęły. Śmierć Walentego musiała nastąpić zaraz, bo czaszka była strzaskana.

Mimo gorliwych usiłowań, nie można było wyświetlić sprawy. Po kilku tygodniach rzadko już mówiono o tym, tylko drzwi mocniej zamykano na noc. Nastał inny kościelny, pilnował kościoła i zegara, a do wiecznej lampki starannie dolewał oliwy.

I znowu nastała zima, twarda, górska zima, z śnieżycami i północnym wichrem. Drogi świeciły pustkami. Tylko zziębnięte wróble szukały w śmietniskach pożywienia i od czasu do czasu przebiegała drogą pokręcana szmatami kobieta. Kto mógł, tulił się do ciepłego pieca.

ŻÓŁWIE

ŻÓŁWIE należą do rodziny płazów, czyli zwierząt pełzających. Twardy, rogowy pancerz wyróżnia je od wszystkich innych zwierząt. Tworzy się on z żeber i części kostnych żółwia, szczególnym sposobem zrośniętych i spojonych z sobą. Mięso żółwia jest smaczne. Jaja żółwia są także bardzo poszukiwane do jedzenia i do wytłaczania z nich oleju. Samica składa jaja w jamce wygrzebanej w piasku i przykrywszy je piaskiem, już się wcale o nie nie troszczy. Słońce ogrzewa jaja i po pewnym czasie małe żółwie wydobywają się ze skorupek i zaczynają szukać pożywienia.

W niektórych gorących krajach żółwie lądowe dochodzą nieraz do półtora jarda długości. Największe olbrzymy z rodziny żółwi znajdują się w morzach stref gorących, czasami ważą one do tysiąca funtów. Z niektórych żółwi morskich mamy szylkret. Jest to wierzchnia warstwa rogowego pancerza, cenny materiał do wyrobu grzebieni, szpilek do włosów i wiele innych przedmiotów. Żółwie lądowe żywią się przeważnie roślinami, ale zjadają również robaki i owady. Są nadzwyczaj wytrzymałe na głód. Mogą prawie rok obywać się bez żadnego pokarmu, do czego przyzwyczaja je długi sen zimowy. Na zimno są bardzo czułe, nie mają bowiem własnego wewnętrznego ciepła.

Bezdomny jak wróble, głodny i zziębnięty jak one, przyszedł do wsi nieznany mężczyzna. Zaszedł najpierw do chatki dawnego kościelnego. Tu nic nie dostanie. Pustka wyziera przez okna, dach napół rozwalony; tu nie ma ciepłego ogniska. Pomimo tego żebrak długo stał przed chatą potem zawrócił, skąd przyszedł, jakby go kto gonił.

Nazajutrz była niedziela. Stojący przed kościołem gospodarze rozprawiali żywo. Między nimi kręcili się malcy, byle tylko nie uronić ani słowa z rozmowy starszych.

Spiesząc do kościoła wczesnym rankiem, kościelny usłyszał na cmentarzu jakieś jęki. Coś się musiało stać komuś. Poszedł za głosem i oto na grobie Walentego znalazł skostniałego, obdartego, obcego człowieka. Szron pokrywał jego odzienie, a z zaniedbanej brody zwisały sople lodu. Przerażony, kościelny zawołał starą Magdę z plebanii i z trudem przenieśli półżywego do kuchni. Kiedy w cieple otworzył oczy i zobaczył przed sobą sędziwego proboszcza, dreszcz wstrząsnął jego wynędzniałym ciałem.

"Ja to zrobiłem — bełkotał — ja go zamordowałem".

Z początku ksiądz proboszcz myślał, że ma przed sobą szaleńca. Ale po chwili, opanowawszy się nieco, nieznajomy wyznał, że jest synem zamordowanego kościelnego. On jest tym Frankiem, który przed laty, młody i silny, poszedł szukać szczęścia na szerokim świecie. Nie darzyło mu się; zeszedł na manowce. Wkońcu myślał, że w rodzinnych stronach będzie mógł żyć łatwo z kradzieży; przeszkodził mu w tym ojciec. Jakaś nieznana siła ciągnęła go jednak na miejsce okropnej zbrodni. Chciał tutaj pokutować i — umrzeć. Westchnął głęboko, wybełkotał: "Ojcze, ojcze" i wyzionął ducha.

Kiedy przed sumą ksiądz proboszcz wyszedł na ambonę, powiedział drżącym głosem: "Zmówmy 'Ojcze nasz' za duszę zmarłego Franciszka. Popełnił świętokradztwo i zamordował rodzonego ojca. Ale umarł w pokucie na miejscu swej zbrodni. Pomódlmy się, żeby Bóg okazał mu Swoje miłosierdzie".

Dawno już wierni opuścili kościół, a sędziwy Proboszcz ciągle jeszcze klęczał na stopniach ołtarza i błagał: "Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci!"

CIEKAWOSTKI

Kto pożycza od innych, żeby budować, buduje, żeby sprzedać.

Pewien jegomość lubił przyjmować usługi ludzkie, ale nigdy się za nie nie odwdzięczał, bo jak mówił, wszystkie były **nieocenione.**

Posłowie dlatego się tak zowią, że tam, gdzieby powinni obszernie mówić o dobru kraju, mówią tylko p o s ł o w i e.

Dzień jeden wart trzy dla tego, kto robi każdą rzecz w swoim czasie.

Jedyna recepta na powodzenie brzmi: próbować, próbować i jeszcze raz próbować. Co nie starczy na surdut, starczyć może na kamizelkę.



URODA PRZEMIJA

W GRUDNIU, 1872 roku, ówczas prawie 50-letni rzeźbiarz francuski, Emanuel Fremiet, otrzymał zamówienie od miasta Paryża na opracowanie wielkiego pomnika Dziewicy Orleańskiej.

Artysta z zapałem zabrał się do dzieła. Przeczytał bardzo wiele książek o Joannie i wkońcu odwiedził jej ongiś rodzinne okolice, a mianowicie historyczną dziś wioskę Domrymy-la-Pucelle. Tu spotkał na polu młodą dziewczynkę, która udawała się do pracy. Na jej widok Fremiet postanowił rzeźbić posąg Joanny na koniu. Zabiegł więc drogę dziewczynie i zawołał: "Panienko, proszę się nie bać. Musisz ze mną jechać do Paryża: jesteś Joanną, której szukam".—

I Aimee Girod, bo tak się nazywała młoda dziewczyna, zdołała przekonać ojca, i uzyskać jego pozwolenie na wyjazd w wielki, nieznany świat.

W pracowni Fremieta, przy ulicy świętego Honoriusza, powstał posąg świętej Joanny, która miała rysy Aimee. Gdy posąg ustawiono na paryskim Placu Piramid i uroczyście odsłonięto, Fremiet w jednym dniu stał się sławny. Ale wszyscy zainteresowali się, kto był modelem do posągu.

Młodziutka Aimee wnet została ulubienicą wielkich salonów artystycznych Paryża. Najwięksi malarze ubiegali się, by móc malować znaną piękność. Jej twarz oglądano na współczesnych wystawach i w wielkich galeriach sztuki.

Ale sława modelek przemija nieraz szybciej niż uroda. O pięknej Aimee wnet zapomniano. Fremiet, który potem stworzył jeszcze wiele znanych dzieł, postarzał się zupełnie.

Pewnego dnia zgłosiła się do niego siwowłosa kobieta. Była to Aimee Girod, która znalazła się w nędzy. Fremiet wraz z przyjaciółmi zebrał środki, aby jej pomóc. I znowu było o niej cicho. Tymczasem Fremiet zmarł w roku 1910, a nad Francją przeszła pierwsza wojna światowa.

I minęło znów wiele czasu. Aż 11 lat temu, w 1937 roku dzienniki paryskie przyniosły wstrząsającą wiadomość o losie pewnej staruszki, która mieszkała samotnie w małym domku na przedmieściu Paryża. Domek spłonął do fundamentów, a w płomieniach znalazła śmierć przykuta ciężką chorobą do swego łóżka, jego jedyna mieszkanka. Była to Aimee Girod, która zginęła w płomieniach, jak ta, do której posągu pozowała przed 65 laty.

Z posągu patronki Francji, bohaterskiej Joanny d'Arc, na paryskim Placu Piramid zawsze króluje piękność młodziutkiej Aimee Girod i zapewne nikt z oglądających ten pomnik nie domyśla się nawet, jaki był los tej, która rzeźbie dała swe rysy.



Nigdy o nikim złego słowa nie wypowiadaj!

Szanuj Każdego!

PEWNA Angielka, która licząc 75 lat, przez ostatnie przeszło pół wieku ani jednego złego słowa o nikim nie powiedziała. Gdy ją zapytano, dlaczego tylko ludzi chwali, a nikogo nie gani, odpowiedziała tak:

— Gdy miałam 19 lat, pewien młody człowiek, Fred, zaproponował mi przejażdżkę do Brighton. Był strasznym kawalerem. Kiedyś przyniósł mi na urodziny róże, które śmierdziały. Innym razem wypuścił nieznacznie na przyjęciu mysz z kieszeni na podłogę. Trochę się go więc bałam, ale pojechałam...

— W Brighton była gęsta mgła. Poszliśmy poomacku w tę mgłę. Fred dowcipkował; był wesoły jak szczygieł. Coraz to mnie macnął gdzieś, a potem udawał, że ściga przechodnia, który to uczynił. Śmieliśmy się niczym Włosi w Neapolu.

— Oto, zdaje się, że widzę wieloryba czy autobus — zawołał nagle Fred — muszę sprawdzić, które to z dwojga!

— Pobiegł w bok, znikł we mgle.

— Czekałam 5 minut, 10 minut. Wołałam, krzyczałam!

— Fred, dość tego głupiego żartu — groziłam na głos — jeśli nie wrócisz zaraz, wracam do Londynu.

— Nic! Ani śladu Freda. Poszłam wściekła do miasta z powrotem. Wsiadłam w pociąg. Płakałam ze złości.

— Bydlę — mruczałam — co za łajdacki kawał. Oooo! łotr, podlec, cham! Nie chcę go więcej widzieć. Żeby kark skręcił w tej mgle...

Po dwóch dniach przeczytałam w gazecie, że znaleziono Freda martwego — u stóp skały, pod Brighton. Spadł w tej mgle. Szum morza zagłuszył łoskot upadku.

— Ścisnęło mnie za gardło. Było mi żal Freda i paliły mnie wyrzuty sumienia, że złościłam się nań, że przeklinałam go — gdy on, jeszcze ciepły, o 50 kroków ode mnie — już nie żył. Tyle lat minęło, a mnie wciąż wstyd, gdy przypomnę sobie, jak lżyłam wówczas biednego martwego Freda...

— Od tego czasu przysięgłam sobie nigdy o nikim złego słowa nie powiedzieć!...

Dla Pani Domu



1. Przyzwyczajaj się codziennie robić ćwiczenia gimnastyczne. Kilkanaście ruchów wykonanych rękami, nogami i całym tułowiem dodadzą ci energii i chęci do pracy.

2. Zrób rozkład pracy na dzień jutrzejszy. A unikniesz pośpiechu, spóźniania się i zdenerwowania.

3. Codziennie wieczorem zrób rachunek z swoich dzisiejszych czynności; zastanów się, czy wszystko było wykonane należycie, czy następny raz nie należy coś poprawić?

4. Połóż każdą rzecz na właściwym miejscu, a nie będziesz miała duża roboty w piątek, lub w sobotę z "generalnym" sprzątaniem.

5. Wymagaj porządku od dzieci, aby zawsze kładły rzeczy i książki na właściwym miejscu.

6. Niech dzieci przygotują lekcje przed kolacją. Po kolacji dzieci nie powinny się uczyć.

7. W czasie odrabiania lekcyj dziecko winno mieć spokój. Nie wolno rozmawiać, aby nie przeszkadzać dziecku i nie odrywać jego uwagi od książki. Dlatego najlepiej dać dziecku osobny pokój do odrabiania lekcyj.

8. Dbaj, aby dziecko szło spać najpóźniej o godzinie 9:30. Dzieci powinny spać 9 do 10 godzin na dobę.

9. Dzieci nie mogą iść spać nieumyte.

10. Pilnuj dokładnie godziny posiłków, aby codziennie jedzenie było podawane o tym samym czasie.



Lourdes

ROZPRAWIANO O CUDACH w Lourdes. Roztrząsano przyczyny uzdrowień, przypisując je potędze Bożej. Ostatni zabrał głos młody człowiek.

— Wyjaśnić możemy — mówił — wasze cuda drogą zupełnie naturalną. Mam przyjaciela bardzo mądrego, który przypisuje te wszystkie zjawiska albo naturalnym siłom przyrody, albo sugestii, wpływami nerwów, siłom psychicznym człowieka.

— Czy był w Lourdes ten pana mądry przyjaciel?

— Nie. Dla niego to jest zbyteczne! On jest bardzo mądry i uczony; gdyby tu był, zaraz opuściłaby was wasza pewność!

— Zanim jednak pański przyjaciel będzie mógł zaznajomić nas ze swoimi teoriami, niech mu pan pierwej sam postawi kilka pytań.

— Czemuż to wcześniej nie działały w Lourdes te naturalne siły przyrody, które tak dobrze zgłębił, aż dopiero od 1858 roku, od chwili 18-tu objawień Matki Najśw. pokornej Bernardecie Soubirous? I czemuż to te siły przyrody są tak klerykalne, czemu działają w łączności z aktami religii, w czasie procesji, po Mszy św., po wzbudzeniu aktu wiary?

— Gdybym miał tę wiedzę, którą posiada mój przyjaciel, napewno odpowiedziałbym.

— Wróćmy do sugestii nerwów... Według pana, zdwojone pragnienie wyzdrowienia wystarczy, aby usunąć chorobę.

— Mój przyjaciel tak twierdził jeszcze wczoraj wieczór.

— Proszę jeszcze się go zapytać, dlaczego w takim razie tej dobroczynnej wiedzy nieużytkuje dla siebie i dla dobra całej ludzkości? Czyż ta piękna teoria o wpływie nerwów czy hypnozy byłaby na tyle potężną, by uzdrowić człowieka w zupełności i na zawsze, nawet wtedy, gdy ma raka lub rany ropiące?

— O tym nie myślałem! A czy w Lourdes spotykamy się z tego rodzaju uzdrowieniami?

— Tak!... I to nie rzadko!

— Czy mógłby mi ktoś z obecnych przytoczyć wypadki wiarogodne i stwierdzone przez lekarzy?

— Z ochotą! Otóż np.: Panna Piquet z Francji została uzdrowiona w przeciągu dwóch minut z raka, który toczył jej pierś od 3 lat. Doktór nie chciał się podjąć operacji, jako bezużytecznej i nie mogącej sprowadzić polepszenia zdrowia nieuleczalnie chorej.

—Inny wypadek: Joachima Dehant z okolic Namur w Belgii uzdrowiona natychmiast w Lourdes z ropienia kości w nodze: "Ileż dobrego robi Najśw. Panna" — wyrzekła szczęśliwie uzdrowiona przez Nią,— odzyskuję i ciało i skórę". Cud ten stwierdzony został przez biskupa z Namur i jako taki rozpoznany, stwierdzony przez doktorów: Froidbice z Ohey i Vergez, profesora uniwersytetu w Montpelier.

— Zdumiewające!! I może pan podać dokładnie nazwiska i adresy tych osób?

— Tak, wszystkie! Ale jeszcze chwileczkę, mój panie, przytoczę inne zdarzenie i na nim skończymy dzisiejszą rozmowę. Maria Borel

****

Jeżeli chcesz wiedzieć, czy ktoś jest energiczny, spytaj się jego przełożonych. Jeżeli chcesz wiedzieć, czy ktoś jest dobry, spytaj się jego podwładnych.

W wyrazie "ludzkość" tkwi "kość", dlatego wyraz ten wielu ludziom nie może przejść przez gardło.

****

przybyła do Lourdes w stanie beznadziejnym. Prawy bok pokryty 6-ma ranami nieustannie ropiejącymi, rokował bliską śmierć. Każdy powtarzał pytanie: czy wyzdrowieje w Lourdes? Po zanurzeniu chorej w sadzawce, rany natychmiast znikły. Zdumienie lekarzy nie miało granic. Uzdrowioną otoczyło 7 czy 8 najznakomitszych doktorów. Jeden z nich rzekł:— Nie ma jeszcze blizny, ponieważ brakuje skóry.

— Patrz, doktorze! — zawołał drugi, — oto narasta i skóra w oczach naszych, pokrywając chore części. Po raz pierwszy widzę podobny wypadek! —wykrzyknął dr. Boisarrie — to przechodzi wszelkie pojęcie.

Tej nadzwyczajnej i niebywałej naradzie lekarzy były przytomne dwie osoby: lekarz protestant i jego żona.

— W naszej religii nie słychać o takich uzdrowieniach. Zostanę katoliczką—zawołała żona protestanta.

— Ja też...— dodał mąż.

Obrońca przekonań mądrego przyjaciela złożył wobec takich faktów broń. Nie mógł nie uznać przy pewnej dozie rozsądku rozumowań przyjaciela za płytkie i niewystarczające. Przed oczyma jego zabłysła cudowna moc działania Boga i orędownictwa Matki Najświętszej!...

ŻARTY



Ostatni raz

— Izaak, ja cię ostatni raz proszę, żebyś mi oddał moje pieniądze.

— Dzięki Bogu! Już mi się te twoje wieczne prośby uprzykrzyły.

Niebezpieczne!

— Dałbym sobie pobarwić włosy; jak sądzisz, czy barwienie takie nie jest przypadkiem szkodliwe?

— Bardzo nawet! Mój brat niedawno dał sobie ubarwić włosy i wnet potem ożenił się.

Czemu...

— Czemu przychodzisz do pracy tak późno?

— Bo się boję, żebym nie wyczerpał się za prędko...

Nowoczesna żona

— Skarbie, przyszyłaś mi wreszcie guzik do marynarki?

— Wiesz, kochanie, ani rusz nie mogłam znaleźć guzika, więc zaszyłam dziurkę.

Wytrzymały pacjent

— Panie doktorze, proszę mi prawdę powiedzieć. Niech pan na nic nie zważa! Jestem przecież mężczyzną! Niech mi pan powie, choćby to było coś najgorszego. ....

— Trudno, skoro pan sobie tego życzy, powiem. Pański rachunek za kurację wynosi trzysta dolarów!...

Zna siebie

— Słuchaj, mówi żona do męża. Karolek staje się z każdym dniem coraz bardziej do ciebie podobnym.

— Cóż nowego ten urwisz zbroił?

Czy widziałeś...

— Ale masz brudny kołnierzyk; dlaczego nie obrócisz go na drugą stronę?

— Mądryś, widziałeś kiedy kołnierzyk na trzy strony?

Które miejsce...

Redaktor do literata: Artykuł pański jest wcale dobry; musi pan jednak pisać tak, by pana każdy cymbał zrozumiał.

Literat: Które miejsce panu redaktorowi jest niejasne?



Kiedy Ci Smutno

Kiedy ci smutno i kiedy ci ciemno
Zamykaj duszę i uchodź od ludzi!
Smutek na twarzy — tylko złość w nich budzi...
Do Mnie ty przychodź — tu się żal — przede Mną.

Widzisz — gdym rozpiął na krzyżu ramiona
Wszystkom im oddał — boleści nie kryłem
Wkoło stanęła tłuszcza rozbawiona —
I złych gromada — że Ja jeszcze żyłem.

Chociaż zdeptali już Me człowieczeństwo
W twarz Mi naplwali i przebili Serce,
Nie byli jeszcze radzi, ci morderce
Milczenie Moje — to dla nich męczeństwo.

Ty do Mnie przychodź — w Moim Sercu skryte
Łzy twoje wszystkie i twoje cierpienia
Każde twe słowo w Mej duszy wyryte
I takie żywe wymową milczenia.

W ramiona Moje przyjdź, o ukochana
Tylem cię czekał lat i wieków długich
Dla ciebie wszystka Moja Krew wylana
Utońmy w sobie — zapomnij o drugich!

Daruj im winy — twoje darowane —
Spróbuj ich kochać i coś cierpieć dla nich,
A wnet inaczej będziesz patrzeć na nich;
Będą to twoje dzieci ukochane,
Jak tyś jest Moim dziecięciem boleści...

—M.K.



Cała wioska spoważniała, gdy została —



Bez --- Proboszcza

Eugeniusz Paukszta

ZBIERAŁO SIĘ na świtanie, gdy stary organista Walenty zabębnił nerwowo palcami w okno którejś chaty. Nikt się nie odezwał. Bali się ludzie drzwi odmykać w te czasy. Dopiero na gwałtowne już dobijanie się Walentego do drzwi, zza szyby okiennej zamajaczyła jakaś rozczochrana głowa i stłumiony głos zapytywał, kto zacz i czego chce.

— **Dobrodzieja nam zabierają.** Ziandary przyjechały — wyrzucił z siebie Walenty i już go nie było. Pukał z kolei do innej chaty.

Ksiądz Antoniewicz od 40 lat już na tej parafii siedząc, dożywał swoich dni. Siedem krzyżyków to kawał czasu nielada. Kochał swoją parafię, a parafianie odpłacali mu tym samym. Aż tu teraz takie nieszczęście! Co prawda, bano się tego w wiosce od dawna, bo chodziły słuchy, że dobrodziej partyzantów wspomaga, chowa ich u siebie, przyjmuje w plebanii. Co prawda jeszcze więcej kochali księdza ludziska, że ich "chłopców z lasu" przygarniał.

Nie minęło parę minut, a już wioska cała była na nogach. Co śmielsi wyszli nawet z domów i ostrożnie zbliżali się w stronę kościoła i obok stojącej plebanii. Inni niespokojnie tylko wyglądali przez okno. Baby lamentowały, a chłopy tylko pięści ściskały.

Ksiądz dobrodziej siedział już na furmance, otoczony zbirami niemieckimi. Konie ruszyły. Na ten widok, grupka stojących obok co śmielszych parafian, rzuciła się do wozu, prosząc Niemców o zwolnienie księdza.

— A dyć on stareńki, na co wom zda się — tłumaczyli.

Niemcy zaśmiali się tylko, a jeden z nich strzelił raz i drugi w powietrze, groźnie pokrzykując coś na chłopków po swojemu. Co było robić, cofnęli się.

Nazajutrz była **niedziela.** Jak w każde święto, tak i tego dnia ze-

brało się dużo ludzi przed kościołem. Nie wchodzili jeno jak zwykle do wnętrza i stali na podwórzu kościelnym, opowiadając sobie o zaszłym wczoraj wypadku.

Minęła ósma i dziewiąta, a wciąż koło kościoła kręciły się gromadki ludzi. Jakże to bez nabożeństwa we święto. Nigdy czegoś takiego nie pamiętali. Bo nawet i jak kiedyś ich dobrodziej chorował, to przecie przyjeżdżał ksiądz z pobliskiej parafii. Teraz tam wogóle księdza nie było, bo kościół bomba trafiła jeszcze w 1939 i spalił się od pożaru wtedy doszczętnie.

Organista Walenty raz po raz spoglądał na dwór zza drzwi kościelnych. Od grupki ludzi przed nim wzrok jego wędrował w kierunku drogi — a nuż księdza wypuszczą i wróci niebawem. Nic przecie u niego nie znaleźli.

Ale na drodze było pusto. A ludziska wciąż snuli się koło kościoła. Zaszedł tam jeden, drugi, pomodlili się, ale potem wysuwał zaraz chyłkiem. No bo jakże to, w niedzielę bez Mszy św., bez księdza.

Coś zaświtało raptem w głowie Walentemu. Pobiegł do dzwonnicy i zaczął pociągać za sznur od maleńkiej sygnaturki. Bo dzwonem — to przecie nie wypada. I tak nie wiedział, czy nie grzech to, co robić zamierzał.

Drgnęli ludzie, ze zdziwieniem spojrzeli na siebie. Cóż to — dobrodziej przyjechał, a to co? A tymczasem chłopcy do Mszy służący — posłani przez organistę informowali, że choć księdza nie ma, więc Mszy świętej nie będzie, to jednak pomodlą się wspólnie.

Nie wiedział, kiedy zapełnił się kościół. Walenty stał nieopodal ołtarza z książką w ręku. Przeżegnał się głośno. Ręce obecnych w kościele, w ciszy, namaszczeniu, poszły za jego śladem. Drżącym starczym głosem Walenty odczytywał Ewangelię św., na ten dzień przepisaną. W pokorze chyliły się głowy. A gdy skończył, jak łan zboża na wietrze, zadrgały tułowia i padli wszyscy na kolana, odmawiając Ojcze nasz i Zdrowaś Maryo.

Słuchając głosów modlących się, myślał właśnie Walenty, czyby nie zmówić litanii do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, gdy w ciszy, która raptem nastała, rozległ się młody dźwięczny głos.

Obejrzał się organista ze zdziwieniem. Syn Jóźwiaka z chatki pod lasem, którego już od miesiąca w domu nie było (gadali ludziska, że do partyzantki był poszedł) teraz skądś się tu znalazł i mówił właśnie:

— Na intencję księdza dobrodzieja odmówimy litanię do Matki Boskiej Nieustajcej Pomocy.

— To samo co ja myślałem — aż zadziwował się Walenty.

Ale nie było już więcej czasu na myślenie, bo trzeba się było modlić.

Dziwnie, poważnie i podniośle brzmiały słowa, w skupieniu i z otuchą odmawianej litanii.

— O Maryo, Matko Nieustającej Pomocy — mówił młody Jóźwiak.

— Módl się za nami — odpowiadał tłum.

— O Maryo, udziel nam Swej nieustającej pomocy...

— I uczyń nas godnymi zbawiennych jej skutków — mówiły usta, a oczy biegły w górę, hen ku za-

wieszonemu nad ołtarzem obrazowi Niepokalanej.

I tak trwały te nabożeństwa niedzielne bez księdza kilka już niedziel z rzędu. Wciąż miano nadzieję, że to ostatnia, że już w następną na pewno dobrodziej odprawi Mszę św. dziękczynną. Bo robiono starania o księdza i były pewne nadzieje. Ambroży Stelecki miał w mieście brata uczonego, o dużych znajomościach. Przez niego udało się im dowiedzieć o jakimś "macherze", co to podobno miał znajomości w gestapo i za pieniądze ludzi uwalniał. Rzeczywiście obiecał, że księdza uratuje, ale zażądał pieniędzy sumy ogromnej. Aż się w głowie suma ta nie mieściła Ambrożemu. Smętny więc wracał do swojej wioski. Bo skądże to zebrać tyle grosza?

A jednak się zebrało. Ten dał pieniądze, tamten złota kawałek gdzieś zaszyty w kożuchu pod gu-



Z Anegdot O Sławnych Ludziach

KRÓL szwedzki Oskar I, spotkawszy pewnego dnia jednego z posłów chłopskich, powitał go serdecznie i zapytał:

— Słyszałem, że w waszych stronach wszyscy zwracają się do siebie przez "ty"?

— To prawda,— odrzekł poseł — ale jakbyś ty sam przyjechał, to niktby się tak do ciebie nie śmiał odezwać!

Pewien młody arystokrata angielski zapytał pewnego razu słynnego pisarza B. Shawa:

— Czy to prawda, że mnie pan w domu pewnych moich znajomych, w którym mię uważają za człowieka rozumnego, nazwał głupcem?

Shaw uśmiechnął się życzliwie i odparł:

— To niemożliwe! Nie byłem jeszcze nigdy w takim domu, w którymby pana uważano za człowieka rozumnego!

Wielki matematyk niemiecki Kaestner mimo wrodzonej dobroci charakteru lubował się w układaniu złośliwych wierszyków na bliźnich.

Pewnego razu, podczas jakiegoś bankietu, zabawiano się układaniem okolicznościowych napisów i wierszyków. Między innymi miał być ułożony napis na płytę grobową. Najudatniejszy — i jak zwykle najzłośliwszy — był napis, który ułożył Kaestner. Napis ten brzmiał:

"Miły czytelniku! Tu leżą kości moje,
Wolałbym jednak, aby to były twoje!"

Cesarz Napoleon, objeżdżając po jakiejś bitwie pobojowisko, spotkał oddział należący do pułku, który tego dnia bardzo słabo stawał. Ogarnięty nagłym gniewem podjechał do oficera, który prowadził oddział, i choć

zik, co to miało być na czarną godzinę; inny sprzedał prosiaka, biedniejsi choć jaj trochę złożyli czy masła osełkę. Zebrało się więc więcej niż trzeba było. Wręczono te pieniądze domorosłemu adwokatowi. Powiedział, że za tydzień, dwa, będzie ksiądz w domu. Czekali go więc, czekali, a tu ani śladu nawet nie było. Już trzecia niedziela przyszła. Smutno wyglądali na dzwonek sygnaturki, by choć jak ostatnio, samym bez księdza, wysłuchać Ewangelii św. i modlitw trochę odmówić.

Ale jak to mówi przysłowie — "nieszczęście zawsze chodzi w parze"— tak i teraz spada na lud nowa straszna wieść.

— Ziandary znów przychodziły nad ranem. Rewizję już robią w kościele od trzech godzin, broni jakiejś szukają — podawano sobie wieść z ust do ust, tak jak tego ranka, gdy aresztowano proboszcza.

spostrzegł, że ma przed sobą porucznika, zapytał:

— Pan jest kapitanem?

— Nie, ale jestem z mąki, z której się robi kapitanów! — odpowiedział porucznik.

— Dobrze! — odrzucił Napoleon.— Jak będę potrzebował kapitanów z mąki, pomyślę o panu!

Charlie Chaplin, słynny artysta filmowy, w początkach swej kariery pracował w jednym z najlichszych podmiejskich teatrów w Londynie. Teatr ten, budowla wielce starożytna, roił się od szczurów; poprostu nie było miejsca, gdzieby ich nie było pełno. Gdy się wkońcu zaczęły pokazywać nawet na scenie, dyrektor teatru wpadł w rozpacz.

— Jak się uwolnić od tej plagi? — wołał, wydzierając sobie włosy z głowy.

— Niech im pan odda moją gażę, — zaproponował obecny przy tym Chaplin — a wszystkie zdechną z głodu!

Córki króla francuskiego Ludwika XV, aż do chrztu nazywano według... liczb porządkowych, a więc "Pani Pierwsza", "Pani Druga", "Pani Trzecia" i tak dalej.

Gdy w roku 1738 królowa znowu powiła córkę, siódmą z rzędu, zamiast syna, którego król gorąco pragnął, zwrócono się do króla z pytaniem, czy ją należy nazywać "Panią Siódmą".

Ludwik XV, usłyszawszy to, ogarnięty nagłym gniewem, odpowiedział:

— "Panią Ostatnią!"

Kompozytor Meyerbeer miał siostrzeńca, który, zazdroszcząc mu sławy, również zaczął komponować, jakkolwiek wcale nie miał talentu. Gdy Meyerbeer umarł, siostrzeniec postanowił skorzystać z okazji i popisać się przed uczestnikami pogrzebu, i w tym celu skomponował marsza żałobnego.

Na pogrzebie był także sławny muzyk włoski Rossini. Gdy marsz odegrano, młody kompozytor zwrócił się do niego z prośbą o wydanie sądu o jego utworze.

— Całkiem dobry, — odpowiedział Rossini — ale byłoby o wiele lepiej, żeby to pan był umarł, a wuj pana skomponował marsza.

Wyczekiwali wszyscy z niepokojem, aż koło południa żandarmi odjechali. Przed odjazdem jednak opieczętowali kościół, pod karą śmierci zabraniając zrywać pieczęcie i wchodzić do wnętrza.

Zawrzało w wiosce:

— To złodzieje dopiero. Mało, że nam dobrodzieja nie zwolnili, jeszcze kościół zamknęli. Ot, kara Boża za nasze grzechy.

Walenty, gdy go pytano, czego to Niemcy w kościele szukali odpowiadał półgębkiem:

— Składu broni jakiegoś. Jakby tu kiedyś był. Tak i nic nie znaleźli. —Ale mówiąc to, jednocześnie uśmiechał się tajemniczo do siebie.

Wiedział stary, jak to z bronią było naprawdę. Tylko że nie w kościele trzeba było jej szukać!

Następnego dnia Ambroży pojechał znów do miasta, do pośrednika w sprawie zwolnienia księdza. Ten przywitał go wyrzutami, że włączą go w jakąś ciemną sprawę, że proboszcz był winien, że broń przechowywał u siebie, należał do organizacji.

Dopiero po jakimś czasie zmiękł, gdy Ambroży zapytał go, czy jednak nie da się jakoś księdza uwolnić. Przecie nic nie znaleźli w kościele.

Tamten zasłaniał się powagą sprawy, kosztami itp. Wreszcie postawił warunek — muszą mu wpłacić nową dodatkową sumę pieniężną. Wyższą jeszcze od poprzedniej. Inaczej nic nie poradzi, a tak to ksiądz dobrodziej za miesiąc będzie wolny.

Mocno frasowali się ludziska tymi wiadomościami, drapali w gęste kudły łby, coś tam obliczali w umysłach. Jak i skąd się to wzięło, nie wiedzieć — dość, że po paru dniach Ambroży znów pojechał do miasta i przekazał pieniądze pośrednikowi. Za miesiąc miał wrócić dobrodziej do swych parafian.

Cóż pozostało innego! Trzeba było czekać.

A właśnie **nadchodzi** maj. Myśleli ludzie, — jakże to bez nabożeństwa majowego potrafią się obchodzić. Tak jak od lat dziesiątków bywało, że kto żyw bieżał w tym miesiącu na podwieczerz do kościoła, by przed Panienką Najświętszą bóle mógł, żale i zgryzoty wypłakać, nabrać nadziei, otuchy, radośniej spojrzeć w przyszłość.

Była opodal wioski, przy skrzyżowaniu dróg, w grupie kilku smukłych brzózek zachowana, kapliczka starodawna z figurą Matki Boskiej. Błogosławiła z tego miejsca uniesioną w górę ręką ludziom udającym się w drogę. Stara była to kapliczka, stara figura, mało kto już nawet pamiętał we wsi, kto i na jaką intencję ją tutaj wystawił.

I tak jak w tę niedzielę pierwszą po aresztowaniu proboszcza sami przez się, nie wiedzieć czym kierowani, zebrali się ludzie przy kościele, tak i tutaj, przy tej kapliczce w pierwszy świeży wieczór majowy, gdy słonko kłonić się już miało ku zachodowi, zeszli się ludzie wioskowi, pozbawieni już teraz nie tylko księdza, ale i kościoła.

Nie trudno już potem było odmówić wspólnie pacierze i litanię do Matki Boskiej Loretańskiej. I tak już się działo potem każdego dnia majowego.

Stary Walenty stał się teraz, pod nieobecność dobrodzieja, centralną

podstawą życia wsi. Gdy trzeba było jakiejś porady, pocieszenia, on to potrafił najlepiej. Ba, do chrztu też go wołano. Z namaszczeniem polewał wtedy święconą wodą główkę dziecka, a słysząc krzyki małego gardzioła, uśmiechał się serdecznie.

Chodził tedy organista po wiosce i aż dziwował się sobie, jak to ludzie spoważnieli i sporządnieli ostatnimi czasy. I pijatyk było mniej na wsi i bójek; dziewczęta jakoś mniej baraszkowały z chłopcami, ci ostatni też lepiej się prowadzili. Medytował, czemu to trzeba by tę zmianę na lepsze przypisać. Bał się był przedtem, że bez proboszcza zło rozszerzy się jeszcze bardziej.

A zewsząd dokoła szły nowe słuchy o mordach i występkach niemieckich. W nocy nad horyzontem stawały krwawe, złowieszcze łuny pożarów. Z powiewem wiatru niosły się częste echa strzelaniny.

Wzdychali ludzie.

— Nie wiedzieć swojej godziny. A tu i księdza nie ma, żeby do spowiedzi pójść, do Stołu Pańskiego przystąpić. Dola nasza, dola.

Minął miesiąc i tydzień i jeszcze tydzień, a proboszcza widać z powrotem nie było. Pośrednik stale powtarzał Ambrożemu, że lada już dzień wypuszczą księdza z więzienia. Wracał do swoich z tą wieścią. Łudzili się znowu, czekali i znów nadaremnie.

Aż któregoś dni pod wieczór dobrodziej przyjechał. Blady, wynędzniały, wycieńczony, do siebie niepodobny. Ale z tym samym jak dawniej uśmiechem na ustach, z pogodą w sercu.

Radością powiało po wsi. A już w niedzielę, to kto żyw tylko, pośpieszył do kościoła. Słuchali ludzie nabożeństwa, a coraz to każdy podnosił głowę i patrzał w stronę ołtarza na swego proboszcza.

Powstali z rumorem, tłumnie, by wysłuchać Ewangelii św. Potem proboszcz rozpoczął kazanie. Głos mu się łamał początkowo ze wzruszenia, ale zaraz nabrał zwykłej mocy.

Dziękował dobrodziej z ambony swym parafianom za ratunek, bo tylko dzięki ich ofierze udało mu się wydostać. Dziękował za ich postawę moralną, za prowadzenie się nienaganne, uczciwe życie, modlitwy wspólne dla pokrzepienia i za litanię na jego intencję.

Słuchali w skupieniu, rozczuleni, rozradowani, że wreszcie już mają znowu swego proboszcza, że zdjęte zostały pieczęcie z kościoła.

Proboszcz zaś kończył:

— **Niech wróg nie myśli, że naród nasz da się załamać, zgnieść. Zabiorą mu dom, rzeczy, ale nie zabiorą duszy, nie zabiorą wiary, na której stoi i w oparciu o którą zwycięży. Ot, i wam zabrano księdza, zamknięto kościół, a przecież modliliście się sami, przy drodze koło kapliczki, nie daliście się zastraszyć, wytrwaliście. Tak i cała ojczyzna nasza wytrwa i wróci do chwały. Jak Matka Najświętsza wspomaga pojedynczo człowieka, tak też wspomoże i nasz naród i wróci mu wolność. On się Jej bowiem poświęcił. Ją obrał swoją Królową. Przez Nią zmartwychwstaniemy z niewoli, przez Nią i przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Amen.**

Amen. — odpowiedziały mu setki głosów.



"Etykieta" przy stole

Nóż, widelec i łyżka

Potraw nie bierz samymi rękami, ale używaj do tego widelca, lub łyżki.

Jedząc nożem i widelcem, pamiętaj nie wkładać ich zbyt daleko w usta, aby się nie zadrasnąć. Gdyby jednak to nastąpiło, zaraz wypij kieliszek wódki, co cię uchroni od zakażenia.

Również nie należy dłubać widelcem lub nożem w zębach z obawy skaleczenia. Trzeba to zręcznie uczynić paznokciem.

Nóż, widelec i łyżka nazywają się w języku wykwintnym "sztućce". Pamiętaj, że nie należy sztućców chować do kieszeni, choćby nawet były srebrne. W dzisiejszych czasach na pewno nie wezmą tego za żart i zaprowadzą cię na policję. Jeśli jednak nie możesz się już od tego powstrzymać, nie chowaj nigdy widelca w kieszeni od spodni, bo możesz się skaleczyć.

Nie baw się nożem i widelcem i nie wywijaj nimi w powietrzu, bo jeszcze trafisz sąsiada w oko, a ten wyjmie majchra z kieszeni i pokraje cię, jak cynaderkę.

Zupa

Zupę należy jeść tylko i wyłącznie łyżką. Jeśli łyżek nie ma, na przykład pokradli, należy jak niektóre plemiona polinezyjskie, czy w niektórych stołówkach, pić prosto z miski. Nigdy i w żadnym wypadku nie należy jednak zupy jeść rękami. Co najwyżej można nimi wyławiać kartofle.

Nie należy zupy jeść zbyt głośno, bo to może zagłuszyć rozmowę przy stole.

Staraj się zawsze jeść wszystką zupę, nie wylewaj resztek zupy z talerza na łyżkę, tym bardziej nie wylizuj językiem z talerza.

Mięso

Jeść należy jak najprędzej, aby ewentualnie wziąć jeszcze drugi kawałek, ale uważaj, aby się nie udławić, bo to ci przerwie wyścig. Przy tym wszyscy musieliby przerwać jedzenie, aby cię walić w plecy, obiad by wystygł, a oni wściekli walili by cię z całej siły.

Jeśli by się jednak zdarzyło, że kawałek mięsa spadł ci pod stół, nie należy walczyć z psem gospodarza, przycisnąwszy mięso obcasem, a potem odpędziwszy psa, ostentacyjnie kłaść na talerz z powrotem, ale musisz to przeboleć i bez zwrócenia uwagi odkopnąć od siebie nogą, aby po jedzeniu znaleziono przy kim innym.

Jeśli w czasie obiadu czujesz, że ktoś ci nadepnął na nogę, i jeśli to się powtarza raz, drugi i trzeci, powinieneś się zorientować, która to z sąsiadek, po czym odpowiedzieć jej takimże znakiem, ale niezbyt mocno, aby nie zniszczyć pantofli. Pamiętaj, uważaj, abyś się nie pomylił, i nie nadepnął nogę innej, bo mogą wyjść z tego różne komplikacje.

Raki

Jeść raki stanowczo odradzam. Zbyt jesteśmy wycieńczeni po wojnie, aby oddawać się tak męczącemu i mało produktywnemu zajęciu. I żeby to było rzeczywiście "coś do jedzenia". Ten sam karaluch z wąsami, tylko, że większy i ugotowany na czerwono.

Szparagi

To zasadzka. Właściwie nie wiadomo, jak jeść. W jednym podręczniku pisze, że "rękoma", w drugim, że "rękami", że "palcami", w czwartym, że widelcem, w piątym, że widelcem i nożem. A jeśli zastosujesz się do którego z nich, ci co czytali inny, powiedzą, żeś cham. Lepiej podziękuj i powiedz, że ci doktór zabronił.

Rozmowa

Nie należy mówić z pełną gębą, bo cię nikt nie zrozumie, ale chcąc coś mądrego powiedzieć, musisz najpierw przełknąć, a potem powiedziawszy, znów jeść szybciej, aby sobie powetować przerwę w jedzeniu.

Jeśli masz nieszczęście, że obok ciebie siedzi kobieta, musisz nie tylwo podawać jej potrawy, ale również i bawić mową. Dobrze, jeśli gada z sąsiadem ze strony przeciwnej, wtedy masz spokój. Ale może być inaczej. Znów dobrze, jeśli jest gadatliwa: to ona gada, a ty jesz. Musisz tylko odpowiadać na pytania. I w ogóle uważać. Jeśli naprzykład powie: "A ja już jestem taka stara", albo "jestem taka brzydula", nie należy potakiwać, ale uważać, i poderwać się w porę z gorącym zaprzeczeniem. Jeśli jednak kobieta należy do tych, które trzeba bawić, to trudno — wpadłeś. W takim razie najlepiej prowadzić rozmowę za pomocą pytań: "a czy pani lubi sałatę"? Albo: "czy pani woli kotlet z groszkiem, czy marchewką?" Będzie ci musiała na to odpowiedzieć, a ty masz czas, aby pożuć i przełknąć. Należy również umiejętnie prowokować opowiadania: "co pani robiła w czasie powstania"? Albo: "... po powstaniu?"

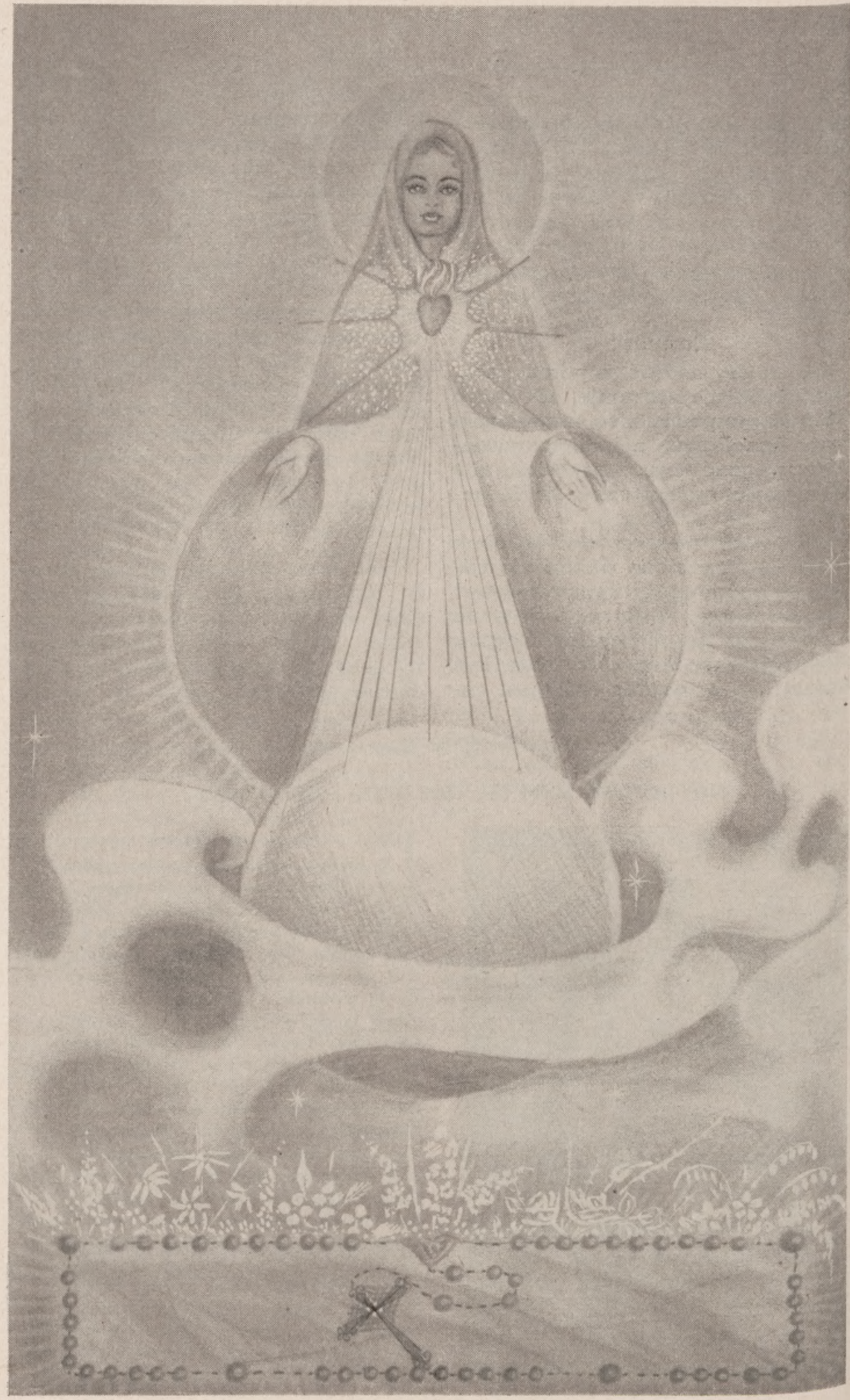
Jeśli masz sztuczną szczękę, świeżo wstawioną, nie należy jej przy stole wyjmować i pokazywać wszystkim, chwaląc się i wymieniając jej cenę. Możesz to zrobić po obiedzie w parlorze.

NIE DOPUŚĆ, BYM SIĘ ODŁĄCZYŁ OD CIEBIE!



JEZU w Najświętszej Hostii żyjący
Z biedną ludzkością na łez padole!
Boże i Zbawco nasz wszechmogący,
Co nas przy Swoim zasadzasz Stole
I tu już dajesz przedsmak szczęścia w niebie,
Nie dopuść, bym się odłączył od Ciebie!
Tyś tak pracował dla ludzkiej duszy,
By ją wyzwolić z niewoli czarta,
Zbaw ją od wiecznych mąk i katuszy!
Ona Krwi Twojej i Ran Twych warta...
Spiesz mi na pomoc we wszelkiej potrzebie,
Nie dopuść, bym się odłączył od Ciebie!
Po tylu próbach, tylu zawodach
Od świata, czarta w życiu doznanych,
Tylu dla duszy i ciała szkodach,
Tyś mię przygarnął do Serca Rany!
Żyjący, Boski przerozkoszny Chlebie;
Nie dopuść, bym się odłączył od Ciebie!
Karmisz mą duszę Ciałem, Krwią Swoją,
Jak matka dziecię piersi swych mlekiem,
Chcesz być puklerzem, tarczą, ostoją,
W życiu i śmierci najdroższym lekiem,
Chcesz mię umieścić w niebie obok Siebie,
Nie dopuść, bym się odłączył od Ciebie!

—Ks. Mateusz Jeż.





Tajemnice Różańca

O. Rajmund Sonnek, O.F.M.

TAJEMNICE RADOSNE

RÓŻANIEC modlitw opiewający życiowe przejścia Jezusa i Maryi znany jest wszystkim. Mniej znanym różaniec dziejów naszego życia, który jak tamten szereg Tajemnic zawiera, a który również z nabożeństwem odmawiać należy. Jest to sznur Wiary bowiem w sprawie zbawienia dzień po dniu czynem na chwałę Bożą nizany w miłości. Od Tajemnic Radosnych także się rozpoczyna, przechodzi w Bolesne i utrwala się w Tajemnicach Chwalebnych.

Wcielenie łaski Bożej w duszy stanowi Pierwszą Tajemnicę Radosną. Nawrócenie do Boga i cud przebaczenia nie przestaje być Tajemnicą pomimo częstego powtarzania. Nigdy nie zrozumiemy dobroci Bożej, ale zawsze z niej weselić się można i trzeba. Tajemniczy odruch życiowy unosi się we Wierze niby pieśń wdzięczna ku Bogu i radość promienną roztacza dokoła. Niebo i ziemia się weselą a na pierwszej karcie Księgi żywota zapisują przezacny charakter dziecka Bożego. Z chwilą duchowego poczęcia poczynamy żyć w Bogu, ruszamy się i jesteśmy. Mamy byt nadprzyrodzony. niejako powtórne tchnienie Stwórcy i Ojca zarazem. Aby wyjść z nicości zasług do życia Wiary trzeba było wszechmocy i wszechdobroci Bożej! Wartość teego poczęcia jest nieskończona.

Nawiedzenie czyli pobyt nasz w łonie Matki-Kościoła i podróż do pokrewnych Jej sakramenów św. stanowi Drugą Tajemnicę Radosną. Zarodek życia jak rozpoczęty Psalm zapowiada bogactwo tonów mających wkrótce uderzyć w niebo Hymnem wzniosłego Magnifikat. Raz zaintonowany doleci uszu anielskich i ludzkich, które chciwie wyczekują, by pochwycić pierwsze nowe drżenia miłego głosu Bożego w duszy. Nawiedzenie przeto akcentuje pewność przyszłego zbawienia!

Porodzenie przez Chrzest stanowi Trzecią Tajemnicę Radosną. Coprawda jest to zaledwie początek, ale początek radosny. Tu odbieramy władze do działania w świecie nadprzyrodzonym. I powtarza się w nas cud Szopki Betlejemskiej. Rodzimy się Zbawcami samych siebie dla Boga. Dlatego otrzymujemy Imię, po którym nas Bóg pozna przy ostatecznym rozdawaniu nagród za życie.

Ofiarowanie w kościele stanowi Czwartą Tajemnicę Radosną. Mieć coś do ofiarowania Panu Bogu jest niezaprzeczenie czymś wielce radosnym. Oddajemy Mu samych siebie wraz z duszą i ciałem a wzamian odbieramy całą Trójcę Przenajświętszą. Czy pamiętamy śluby swoje i przyrzeczenia tak wielkodusznie składane Bogu w miłości? Różaniec życia winien nam przed oczy stawić nasze zobowiązania, nasze nadzieje spełnić się mających Obietnic Chrystusowych i nasze prawa.

Wreszcie Znalezienie w kościele stanowi Piątą Tajemnicę Radosną. Znaleziona zguba zawsze radość sprawia. W spowiedzi świętej znajdujemy samych siebie i odzyskujemy siły stracone. A w Komunii św. łączność nasza ze źródłem wszechżycia i dobroci Bożej staje się rzeczywistością tak wzniosłą, że trudno nie radować się z niej po wszystkie czasy.

Odmawiajmy przeto ten drogi różaniec swojego życia, a ustrzeżemy się licznych zboczeń na drodze zbawienia. Gdy zaś zboczymy, radość z możliwości powrotu doda nam otuchy do prędszego powstania. Wplatajmy więc w Różaniec Maryi ziarnka własnego różańca, a sprawa zbawienia nie wyda się nam być obcą ani zbyt uciążliwą. Bo to Sprawa Ojca naszego, do której nas Jezus zachęca.

TAJEMNICE BOLESNE

GWAŁT Drogi Krzyżowej wplata się w różaniec naszego życia szeregiem Tajemnic Męki Bolesnej ukazując niebywałą szorstkość śladów Jezusa. Odstraszają nas one, lecz silna Wiary odwaga, Nadziei hart i potęga Miłości przezwyciężą trwogę i szczęśliwie do celu przeprowadzą.

1,—W Ogrójcu, gdzie przyjdzie nam mocować się ze sobą, uczujemy jak sroga samotność pot krwawy z czoła nam wyciska. Mocowanie się ze sobą jest najdotkliwszą z walk. Dusza smętna aż do śmierci wahać się będzie między niebem i ziemią, dopóki nie pokona trwogi przez zupełne poddanie się woli Bożej. Modlitwa potrójnie zasyłana uprosi nam Anioła pociechy na chwilę, ale kielich goryczy w uznaniu konieczności Pokuty za grzechy wychylić musimy do dna.

2,—Pokusy srodze biczują nam ciało i duszę. Nienawistne języki zsieczą do krwi smagając honor i sławę. Z głębokości swego poniżenia po trzykroć do Pana wołać będziemy o ulgę. Lecz zamiast Anioła pociechy wróci odpowiedź: "Wystarczy ci łaska Moja!" W nagości i opuszczeniu u pręgierza bolesnych doświadczeń znajdujemy się wzgardzonymi, nawet przez własne siły. Daleko do wypełnienia, czego cierpieniom Chrystusowym w ciele naszym nie dostawa, a już utykamy na duchu. Zwątpienie wciska się do serca a niepewność gryzie umysł i wolę. Bolesna to Tajemnica!

3,—Na domiar udręczenia boleści się zwiększają, a cierpienia mnożą. Gwałt coraz bardziej poczyna kształtować w nas podobieństwo Syna Bożego i coraz wyraźniej występują rysy Męża Boleści. Tu dopiero stajemy się Nowym Człowiekiem, a korona cierniem się wplata na skronie godne nosić godło Człowieczeństwa. Świat wytyka nam nierozum i z szyderstwem na ustach woła: "Oto człowiek!" Aniołowie natomiat spoglądając z podziwem na uwieńczone czoło ze czcią uznają bohaterstwo Pokuty i szepcą jeden do drugiego: "Oto Człowiek według Serca Bożego!" W królestwie Tajemnic Bolesnych wypada nosić koronę, bo tylko po królewsku wstępuje się na niebiosa.

4,—Nareszcie zbliża się chwila, w której cały ciężar zbawienia zwala się na barki nasze Krzyżem wszelkiego utrapienia. Przymus i wola

ucałować się tu muszą w zgodnym uścisku, bo inaczej dusza zwątpi do reszty. Dotychczasowe cierpienia były zaledwie wstępnym przygotowaniem do Drogi życia. Teraz w uciążliwości żmudnej podróży trzeba nam iść w jarzmie i dźwigać ciężar na każdy dzień. Postój będzie chwilowy i pełen niewygód i niedostatku. Bez przerwy wspinać się trzeba na szczyty Kalwarii, skąd dojrzeć można zbawienie. Po drugiej stronie usypanych przeciwności spokój i szczęście. Tu zaś Krzyża nie zdejmują, lecz ku Niebu wznoszą żywy Krucyfiks!

5,—Majestat śmierci groźny i twardy zamyka cykl Tajemnic Bolesnych. Atoli lękać się go nie trzeba ani trwożyć przed nim, skoro nam pełność życia obiecuje. Pierwszy to stopień do chwały! Ukrzyżo-



PRZESYPIANIE ZIMY

WIADOMO zapewne wszystkim, że późną jesienią zapada wiele zwierząt w sen zimowy, z którego budzą się dopiero z nastaniem wiosny. Zapadają weń tak i kręgowce jak i bezkręgowe; robaki i pijawki przechodzą w bezwiedny stan spoczynku, skoro tylko obniży się temperatura.

Ślimak lądowy wsuwa się na zimę w swoją skorupę, a wydzieliwszy ze siebie kleistą ciecz, zasklepia okienko i pozostawia zaledwie parę nieznacznych otworów dla dostępu powietrza. Ślimaki wodne zapadają w stan prawie zupełnej nieruchomości i jakby snu.

Węże i jaszczurki szukają miejsc zacisznych i ukrytych albo usuwają się w pobliże ciepłych źródeł. Żaby zakopują się w mule na dnie wód.

Z ryb tylko niektóre zapadają w sen zimowy; najprawdopodobniej tylko te, które odbywają tarcie przed zimą lub z początkiem wiosny. Jedne z nich kryją się w dziurach podbrzeżnych pod korzeniami drzew lub kamieniami, n.p. pstrągi, inne znowu — jak karpie — wyszukują najgłębsze miejsca w stawie i spoczywają tam gromadnie.

Częściowe zamarznięcie nie szkodzi ani rybom, ani też żabom lub ropuchom, natomiast i robaki nie znoszą zamarznięcia zupełnie, podczas gdy jaja ich wytrzymują mróz doskonale.

W królestwie ptaków nie ma osobników, zapadających w sen zimowy; przyroda zabezpieczyła je przed zimnem w inny sposób, każąc niektórym odlatywać w ciepłe kraje, gdy reszta, wytrwała na zimno, umila nam swoim uwijaniem się i szczebiotem ponure dni zimowe.

wane ramiona zetkną się niebawem z wyciągniętymi ramionami Ojca. A gdy w te święte objęcia polecimy swego ducha w głosie naszym zadrży triumf z odniesionego zwycięstwa. Hasło zaś: "Wykonało się!" przejdzie w pieśń czynu, którą słabi na duchu powtarzać będą dla dodania sobie otuchy i męstwa. Oto różaniec nasz wielkością nagród olśniony przechodzi z Tajemnic Bolesnych i utrwala się w Tajemnicach Chwalebnych na ziemi i w niebie.

TAJEMNICE CHWALEBNE

W PIERWSZEJ Tajemnicy przenajświętsze ciepło tchnienia Bożego przenika zimno grzechu i martwotę grobu. Ożywia zesztywniałą duszę i udziela jej nowego ruchu nadprzyrodzonego. Nie mając do niego żadnego prawa mamy doń wszelką od Boga zachętę i pomoc. Zmartwychwstanie, to łaska Boża, to ruch twórczy miłości i cud przebaczenia ojcowskiego najszczęśliwszy.

Szczęśliwi co sobie w pewien sposób na podobny u Boga wzgląd zasłużyć potrafili. A sposób zasługi nie trudny. Oto jak go różaniec życia określa:— Za Wiarę odbieramy Nadziei czyn wzniosły; za Miłość obydwoma płacić należy. Lecz Wiarę otrzymujemy darmo!

Ktoby więc nad własnym uświęceniem w sprawie Ojca pracować nie chciał, kiedy tak łatwo wykonać ją można i skoro nieskończenie cenną bywa zapłata? Bóg pragnie zaszczepić w nas życie nie ulotne, lecz trwałe. W przepychu wiecznego istnienia mamy powstać z ciemności grobowych do przeobfitości chwały, która nawet rażący majestat śmierci przyćmić zdoła na zawsze.

W Drugiej Tajemnicy duchowo wstępujemy na niebiosa. Kto z Bogiem żył w przyjaźni i zdobywał dla siebie Jego miłość, ten chyba na ziemi mieszkania swego zakładać nie zechce. Warunki tymczasowe zmuszają nas wprawdzie do przebywania na świecie, lecz ze świata nie jesteśmy ani do niego nie należymy. Jesteśmy człowiekiem wolnym! Ziemskie przywiązania odpadają od nas jak prześcieradła grobowe. Z Jezusem ukazujemy się w obłoku świętości dla szerzenia Jego Pokoju wśród małodusznych i bojaźliwych i dla dodania odwagi oraz męstwa słabszym we Wierze.

Tajemnica trzecia zlewa na nas nieocenione bogactwo Ducha Św. Zamiast radością i cierpieniem kształtuje nas przeobfitą chwałą miłości. Modlitwa Jezusowa, abyśmy z Nim jedno byli, jako On z Ojcem jedno jest, urzeczywistnia się w duszy promieniejącej Duchem Ojca i Syna. Tron w niebie przygotowany; korona zbawienia lśni chwałą spełniających się Obietnic Chrystusowych, niby Hostia biała. Niezadługo wniosą także do Ołtarza przenajdroższą ciała naszego Monstrancję.

W Tajemnicy Czwartej za Maryą zdążamy po częściową przynajmniej nagrodę. Ziemia wśród licznych swych darów nie posiada odpowiedniego wynagrodzenia za życie dobrze spełnione. Dlatego niebo ją wyręcza. Podróż nie uciążliwa. W towarzystwie Świętych wznosimy się z tęsknotą na ramionach anielskich coraz bliżej do Boga. Idziemy wprawdzie jakoby bez szaty godowej z pewną bojaźnią, lecz Sędzia łaska-

wie nas zapewnia, że Monstrancja naszego ciała niebawem nadejdzie.

Piąta Tajemnica przedstawia niespodziankę chwały. Ukoronowanie w zachwyt nas porywa. Teraz dopiero stajemy się żywą Monstrancją zbawienia. Połączeni nanowo z ciałem, które lśni jak słońce, możemy twarzą Boga oglądać. Poraz pierwszy w całej szczęśliwej pełni poznajemy ŚWIĘTOŚĆ CHWAŁY BOŻEJ i rozpoznajemy w niej przenajdroższe oblicze Ojca. Przyłączamy się do zaintonowanej przed nami Pieśni i z głębi zmartwychwstałego swego jestestwa wołamy w miłości: "Święty! Święty! Święty! Pan Bóg zastępów! Pełne są niebiosa i ziemia MAJESTATU CHWAŁY JEGO!"...

I oto różaniec życia poprzez radości i bóle w chwale nieśmiertelnej się utrwala chwałą Miłości wieczystej.— **O. Rajmund Sonnek, O.F.M.**



Smakosze Wśród Zwierząt

NIETYLKO między ludźmi zdarzają się smakosze, ale bywają i zwierzęta z tym brzydkim nawyknieniem. I tak z pomiędzy małp naprzykład, orangutany zajadają się poprostu ostrygami i wogóle różnymi skorupiakami. Udają się one często nad brzeg morza, i tam po odpływie wybierają sobie conajwiększe ostrygi. Gdy ostryga otworzy skorupę, orangutan wsuwa w otwór kamień, poczym wyciąga ją bez najmniejszego trudu. Inne małpy odrazu rozbijają skorupy kamieniem, nie chcąc się widocznie długo trudzić.

Lisy i niedźwiedzie są także bardzo łakome na ostrygi, wskutek czego opowiadają, że pewnego razu lis znalazł na brzegu morskim wielką ostrygę, która właśnie otworzyła skorupę do słońca. Łakotniś wsunął czym prędzej język w otwór, ale ślimak w tej samej chwili zawarł skorupę z powrotem i biedny lis nie mógł się uwolnić z pułapki. Położył się na brzegu, czekając na wybawienie, gdy tymczasem nastąpił świeży przypływ morza i fala zatopiła nieszczęśliwca.

Znaną też jest powszechnie rzeczą, że niedźwiedzie lubią nadzwyczaj miód i często robią ogromne spustoszenia wśród pasiek leśnych. Kunie smakuje najbardziej delikatny drób, a znowu dla wydry nie ma lepszego przysmaku nad pstrągi. Zwierzęta drapieżne, które pożerają wszystko, co im w paszczę wpadnie, mają także swoje gusta. Zjadają bowiem najpierw ze swych zdobyczy pewne części, które im prawdopodobnie najbardziej smakują, a dopiero potem biorą się do reszty.

Niestety, podobnie jak zwierzęta, postępują często i ludzie, którzy dla łakomstwa nie wahają się narazić swego zdrowia a nawet i życia-



RIP!
HENRY
AMERICA'S GREATEST
COMIC WEEKLY



W dzisiejszych czasach pychy i samowoli jedyną drogą do szczęścia i pokoju jest prostota dziecięca zalecona przez Pana Jezusa.



MODLITWA ZA DZIECI

O Panie, Panie, Tyś ukochał dzieci, Tyś im pozwolił się dotykać szaty Twojej!

O Panie! Serce dziecka umiera zwykle wśród zgryzot i doświadczeń życia — inne serce w piersiach ludzkich wyrasta.

I to, co było boskim w pierwszym, nie bije już w drugim.

O Panie, dozwól, aby córkom moim została się zawsze w oczach łza dziecinna i w duszy dziecinne szczęście.

Uczyń je pięknymi, jako kwiaty na polu, które nic o swojej piękności nie wiedzą.

Niechaj będą wdzięczne i miłe, by źli nie odważyli się powstać na nie; by każdy, co spojrzy, odszedł zwyciężony ich prostotą!

Daj im ognisko domowe lepsze, niż innym, by w jego świetle była pociecha ich duszom i ułuda ich oczom.

Uchroń je od tęsknoty za tym, czego na ziemi nie znajdą nigdy — Serca, które je pokochają na wiosnę ich lat, niech ich potem nie zostawią samotnymi.

Wysłuchaj prośbę matki. Każ aniołom Swoim, by je strzegły — samotność ducha oddal od nich, niechaj nigdy nie umierają sercem, nim umrą ciałem!

O Panie, daj im różę zbawienia bez palmy męczeństwa.— Daj im wieczną niewinność miasto chwilowej cnoty — o Boże, niechaj będą piękne i szczęśliwe i wybrane.

Zygmunt Krasiński



Nauczyciele Bez Wiary



PRZED sądem karnym we Francji stawiono notariusza, który się dopuścił trzech ciężkich wykroczeń. Trzy dni trwała rozprawa sądowa, i podsądny został skazany na dożywotnią pracę przymusową. Gdy mu odczytano wyrok sądowy, zawołał:

— Na śmierć mnie skazać należało! O śmierć ja proszę!! O śmierć proszę jako o łaskę!!!...

To mówiąc wyrwał nóż, i usiłował się przebić. Obecni ujęli go jednak w tej chwili za ręce, i przeszkodzili zamachowi samobójczemu. Wtedy nieszczęśliwy skazaniec rzekł głosem głęboko wzruszonym:

— Ja za me zbrodnie oskarżam tych, co mą młodość kształcili! Ich bezbożne nauki są winne mych zbrodni!...

Skazanego odwieziono do twierdzy Tulońskiej. Dzień przed wyjazdem napisał jeszcze długi list do jednego ze swych przyjaciół. Z listu podaję wyjątki.

— **ŹLI nauczyciele** — pisze — **popchnęli mnie w zepsucie!** Obym to mógł przed całym światem obwieścić, lecz w każdym razie tobie to chcę powiedzieć, tobie, któregom przedtem mógł nazywać swym przyjacielem, chcę to powiedzieć: **Źli nauczyciele popchnęli mnie w zepsucie!...**

—W mych pierwszych latach młodości kochałem cnotę — jak to wiesz dobrze — i żyłem cnotliwie. Umysł miałem prosty i szczery, i myśl niewinną. I jakże się tym stałem, czym jestem obecnie? O matko moja biedna, gdybyś ty wiedziała! Twe serce, dziś tak zakrwawione, jeszczeby sroższą zakrwawiło się raną! Matko moja nieszczęśliwa, i Ty w mym zepsuciu nie jesteś bez winy!...

— Oby **wszyscy rodzice** mogli usłyszeć to moje wołanie! Rodzice, ze strachem i drżeniem strzeżcie się tego, byście na zepsucie nie narażali swych dzieci! Nim do zakładu dziecko oddacie, zbadajcie i poznajcie naprzód moralne tło onego zakładu, a zewnętrznym pozorom nigdy nie wierzcie! Pamiętajcie, rodzice, że przed Bogiem zdawać będziecie za wasze dzieci rachunek!...

— Uczono nas w szkołach, że religia jest winną wszystkiego złego w ludzkości. Uczono, że zasady i dogmaty religii są śmieszne, że piekło jest bajką i straszydłem na dzieci;

że duchowość i nieśmiertelność duszy, to przypuszczenia niesmaczne. Wpajano nam w serca, że chrześcijańska nauka obyczajności poniża człowieka, że Msza święta i wszelka służba Boża to czcza karykatura!...

— To wszystko powoli wnikło mi w serce — uwierzyłem na słowo mych "mistrzów"— i według tej wiary postępowałem. I na tym polega ma wina cała, że się przejąłem zasadami nauki, jaką nas karmiono, i żem te zasady w życie wprowadził. I za to podpadłem teraz pod bezwzględną surowość prawa karnego! W nagrodę, że wierzył swym mistrzom, będzie musiał uczeń przez całe życie pokutować, ze czci odarty!...

— Więc tych wszystkich nauczycieli, raczej uwodzicieli moich, wzywam na sąd przed trybunał Boga Przedwiecznego, którego ich oszukańcze rozumowania nie pozbawią bytu i mocy, i który każdemu z nich zapłaci kiedyś według ich czynów i celów! Wieczne przekleństwo niech zaciąży na wszystkich, którzy z lekkim sercem, niby dla zabawki, słowem i piórem psują serce i ducha młodzieży!...

J. M.Z.



Siła w Cierpieniu

W CZASIE wojny w pewnej miejscowości diecezji Meaux we Francji zamieniono kościół na ambulans. Napływ rannych był tak wielki, że nie zostało już ani jednego wolnego miejsca. Wtem przyniesiono oficera, któremu trzeba było zrobić natychmiast operację. Chcąc zyskać na czasie, położono go na fotelu i bez środków znieczulających przystąpiono do krajania. Lekarz przewidując mękę operowanego, próbuje mu dodać odwagi:

— Kapitanie, — rzekł — trzeba będzie wyciąć kawałek kości. Bądźcie mężnym.

— Doktorze, bądźcie spokojnym; już ktoś przedtem na tym samym miejscu poświęcił się całkowicie.

Operowany, młodzieniec w pełni młodych lat, o twarzy delikatnej, spojrzeniu inteligentnym, nie wydał ani jęku, nie doszło do uszu operującego najlżejsze westchnienie. Operacja skończyła się. Chirurg zdumiony niebywałą siłą woli pacjenta, zawołał:

— Brawo, kapitanie. To był czyn nadludzki, heroiczny.

Spokojne wejrzenie chorego skierowało się w stronę tabernakulum, gdzie niewidzialny, a przecież obecny Chrystus towarzyszył mu w tej chwili i powiedział z prostotą:

— A On?



Zaraza w Marsylii

OD TRZECH miesięcy Marsylia (wielkie miasto portowe w południowej Francji) była kupą trupów; domy opuszczone przez mieszkańców nie miały drzwi i okien, jakby tamtędy przeszła stopa pożaru.

W porcie, w pośród ciepłej wody, drzemały okręty bez osady; ich maszty bez żagli, bandery zwinięte i pianą pokryte pokłady, rzucały jednostajne cienie na brzegi i tamy, bezludne jak pustynia.

Wsie były puste, drogi zasiane kośćmi pokrytymi splugawionym ubiorem i gnijącymi zwłokami.

Zostać w mieście, znaczyło umrzeć; wyjść z niego znaczyło to samo, bo kule żołnierzy rozstawionych o kilka staj dookoła miasta, bez litości dosięgały każdego, kto chciał wyjść z tego okręgu śmierci i zatraty.

Jak się to stało?

Pewnego dnia, kiedy miasto nie myślało wcale o zarazie, kiedy oddychało wonnościami wschodu, kiedy na przedmieściach i wioskach rozlegały się odgłosy tamburynów i wesołe okrzyki radości, kiedy na bulwarach snuło się mnóstwo mieszczan w aksamitnych ubiorach, rybaków w czerwonych czapkach i czarnowłosych piękności, tego dnia okręt pewien zawinął do portu. Przybywał on z Said w Syrii.

Wiózł ładunek bawełny z Alepu, skóry zwierząt i suszone owoce. Na pokładzie jego znajdował się podróżny...

Ten podróżny, to była zaraza.

Zrazu kilku umarło w milczeniu. Obwiniono o to zbyt mocne gorąco i złośliwą febrę.

Potem w wielu domach pojawili się chorzy i umarli. Spoglądano na siebie, blednąc.

Najpierw jeden okręg został dotknięty zarazą. Wywieszono czarną chorągiew w każdym oknie, nakreślono czerwony krzyż na każdych drzwiach i otoczono ten okręg strażą.

Daremna ostrożność! Złe nie tam było... ono było wszędzie.

Wśród drogi dotknie cię, oczy twoje nabrzmiewaj, twe kolana chwieją się, ogień okropny pożera cię. Tak, płoniesz. Siądź pod tym domem, otwórz usta, odetchnij!

Dalej na mary, już nie żyje!

A teraz inni. Poczciwy starzec, którego wczoraj jeszcze wieńczono i obdarzano pochwałami i złotem: którego pieśni rozweselały biesiadników wczorajszej biesiady.

Tkliwa matka, mająca trzy młode córki.

Młody człowiek, z miłością w sercu i w głowie.

Dalej na mary! Pomarli!

Spieszcie się pogrześć ich, bo już godzina, jak umarli! Trupy rozszerzają zarazę.

Ha! jeśli nie ma miejsca na cmentarzu, niech ich wrzucą w doły z wapnem, a jeśli i one się przepełnią, w fosę portową, a potem na ulicę.

Cmentarz, doły, fosa, wszystko już przepełnione, nigdzie nie ma miejsca, więc umierają i zostają na ulicach.

Już tak zginęło czterdzieści tysięcy, i leżą z otwartymi ustami, wyszczerzonymi zębami i ściśniętymi pięściami.

Rozpacz doszła do tego stopnia, że już nie liczono na pomoc nieba. Niebo nie zsyłało wiatru ani deszczu, a noce były gorące jak płomień.

Pewnego dnia, gdy niebo pokryte było pasami krwawymi i sinymi, czarne chorągwie płakały we wszystkich oknach, a kościoły były otwarte, ale obraz Zbawiciela był zasłonięty, a lampa przed Sakramentem zgasła.

Z kościoła św. Łukasza wychodzą widma zaledwie wlokące się. Garstka dotkniętych zarazą, ubranych w odświętne suknie, długie, białe świece, chorągwie i obrazy, srebrne kadzielnice i krzyże.

Czy to Wielkanoc, czy Zielone Świątki?

To uroczystość Serca Jezusa Chrystusa, to ostatnia procesja tych, którzy mają umrzeć. To trupy idą za pogrzebem.

Bóg z nimi! Idą błagać Wszechmocnego po raz ostatni; idą błagać Go na zwłokach swoich braci, na szkieletach swoich przyjaciół i krewnych. A potem...



Kaplica w Obozie

"W OBOZIE nie ma Boga — w obozie nie wolno się modlić", oto najulubieńsze powiedzonka i postulaty, powtarzane przy każdej sposobności przez esmanów i gorliwie przestrzegane przez ich powolne narzędzia, jakimi byli przełożeni bloku i izby. Zabroniono się modlić wszystkim, ale szczególną uwagę zwrócono na księży, bojąc się ich "zgubnego" wpływu. Jakoś to dziwnie wyglądało, że ci wszyscy "nadludzie", nie uznający nad sobą żadnego autorytetu poza swoim Fuhrerem, obawiali się jednak "Kogoś", w Którego nie wierzyli. Ten "Ktoś", obojętnie podświadomie czy też jawnie, musiał wywierać na nich ogromny wpływ, jeżeli wszelkimi sposobami i środkami, w swym zwycięskim pochodzie naprzód, zamazywali ślady w postaci usuwania krzyżów, zamykania kościołów i aresztowania księży.

Nie pozwalano nam się modlić. Z serc naszych chciano wydrzeć i to, co jedynie nam jeszcze za drutami pozostało, mianowicie Boga. Nie udało się jednak tego dokonać pysznemu Fuhrerowi i jego posłusznym pachołkom. Nie pomogły najostrzejsze zakazy, nie pomogły zastraszenia; nie pomogły pojedyńcze i masowe mordy niewinnych w ohydny sposób dokonywane, bo chociaż zamykano usta, by nie szeptały słów modlitwy — to przecież biły serca i biciem swym wielbiły Boga, dziękowały Mu za otrzymane łaski i po-

kornie prosiły o nowe. A Pan Bóg czuwał nad nami, przychodząc nam z pomocą, jak o tym świadczy otwarcie kaplicy w Sachsenhausen, w sierpniu 1940 roku. Gdyby ktoś jeszcze w lipcu tegoż roku był powiedział, że nam otworzą kaplicę, uważalibyśmy to za mniej prawdopodobne, aniżeli jakaś nagła całkowita klęska Niemiec.

Zdawało się, że te ćwiczenia mają na celu wygubienie wszystkich kapłanów. Od 6 rano do 12 w południe, i od 2 do 6 wieczorem, bez żadnej przerwy, bez wytchnienia, musieliśmy bezustannie biegać, pełzać, skakać i tarzać się po ulicach obozu. Lecz jakby na złość oprawcom ofiar było bardzo mało. Ćwiczenia te były jakby przygotowaniem do święta Serca Pana Jezusa, bo właśnie w sam dzień tej uroczystości po południu zaprzestano wymienionych szykan. Czy więc w takich warunkach można było marzyć o otwarciu kaplicy? — A jednak dnia 2 sierpnia, w święto Matki Boskiej Anielskiej, gruchnęła wieść, że jeden barak przerabiają na kaplicę. Sprawdziliśmy prawie wszyscy, bo nikt nie chciał na słowo uwierzyć. Wiadomość okazała się prawdziwą. Dnia 15 sierpnia, w dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej mogliśmy wysłuchać pierwszej Mszy św. celebrowanej odtąd codziennie przez śp. ks. Dziekana Prabuckiego i mogliśmy codziennie pokrzepić dusze nasze Chlebem Anielskim.

Trudno było uwierzyć w ten cud. Wprawdzie nie obeszło się i w czasie naszych nabożeństw bez szykan, ale mimo to nie czuliśmy się już opuszczeni, albowiem odtąd za drutami stale pośród nas przebywał Boski Więzień nr. 1, i u Niego czerpaliśmy w ciężkich chwilach pociechę i pomoc do znoszenia naszego niewolniczego życia. **I. C., O.F.M.**

Patrz na tego bladego człowieka; o spokojnym oku, bez obuwia, przepasanego pasem wytrwania i poddania się losowi! To duchowny, to biskup Belsunce.

Uroczysty pochód przeszedł wszystkie ulice miasta. Ostatnia jeszcze pozostaje powinność. — Czekajcie na mnie! — rzekł biskup i wstępuje na wieżę starożytnego kościoła.

Za chwilę ukazał się na żelaznym ganku i podniósł ręce ku niebu. Przeklina czy grozi?

Nie! On się modli! Prosi Tego, który jest w niebiesiech o miłosierdzie nad ginącymi:

— Panie! zmiłuj się nad nami!

— Panie! zmiłuj się nad nami!— wołają na dole głosy zaledwie zdolne wymówić te wyrazy.

Minęła noc. Zrana, zimny wiatr północny powionął wpośród pustych pomników, miota otwartymi drzwiami, odrywa okiennice, chwieje okrętami w porcie, chłodzi chorego.

Bóg zlitował się! Ten wiatr północny, to życie!

Morowe powietrze ucieka przed świeżym powiewem i znika na zawsze.

Gdybyście widzieli to miasto po trzech miesiącach odżywające, płakalibyście i uśmiechali się! Było jeszcze blade, ale życie było już w jego oczach. Poruszył się port, w mieście nie tańczą jeszcze, ale umawiają się już co do wspólnej biesiady przy końcu żniwa.

Czy to szczęście było dziełem pocieszyciela, filozofa, czy lekarza, który również musiał ulec zarazie? Któż to miasto wrócił do życia, kto je wskrzesił?

Bóg przez czystą wiarę swego kapłana! **Leon Gozlan**



Zakład

RAZU Jednego zjechało się kilku przyjaciół. Między nimi był p. Leon Borowski i p. Bonifacy Sołohub. Pan Bonifacy strzelał kiepsko, bo miał wzrok krótki, ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo był silny i nieustraszony*). Miał on strzelbę dwuramienną angielską, że lepszej nie miał i książę, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajne miał oko, chciał ją koniecznie dostać. Ofiarował mu za nią cztery konie siwo-pstrokate; ale i to napróżno, bo, choć pan Bonifacy dość się do nich palił, twardy był i ciągle go zbywał powtarzając:

— Prędzej się z moją skórą, niż z dubeltówką rozstanę.

— Na co ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz?

— Czy umiem, czy nie umiem, to nie twoja rzecz: a strzelby nie dam.

— A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś.



— Może strzelam tak dobrze, jak ty.

— Możesz tego dać dowód: niedaleko jest knieja niewielka, ale dobra; mam sforę gończych z sobą. Pójdźmy więc ze świtem do kniei; prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierzynę, ja ci oddam moje cztery konie; a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się ze swoją strzelbą.

— Zgoda! Ale zróbmy układ na piśmie, bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotówbyś mnie zbyć.

— Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza, jak ci na nosie chyba siędzie.— Wziął tedy pióro i papier pan Bonifacy i napisał układ, że jeżeli w przeciągu trzech godzin choć jednego zwierza ubitego okaże, to cztery konie Borowskiego będą mu wydane. Jeżeli zaś po upływie trzech godzin żadnego zwierza ubitego nie okaże, to natenczas jego strzelba angielska zostanie wydaną Borowskiemu.

Umowę podpisały strony i świadkowie.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacego różnymi żarcikami, ale pan Bonifacy fantazji nie tracił i powtarzał:

— Obaczymy, kto wygra zakład!

Nazajutrz przed piątą już wszyscy

byli w kniei. Po niejakim czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny ciągnąc za ogon jednego z psów pana Leona, którego dopiero co postrzelił i odzywa się:

— Proszę o konie, ubiłem zwierza!

— Jakto! — powiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż zająca, jeśli chcesz, aby konie twoje były.

— Przeczytaj umowę, panie bracie, tam o zającu nie masz wzmianki, tylko o zwierzu, a spodziewam się, że pies zwierzę!

— Do kogo innego waćpan idź ze swymi krotofilami, a ja proszę o strzelbę.

Na to świadkowie:

— Odczytamy w domu opis i do niego stosować się będziemy.

Wrócili do domu, pan Leon nie posiadając się ze złości, a pan Bonifacy za boki się trzymając ze śmiechu. W domu przeczytali tranzakcję, a że rodzaj zwierza, co miał być ubity, nie został wymieniony, zatem w istocie pan Bonifacy wygrał zakład.

(Opowiedziane według Pamiątek Soplicy Rzewuskiego).

*) *Rzecz dzieje się wosiemnastym stuleciu na Litwie, gdy jeszcze polowano z oszczepem, a dobra zagraniczna broń palna w wielkiej była cenie.*

Ziarnko  Zboża

RAZU pewnego sułtan, polując w wielkiej puszczy, oddalił się od dworzan. Wtem z gęstwiny wybiegł olbrzymi dzik i byłby rozdarł go kłem w mgnieniu oka, gdyby nie jakiś nieznany człowiek, który rzucił się na zwierzę i trupem je położył.

Gdy ochłonęli obaj, sułtan rzekł do swego zbawcy:

— Ocaliłeś mi życie i pragnąłbym ci się odwdzięczyć. Kto jesteś?

— Nazywam się Ali — odpowiedział nieznajomy.— Niegdyś byłem rolnikiem i miałem własną ziemię, ale straciłem wszystko i służę za pisarza, ponieważ umiem pisać.

Sułtan przez chwilę patrzył na niego uważnie, wreszcie rzekł:

— Bądź zdrów. Usłyszysz o mnie niezadługo, pragnę ci się odwdzięczyć.

Wrócił Ali do domu i opowiedział

żonie, co się stało; oboje byli pewni sowitej nagrody i czekali wiadomości od sułtana.

Rzeczywiście, nazajutrz dworzanin bogato ubrany zjawił się na pysznym koniu, podał Alemu małe pudełeczko i zwój papieru, po czym bez słowa odjechał.

Żona Alego patrzyła ciekawie, gdy mąż otwierał paczkę przekonana, że ujrzy jakiś drogi kamień, bardzo kosztowny i piękny. Ale w pudełku na jedwabnej wacie leżało tylko piękne ziarnko zboża. Ali rozwinął papier, ażeby przeczytać, co to znaczy, i przekonał się, że był to rozkaz sułtana do zarządców kraju, ażeby Alemu pozwalano wszędzie siać i zbierać zboże na gruntach sułtana, ale tylko to zboże, które sam wyhoduje, nie kupne.

Żona Alego zaczęła rozpaczać, lecz mąż w milczeniu schował papier, a ziarnko zboża zasadził w do-



Zgiń, *Jak Bohater*

— ...Za chwilę będzie rozmawiał z panem syn pański...

Taką telefoniczną wiadomość otrzymał w pierwszych dniach oblężenia pułkownik Moscardo — dowódca Alkazaru. Przewody telefoniczne w pierwszych dniach wojny nie były jeszcze przerwane i oblegający mogli się komunikować z oblężonymi.

Z Toledo dzwonił dowódca oddziałów czerwonej milicji — jeden z tych nielicznych oficerów, którzy zdradzili sprawę narodową i poszli na służbę Moskwy.

Pułkownik Moscardo wiedział, że po tamtej stronie linii bojowej pozostał jego 18-letni syn, który wpadł w ręce czerwonych. Miłość ojcowska — czy miłość ojczyzny? Nie było zdaje się wahania. Pułkownik Moscardo w pierwszej chwili nie odpowiedział. Ten sam głos ostry, chropowaty, w którym jednak wyczuwało się jakby pewną nutę zawstydzenia, mówi dalej:

— Jeśli w ciągu najbliższych godzin nie wywiesi pan białej chorągwi—syn pański będzie rozstrzelany...

Nie ma odpowiedzi.

— W takim razie niech pan rozmówi się sam ze swym synem...

Do aparatu przywleczono nieszczęśliwego zakładnika.

— Ojcze, co mam robić?

Teraz dopiero Moscardo przemówił:

— Rozkazuję ci zawołać: Niech żyje Chrystus Król! Niech żyje Hiszpania i zginąć jak bohater. Twój ojciec nigdy się nie podda.

Rozmowę przerwano. W godzinę później rozstrzelano 18-letniego syna pułkownika Moscardo. W 70 dni później na ruinach Alkazaru powiały czerwono-złote sztandary Hiszpanii narodowej. Białej chorągwi nie wywieszono nigdy.

("I. K. C.")

niczce, którą starannie napełnił najlepszą ziemią z ogródka.

Ali pielęgnował zasiane ziarnko troskliwie, polewał i wystawiał je na słońce; gdy roślinka wyrosła, a kłos dojrzał, wykruszył go w ręku i otrzymał pięćdziesiąt ziarnek.

Te zasiał już w ogródku na starannie skopanej grządce, a w następnym półroczu miał już woreczek zboża.

Wtedy z papierem słutana udał się do rządcy najbliższej prowincji i otrzymał potrzebny kawał ziemi. W następnym roku, mając już duży worek zboża, zażądał większego pola, część zbioru sprzedał, a resztę zasiał znowu na otrzymanym gruncie. Wtedy porzucił zajęcie pisarza i stał się znów rolnikiem,— jego żona już nie narzekała. Obsiewał sułtańskie pola nie tylko w okolicy, ale w wielu innych prowincjach, obsiewał coraz większe przestrzenie, stawał się coraz bogatszym człowiekiem. Miał już teraz własny dom z pięknym ogrodem, dzieci posyłał do szkoły, hojnie pomagał biedniejszym.

Razu jednego wziął papier sułtana, poszedł do jego pałacu i prosił o posłuchanie.

Sułtan go nie poznał, ale kiedy przeczytał papier, roześmiał się i powiedział:

— Skarżą się na ciebie, że wkrótce obsiejesz wszystkie moje grunta. Lecz ja cieszę się z tego. Widzę, żeś



Śmieszne Paragrafy



Nic dziwnego

— Jesteś skończonym leniem, darmozjadem, kłamcą; posiadasz wstrętny charakter!... — wyrzuca mężowi żona jego wady z racji spędzenia dwóch wieczorów na pijaństwie.

— Doprawdy, żoneczko, powiadam ci, że doskonałość ludzka nie jest z tego świata.

Nic nie liczą...

Łysy: — Powinniście policzyć mi taniej za obcinanie włosów, których mam tak mało.

Balwierz:— Ależ, panie, my nic panu nie liczymy za obcinanie włosów. Liczymy tylko za wyszukiwanie ich na głowie.

Nie może spać

— Panie doktorze! Ja tak chrapię w nocy, że mnie własne chrapanie budzi i nie mogę przez to spać. Co mam robić?

— Śpij pan w innym pokoju.

Sen

— Wyobraź sobie, Elly, śniło mi się dzisiaj w nocy, że oświadczyłem się tobie. Co to może znaczyć?

— Że we śnie jesteś mądrzejszy, niż za dnia.

pracowity i wytrwały. Chciałbym, ażeby cały mój naród był taki. Ale czego dziś żądasz?

— Odnoszę ci ten papier — odpowiedział Ali — bo dłużej nie potrzebuję już z niego korzystać. Mam dzisiaj własną ziemię i pragnę podziękować ci, panie, że mnie zrobiłeś szczęśliwym człowiekiem.

— Tak? — rzekł zdziwiony sułtan. —Więc nie jesteś chciwy, masz rozum i szlachetne serce. A ponieważ takich ludzi potrzebuję, będziesz odtąd doradcą moim i przyjacielem. Papier mój ci niepotrzebny, własną pracą doszedłeś do majątku, ale przyjaźń wzajemna zawsze potrzebna każdemu, zarówno sułtanowi, jak bogaczom i biednym. Oto masz inny znak, który o każdej porze pozwoli ci stanąć przede mną.

Podług *J. Zaleskiej*

Męczennik

Tajemnicy Spowiedzi

(Według dokumentów, znajdujących się w archiwum rzymsko-katolickiego konsystorza w Ży mierzu)



KSIĄDZ Kajetan Kubyłowicz urodził się w roku 1805 w Kurlandii. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1828. Pierwsze lata swej pracy duchownej spędził w archidiecezji mohylowskiej, następnie był wikarym w diecezji żytomierskiej w miasteczkach Machnówce i Chabnem, nakoniec od 1845 r. został proboszczem w Oratowie.

Ulubioną jego rozrywką było polowanie.

Zostawszy proboszczem w Oratowie na Ukrainie, wziął się energicznie do odrestaurowania swego kościoła, znajdującego się wówczas w stanie zaniedbania. Ponieważ środków na to nie było i kwesta kościelna nie mogła wystarczyć na pokrycie wszystkich potrzeb kościoła, przeto gorliwy sługa Boży zarządził w całej swej parafii zbieranie dobrowolnych składek, jeżdżąc konno sam do powierzonych mu wiosek,

gdzie przyjmował ofiary na poprawę ukochanego przez siebie kościoła. Mieszkańcy całej parafii widywali często swego proboszcza jadącego konno i już się do tego widoku przyzwyczaili.



Nie danym było ks. Kubyłowiczowi dokonać spokojnie swych dni wśród powierzonych mu dusz. Ciężką próbę zesłał Pan słudze Swemu.

W 1852 roku, w parafii oratowskiej zaszedł następujący wypadek: późnym wieczorem, 28 kwietnia, do jednego z domków w miasteczku Daszowie przyjechał konno ktoś, ubrany w sutannę, wystrzałem ze strzelby zabił znajdującego się tam pracownika majątkowego, Kazimierza Leszkiewicza, i odjechał z powrotem w kierunku Oratowa.

Dane były dwa strzały, z których pierwszy przez okno chybił, jednak zwrócił na strzelającego uwagę jego ofiary, Kazimierza Leszkiewicza. Zerwał się, obejrzał, zawołał: "Ksiądz Kobyłowicz", i chciał wybiec do ogrodu. Drugi strzał trafił, i ten był śmiertelny. Umierający kilkakrotnie powtórzył słowa: "Ksiądz Kubyłowicz".

Rozpoczęło się natychmiastowe dochodzenie śledcze. Strzelbę zna-



NAGRODZONA WIARA

NOBEL, wynalazca dynamitu, poszukiwał inżyniera, człowieka poważnego charakterem. Polecono mu młodego inżyniera, który znajdował się w opłakanych warunkach materialnych.

— Czekam jutro pana u siebie na drugim śniadaniu — oznajmił co dopiero poznanemu młodemu człowiekowi oschłym tonem Nobel.

Inżynier przybył punktualnie. Zasiadano do stołu. Rozmowa, w której przewodził Nobel, zaczęła przybierać coraz ostrzejszy i niesympatyczny charakter. Gospodarz domu z furią zwalczać zaczął religię, jej idee, zasady. Inżynier zbladł, obrażony do głębi w swych wierzeniach. Nobel zauważył to i podwoił atak. Inżynier przeszedł do obrony, świetnie odpowiedział Noblowi na jego zarzuty, wykazał sprzeczności w mowie swego przeciwnika, nie licząc się z żadnymi względami. Rozmowa przybierała coraz zaczepniejszy ton. Nagle rozległ się śmiech Nobla. Wyciągnął z życzliwością rękę do swego gościa, rzekł: "Podoba mi się pan, zamiast prosić mię o przyjęcie i pozwolić się sobą kierować, pan postawił się. Na szczęście pana. Szczerość postawił pan ponad interes. Biorę pana za współpracownika".

leziono na strychu kościoła; śledztwo wykazało, że koń pochodził z probostwa; na mocy tych danych aresztowano proboszcza oratowskiego, ks. Kajetana Kubyłowicza.

Było to w niedzielę. Zaledwie rozpoczęła się suma, gdy celebrans, zwróciwszy się do ludu ze słowami: "Dominus vobiscum", nagle ujrzał przed sobą sprawnika i innych urzędników, zrozumiał, że przyszli go aresztować i upadł przy ołtarzu. Wtedy go wzięli z kościoła. Jakkolwiek podczas śledztwa i na sądzie podsądny na wszystkie pytania odpowiadał stale: "Nic nie wiem, jestem niewinny", jednak przez wszystkie instancje został uznany za winnego. Rada zaś Państwa skazała go na pozbawienie wszystkich praw i na 20 lat katorgi (ciężkich robót) w kopalniach syberyjskich.

Roku 1853, dnia 28 stycznia, car Mikołaj I zatwierdził wyrok słowy: "By't po siemu".

Protokół konsystorza żytomierskiego głosi, że 13 maja, 1853 r., oznajmiono wyrok podsądnemu, i wówczas ks. biskup Kasper Borowski dokonał nad ks. Kubyłowiczem smutnej ceremonii degradacji. Dokonał jej wśród łez, bo, tak sam potem powtarzał, uczynił to będąc do tego zmuszonym, lecz w sercu swym był przekonany, że ks. Kubyłowicz wolny jest od przypisywanego mu morderstwa.

Księdza Kubyłowicza, skutego w kajdany, wprowadzono do kościoła, a po zdjęciu mu kajdan ubrano go w szaty święte, jak do odprawiania Najświętszej Ofiary, poczem asystujący duchowni przedstawili go biskupowi, u którego nóg on ukląkł. Najpierw podano mu kielich z winem oraz patenę z hostią. Biskup odebrał mu je z rąk ze słowami: "Odbieram ci władzę składania Bogu ofiary, tak za żyjących, jak za umarłych", poczem zeskrobał mu lekko nożem palec duży i wskazujący u obydwóch rąk, mówiąc: "Przez to zeskrobanie odejmujemy ci władzę ofiarowywania, poświęcania i błogosławienia, którą w namaszczeniu rąk i palców otrzymałeś". Następnie, zdejmując z niego ornat, powiedział: "Z szaty kapłańskiej, miłość oznaczającej, słusznie cię ogałacamy, boś się jej i wszelkiej niewinności pozbył", a odbierając mu stułę, dodał: "Odrzuciłeś znak Pański, który ta stuła oznacza, dlatego ci ją odbieramy i czynimy cię niezdolnym do wykonywania jakiegokolwiek kapłańskiego obowiązku". Gdy już w ten sposób został zdegradowany z kapłaństwa, asystujący włożyli nań szaty święte i diakońskie i dali w rękę księgę Ewangelii. I tę odebrał mu biskup, mówiąc: "Odbieramy ci władzę czytania Ewangelii... bo to tylko godnym przystoi", a zdejmując z niego dalmatykę, rzekł: "Pozbawiamy cię urzędu lewity, bo na nim obowiązku twego nie spełniłeś". Następnie zdjął mu stułę ze słowami: "Odbieramy ci sprawiedliwie stułę białą, którą bez zmazy... nosić miałeś, bo... nie dałeś wiernym przykładu postępowania... zakazujemy ci wszelkiego obowiązku diakońskiego". Później przyodziano go w oznaki subdiakona, a biskup odebrał mu księgę epistoł ze słowami: "Odbieramy ci władzę czytania epistoły w Kościele Bożym, boś tego obowiązku stał się niegodnym"; zdejmując zaś z niego tunicellę, rzekł: "Zdejmujemy z ciebie

tunikę subdiakońską, bo czysta i święta... bojaźń Boża już w twoim sercu nie mieszka". Odbierając mu potem manipularz, rzekł biskup: "Złóż manipularz, bo przez dobre uczynki, które on oznacza, nie zwalczałeś duchownych zasadzek nieprzyjaciela"; a odbierając humerał: "Ponieważ głosu twego nie powściągałeś, humerał ci odbieramy". Wreszcie odbierając mu ampułki, kielich i patenę, dodał: "Władzę wchodzenia do miejsca świętego, dotykania się palek, naczyń i ubiorów świętych i wykonywania posługi subdiakońskiej tobie odbieramy".

W podobny sposób odebrane mu zostały i oznaki święceń mniejszych, aż wreszcie przystąpiono do pierwszej tonzury. W sutannę i komżę ubrany więzień ukląkł przed biskupem, który zdejmując z niego komżę, wymówił: "Władzą Boga Wszechmocnego Ojca, Syna i Ducha Świętego, i naszą, odbieramy ci szatę duchowną i obdzieramy cię z religijnej ozdoby, składamy, degradujemy i pozbawiamy wszelkiego stopnia, beneficjum i przywileju duchownego, i jako duchownego stanu niegodnego, strącamy cię haniebnie i oddajemy do odzienia i stanu świeckiego". Poczem uciął mu trochę włosów, mówiąc: "Jako niewdzięcznego syna od udziału Pańskiego... odrzucamy cię, i koronę na twej głowie, znak królewski kapłaństwa, z niej usuwamy..." Obecny fryzier resztę głowy mu ostrzygł, aby żaden ślad tonzury niepozostał, a asystujący duchowni zdjęli zeń sutannę i włożyli ubranie więzienne. Wtedy zbliżył się przedstawiciel władzy świeckiej, a biskup doń rzekł: "Oznajmiamy, że tego pozbawionego wszelkiego stopnia i przywileju duchownego i zdegradowanego władza świecka może do siebie przyjąć".

Straszliwa ta, grozą przejmująca, ceremonia, o ileż straszliwszą była dla tego nieszczęśliwego skazańca, który shańbiony już wobec całego społeczeństwa, musiał znieść jeszcze to odrzucenie najboleśniejsze dla niego, odrzucenie Matki - Kościoła, a znieść w milczeniu, bez słowa na swoją obronę, składając tym najwyższy hołd miłości i posłuszeństwa Matce.

Odtąd nic już — przynajmniej z pozoru — nie łączyło go ze światem ludzi uczciwych. Zhańbione imię i 20 lat katorgi oddzieliło go od wszystkiego, co było mu dotąd drogim.

20 lat ciężkiej pracy w Syberii— kto zrozumie, co się w tych słowach kryje? Kto zliczy długość tych godzin, dni, miesięcy i lat? Gdzie znajdował się ten kapłan, pozbawiony wszystkiego: praw społecznych, dobrego imienia? Wśród wyrzutków ludzkości dziwny kontrast stanowił ten cichy i łagodny więzień, który się modlił wiele i gorąco; który w swych ciężkich okowach pracował bez skargi, pokornie i niestrudzenie. Ten więzień, którego imię hańbą było okryte w jego ojczyźnie, lecz tam, w dalekiej Syberii, nie tylko wśród współtowarzyszy nieszczęścia, ale nawet wśród dozorców zyskało sobie szacunek.

Co poprzedzało tę cichą rezygnację? Kto zrozumie tę boleść szlachetnego serca, gdy podczas wyżej opisanych smutnych ceremonii zdejmowano z niego sutannę, tę zaszczytną oznakę godności kapłańskiej?

Rok śmierci ks. Kubyłowicza nie jest dokładnie znany, jednak wiadomo, że zmarł on przed oznaczonym terminem kary.

* ★ *

Minęło 27 lat. 6 marca, 1880 r., w parafii Kuniańskiej, na Podolu, umierał ciężko chory człowiek. Przed śmiercią odprawił on spowiedź przed O. Marjuszem, kapucynem, a następnie, przywoławszy świadków, zeznał głośno, że on to, będąc niegdyś zakrystianem w Oratowie, przed 28 laty, przebrawszy się w sutannę swego proboszcza i, dosiadłszy jego konia, z jego strzelby zastrzelił Kazimierza Leszkiewicza (z którego żoną już od 7 lat zostawał w grzesznym związku), poczem odjechał szybko z powrotem do Oratowa i natychmiast po powrocie prosił proboszcza o spowiedź, a wyznawszy na niej swą zbrodnię, tym samym zmusił wiernego sługę Pańskiego do milczenia.

Po tym wyznaniu umierającego wysłano depeszę na Syberię z rozkazem uwolnienia niewinnego więźnia, ale on oddawna już nie żył. Tajemnicę spowiedzi zaniósł ze sobą do grobu.

W kościele oratowskim w czasach wojennych została wmurowana tablica pamiątkowa ku czci ś.p. ks. Kajetana Kubyłowicza.

Ks. Kazimierz Naskręcki

Rozważ To Dobrze...

CZŁOWIEK, co jak bomba atomowa w złości
Wybucha, nie zważając na godność swej osoby,
Okazuje, że nie ma nijakiej miłości —
Natomiast jest pełen maniackiej choroby...

Gdy takie indywiduum znajdzie się w urzędzie,
Wnet przerabia wszystko na swoje kopyto;
Niezadowolony — krytykuje wszędzie —
Najlepsze dla niego jest złote koryto...

Gdy taka persona — co jej nie daj Boże —
Otrzyma chwilowo jakąkolwiek władzę,
Narobi poddanym cierpień całe morze —
Takiego gagatka wprost unikać radzę...

Takiemu się zdaje, że już całym światem,
Od końca do końca niepodzielnie włada;
Ze straszliwą dumą wciąż wywija batem —
Z pianą w ustach grozi, że każdemu biada!!!.

Taki zwyrodnialec wiele chwalebnego
Nie czyni dla Boga, ani też dla ludzi;
On tylko na "oku" ma siebie samego —
Dlatego u wszystkich wstręt ku sobie budzi...

Takich to tyranów już wiele bywało,
Których wytępiłeś, Sprawiedliwy Panie;
Przecież po nich nawet śladu nie zostało —
Tak też po obecnych śladu nie zostanie!...

Brat Anioł Wasilewski, O.F.M.


Napisała
Maria Rodziewicz

Rupiecie

"DOKTÓR Jóźwicki dziś umarł, pogrzeb we środę, proszę o rozporządzenie. Włodarski."

Taką depeszę znalazł pan Adam Jóźwicki, przemysłowiec i kapitalista, na swym biurze, przeglądając ranną pocztę.

Zrobiła nań wrażenie, pomimo, że z bratem od wielu lat nie utrzymywał stosunków. Nie widywali się, nawet nie pisywali do siebie.

Dzieliły ich całe światy: upodobań, pojęć, kariery, środowiska, funduszu, fachu, nawet przestrzeni.

Kołyski ich stały obok, ale gdy z kołyski wyszli, już się we wszystkim rozeszli i nigdy się nie spotkali. Rodzice ich się rozwiedli i podzielili dziećmi. Starszy Adam został z ojcem w Warszawie; młodszego Kazimierza zabrała z sobą matka i wywiozła do swej rodziny, kędyś — w głąb kraju. Adam obrał karierę handlowo-przemysłową — jak ojciec. Zrazu mu pomagał, potem fabrykę odziedziczył, ożenił się bogato w finansowej sferze, fabrykę rozszerzył i rozwinął; teraz, u progu starości stojąc, miał milion, firmę solidną, stosowny kredyt i godność, okazałą i jeszcze piękną żonę i jedynaka syna, którym się słusznie chlubił, z którego był dumny, gdyż podobnie, jak ojciec, oddany był interesom — robieniu pieniędzy i był godnym dziedzicem firmy.

Lubił też wprawdzie kobiety, zbytek i wesołe życie, ale że był młody i miał co tracić, nie widział w tym ojciec nic złego, ani niebezpiecznego— owszem, rad był, że się bawi i używa — przed ożenieniem.

Adam Jóźwicki był szczęśliwy i dumny z siebie. Zdrowie mu tylko

już nie dopisywało. Przepracowany był, zdenerwowany — oddawna już leczył się, odwiedzał zagraniczne "kurorty" — zachowywał ostrą dietę. Ciężyło mu już życie; nużyły obowiązki towarzyskie; świetne przyjęcia w salonach, gdzie królowała jego żona, odrabiał, jak pańszczyznę; w interesach już się chętnie synem wyręczał. Ożywiał się tylko w giełdowych i przemysłowych sprawach; poza tym nic go nie zajmowało, ani bawiło.

"Doktór Jóźwicki umarł" — odczytał raz drugi depeszę, spojrzał na adres: Kodymno. Co to być mogło? Pocisnął guzik dzwonka i kazał biurowemu oficjaliście zasięgnąć informacyj w telegrafie, gdzie się znajdowała ta miejscowość. Potem pomyślał, że przecie musi dać odpowiedź. Możeby wypadało przecie posłać tam syna ... Ale się skrzywił. Po co wtajemniczać w to młodego, który o stosunkach rodzinnych ojca nie wiedział nic — i pewnie tym stryjem z Kodymna nie będzie uhonorowany.

Przyniesiono kartkę z telegrafu. Kodymno było małym miasteczkiem w guberni Witebskiej, gdzieś na końcu świata — zakazany kąt!

Można było sobie wyobrazić, jaki tam mógł żyć i pracować lekarz!

Jóźwicki wydobył kartę geograficzną, i po długim szukaniu, wynalazł wreszcie to Kodymno—leżało gdzieś na uboczu od drogi żelaznej.

Stanowczo Roberta tam posyłać nie można, ale nie można też pominąć milczeniem depeszy i nie spełnić jakkolwiek rodzinnego obowiązku.

Może tam być rodzina i interesy — może długi — znają adres — telegrafuje jakiś Włodarski — zmarły zostawił o sobie jakieś informacje — może wydał polecenia. A może żyje jeszcze matka?

Jóźwicki się zadumał ... Matka! — nie znał jej, nie pamiętał, nigdy o niej nie myślał. Teraz jakby zdumiał, że tak być mogło! Ba! Była to drażliwa niegdyś sprawa, aby ojca spytać ... Potem i na myśl nie przyszło w wirze interesów i innych stosunków. Nawet przy śmierci ojciec jej nie wspomniał, nawet o spadek nikt się nie zgłosił, nawet zawiadomienia o śmierci nie wysłał, nie wiedząc, gdzie tych dwoje żyje i czy żyje ...

Teraz wieść przyszła — zapewne był potrzebny. Została może wdowa i sieroty. Pojechać tam musi.

Teraz już Jóźwicki był zdecydowany. Wziął firmowy blankiet i napisał depeszę: "Jadę — czekać z pogrzebem."

I oto w kilka godzin potem już był w wagonie i jechał niespodzianie w obce strony — z grubo wypchanym portfelem — przygotowany na rolę opiekuna i dobrodzieja. W domu nie powiedział, dokąd jedzie i w jakiej sprawie, zresztą nikt go o to nie pytał i nikogo to tak bardzo nie zajmowało.

Podróż miał długą i nudną. Był sam w przedziale pierwszej klasy; dopiero pod koniec wsiadł jakiś współtowarzysz, od którego Jóźwicki się dowiedział, że Kodymno leżało o dziesięć wiorst od stacji kolei, było marną mieściną i żywot swój zawdzięczało hucie szklanej, położonej o wiorstę, w ogromnych borach.

Co za wygnanie musiała być posada lekarza w takiej okolicy! Jakie losy wrogie, lub własna niezaradność i nieudolność zagnała tam jego brata!

Był wieczór, gdy pociąg dobiegł właściwej stacji. Na dworze późna jesień — wicher mroźny chybotał kilku latarniami; na platformie stał tłum Żydów i chłopów. Pierwsi — ruchliwi i gadający, drudzy — apatyczni i mrukliwi. Zjawił się zaraz woźnica w chałacie i ofiarował Jóźwickiemu swą bryczkę krytą, staromodną, jakąś landarę z przed lat stu, do której przyczepione były sznurkiem cztery różnej maści i miary, ale jednakowo chude chabety. Jóźwicki, widząc, że nie ma wyboru, siadł, i czwórka ruszyła ostro z miejsca, brzęcząc, jak transport żelastwa. Pęd

ten trwał krótko, przeszedł w kus, potem w truchcik, wreszcie w stępa.

Woźnica siedział gdzieś daleko za skórzanym fordeklem landary, krzyczał, bił konie i udawał, że powozi. W istocie konie czyniły i szły, co i gdzie chciały, bo wokoło panowała nieprzebita ciemność.

Wicher wył, ledwie się posuwali. Po długiej chwili Jóźwicki rozsunął skórzane firanki i zawołał do Żyda:

— Słuchajcie-no! Czy wy znacie pana Włodarskiego?

— Ojoj! To jest inżynier z nasze fabrykie! Czy pan dobrodziej do jego jedzie? Jego teraz w domu nie ma.

— Wyjechał?

— Nie, ale u nas teraz wielkie nieszczęście bulo. U nas wszystkie bez głowy chodzą. Och! Nasz pan doktór pomarł! Och! To pan Włodarski tam przy nim siedzi. Jutro jego chować mają... Ot! Co to za żałoba i u Żydki, i u katołyki, i u prosty naród!...

— Czy doktór miał rodzinę?

— A może jaśnie pan to ten krewny, co to na niego z pogrzebem czekają? Oj... ja zgadł. Ach! Jaki mnie honor co ja jaśnie pana widzę... Takie godne osobe. Ale jaśnie pan też honor ma, co takiego świętego w familii miał!... Och! Takich ludzi, to więcej nie ma na świecie. Och! Co ja panu powiem, pan sam najlepiej wie!... Och! Jakie żałobe na nas wszystkie!...

Jóźwicki nie śmiał o nic więcej pytać: wstyd mu było nieświadomości, a przy tym dotknięty się czuł w swej wielkości tymi pochwałami. Nie wiedziano tu snadź wcale, że doktór był bratem milionera; w ogóle o *nim* nie wiedziano nic zgoła.

Jakże daleko zajechał i w jaką dzicz!

— Poganiaj-no, a to się nie dowleczemy do rana — rzekł.

— Tu są wielkie wyboje od te wozy, co szkło dostawiają. Ja nie mogę trząść takie godne osobe. Ale za lasem to my pojedziem jak maszyna żelazna!

Była to tylko czcza przechwałka. Po wybojach nastąpiły korzenie, potem bezdenny piasek, wreszcie błoto, ale razem z błotem rozszedł się zapach dymu, i gdy się Jóźwicki wychylił, ujrzał po obu stronach błotnistej ulicy niskie domki i parkany, i zrozumiał, że stanął u celu podróży. Rozsunął firanki i starał się coś zobaczyć, ale majaczyły tylko kontury. Wjechali na wielki plac, ujrzał grupę nagich drzew i wieżę — był to k o ś c i ó ł zapewne; potem skręcili wbok znowu ulica niebrukowana, obrzeżona domami i parkanami. Nagle wehikuł stanął przed jakąś furtką, i woźnica rzekł:

— To jest dom pana doktora.

Jóźwicki wysiadł, zapłacił, wziął swoją ręczną walizkę i wszedł za ogrodzenie. Zobaczył opodal światła w dwóch niskich oknach, zarysy małego domku, i ruszył w tym kierunku, odczuwając dziwne uczucie obawy, kogo tam spotka.

Uspokajało go to, że zapewne jest oczekiwany.

Drzwi od ganeczka — na dwóch słupach — nie były zaryglowane, zapewne usłyszano turkot, bo gdy wszedł młody mężczyzna z lampą, i zbliżywszy się, rzekł, spojrzawszy na gościa:

— Zapewne pan Adam Jóźwicki. Jestem Włodarski. Oczekiwałem pana. Pani Jóźwicka jest na przybycie pana przygotowana.

Jóźwicki nic nie odparł, rozebrał się z paltota, przelotnie spojrzał po ścianach i kątach nagich i ciasnych, po podłodze usłanej świerkowymi igłami i poszedł za Włodarskim ku drzwiom pokoju. Włodarski usunął mu się z drogi przed progiem, i Jóźwicki znalazł się sam w pokoju, oświetlonym jedną lampą, przy której siedziała stara, siwowłosa szczupła kobieta i szyła coś czarnego. On stanął w progu, ona podniosła oczy, opuściła ręce z robotą na kolana, i rzekła:

— Adam, jesteś. Witam cię!...

Patrzyli na siebie — chwilę — może wieczność. Jej oczy wyblakłe,

zmarszczkami otoczone, poczęły nabiegać łzami, i usta zwiędłe drżeć; on odczuł takie bicie serca, że dech tracił i łapał z trudem powietrze. Wreszcie rzucił się ku niej i upadł u jej kolan.

— Matko! . . .

Ręce przezroczyste, suche, białe spoczęły na jego głowie, i poczuł na włosach pocałunek.

Na głowę jego, wtuloną w fałdy żałobnej szaty, padały ciche, gorące łzy matki.

Ona pierwsza przemówiła:

— Dziękuję ci, żeś przyjechał. To on przed śmiercią polecił Włodarskiemu ciebie wezwać. Troskał się o mnie.

On wreszcie oprzytomniał, podniósł się i rzekł przerywanym głosem:

— Ja nic nie wiedziałem, nic nie przeczuwałem. Tak byłem bez was całe życie.

— Całe życie! . . . — powtórzyła cicho, przyglądając mu się — i już go nie poznasz!

Ścisnęła czoło d ł o ń m i, jakby zgnieść, opanować chciała myśli i uczucia, i dodała z żałością i słodką dobrocią:

— Ja cię zawsze w myśli miałam, i pamięci, i w modlitwach. Cieszyłam się, słysząc, że ci się powodzi i szczęści. Tak młodo i dobrze wyglądasz.

— Matko, czy ja go już nie zobaczę? — rzekł zcicha.

— Wynieśli go już wieczorem do kościoła — odparła szeptem.

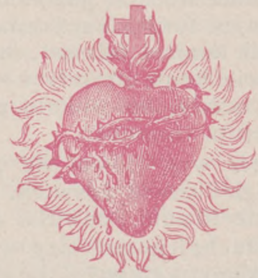
— Dlaczego umarł? Młodszy był ode mnie. Może . . . może . . . tu głos mu zadrżał — możeście nie mieli środków do ratunku, a jam nic nie wiedział.

— Nie, nie. Nic nie brakło z ludzkich środków, ale nie było ratunku. Przeziębił się . . . zapalenie płuc . . . we cztery dni . . . było trzech kolegów . . . wola Boża.

Zaplotła ręce na kolanach i utkwiła oczy w przeciwległą ścianę. Jóźwicki spojrzał też i zobaczył małą fotografię, marną robotę małomiasteczkowego zakładu, w ubogich drewnianych ramkach. Bez pytania wiedział, że to "on" był, i chciwie się weń wpatrzył.

Blada, sztywna podobizna: twarz o myślących i wesołych zarazem

DOBROĆ BOSKIEGO SERCA



REKTOREM uniwersytetu Serca Jezusowego w Mediolanie, we Włoszech, jest znany uczony Franciszkanin, Ojciec A. Gemelli. Z zawodu lekarz, należący do partii socjalistycznej, niewierzący, po nawróceniu wstępuje do zakonu Franciszkanów i oddaje się służbie Bożej. Wielki uczony, od roku 1913 obejmuje katedrę psychologii na uniwersytecie w Turynie. Ojcu Gemelli, jego staraniom szczególnym trzeba przypisać założenie uniwersytetu "Serca Jezusa" w Mediolanie.

Jakaś stała troska zasępiła oblicze Ojca Rektora w ostatnich latach. Ojciec jego, Wincenty Gemelli, podeszły w latach, żył zdala od Boga i nic nie wskazywało na to, że pragnie pojednać się z Kościołem przed śmiercią.

Na krótko przed otwarciem uniwersytetu Serca Jezusowego, zagadnął Papież Benedykt XV Ojca Gemelli, któremu przyrzekł w serdecznych słowach modlić się o nawrócenie jego ojca: czy modlitwy odnios-

ły tak upragniony skutek? — Niestety,— brzmiała odpowiedź, — a przekroczył już 70-dziesiątkę.

"Nie martw się, Ojcze i nie lękaj. Ojciec twój umrze jako dobry katolik, jestem tego pewien". A chcąc umocnić Rektora w jego ufności i oddalić nawet cień zwątpienia dodał: "Zapewniam cię, Ojcze, Najświętsze Serce Jezusa nie może odmówić ci tej łaski!"

I rzeczywiście. Jakby na potwierdzenie słów Ojca świętego, Boskie Serce w nadzwyczajnych okolicznościach urzeczywistniło cud łaski. Było to w dzień poświęcenia uniwersyteckiej kaplicy. Ojciec Gemelli, jako rektor, odprawił Mszę świętą. Podczas rozdawania Komunii św., gdy wzrok jego padł na wielką liczbę przystępujących, głos jego zadrżał nagle; był tak zaskoczony, że nie mógł dokończyć przepisanej modlitwy. Co się stało? Otóż między profesorami, studentami i zaproszonymi gośćmi, klęczącymi przed balaskami, dostrzegł swych rodziców. Z rąk syna przyjęli Ciało i Krew Pańską.

Widać chciało Serce Jezusowe w tym pamiętnym dniu okazać tę łaskę słudze swemu i zesłać widoczny znak błogosławieństwa na tego, który czci Imienia Jego tyle chwały chciał przysporzyć.

Wkrótce potem umarł Wincenty Gemelli, jako praktykujący katolik.

oczach, i uśmiechniętych ustach: jakaś jasność i siła, i dobroć w całej głowie, nie odznaczającej się zresztą pięknymi rysami, ani kształtami.

— Dawna fotografia? — spytał.

— Z przed trzech lat.

— Wygląda na trzydziestoletniego.

— Taki był zawsze . . . do ostatniej chwili.

Jóźwicki, który był zdjął ze ściany fotografię, zawiesił ją napowrót, i dopiero teraz rozejrzał się po pokoju, i spostrzegł, jak był mały, niski i ubogi.

— Matko, — wybuchnął — i wy tu w takiej biedzie i niedostatku jesteście, a jam nic nie wiedział!

Staruszka spojrzała wokrąg ścian. Oklejone były tanim obiciem, przeciętym gdzie niegdzie drzeworytem lub kolorową litografią. Sprzęty były twarde, stare, ledwie kilka sztuk, każde inne. Komódka, stolik, fotel, kilka krzeseł, w głębi jej łóżko. Z prostych desek podłoga, upstrzona gdzie niegdzie kawałkiem kilimka, w oknach niskich wazoniki z kwiatami.

Patrzyła długo, wreszcie rzekła:

— Może tu niеładnie, nieświetnie, ale nie miałam tu ani jednego dnia bez radości i szczęścia, aż do tego ostatniego tygodnia. Piętnaście lat tu spędziliśmy, zrazu jako lokatorowie, od trzech lat dopiero jako właściciele. Zbierały się powoli sprzęty, po sztuce, każdy z taką uciechą! A szczęście zawsze było takie wielkie!

— A przedtem gdzieście żyli?

— Przedtem . . . dziesięć lat w Tiumeniu!

—Ach tak! A przedtem? . . .

— Mieszkałam w Wilnie. On się uczył. Gdy skończył, jużeśmy się nie rozstali . . . aż teraz . . . na krótko! . . .

— I dlaczegoż osiedliście tu, w takim kącie? Jakież to życie, jaka kariera, co za praktyka i praca? Piętnaście lat, żeby zdobyć tę ruderę i te rupiecie!

— Nie urągaj. Nam było dobrze z tym, ze wszystkim, co nas otaczało, i z każdą pracą. Czegośmy chcieli i pragnęli, to on spełnił: co zamyślił, dokonał. Pewnie, że to rupiecie . . . pewnie . . . ale on to kochał.

Przesunęła ręką po oczach i umilkła.

Adam coraz więcej wracał do przytomności i zwykłej rozwagi. Odczuwał oburzenie, że matka była w takim położeniu. Ten domek zagrodnika, to ubóstwo urządzenia, ta jej wytarta czarna suknia, ta lampa rublowa, te jej spracowane ręce, szyjące żałobę, te kraty koślawe, te okienka z drobnych szybek — wszystko napełniało go wstrętem, upokorzeniem, zgrozą. W głębi duszy miał już obraz tego brata ideologa i niedołęgi, który nie potrafił nawet stworzyć dobrobytu i wygody dla tej jednej starej kobiety, którą niby to zapewne kochał i przez którą był widocznie ślepo kochany.

Cała jego praktyczność, rzutkość i bystrość przemysłowca burzyła się na taką apatię i gnuśność. Ale nie śmiał odezwać się z krytyką zmarłego, więc tylko myślał, jak matkę stąd zabierze, jaki jej da przepych i wygodę, jaką opieką i sercem otoczy. A tymczasem poczuł się w obowiązku zająć się odrazu interesami i spytał:

—Przybyłem tak późno, że już nie mogę służyć inaczej, tylko finansowo. Wszystkie koszty moje, pozwoli mama. Zapewne pan Włodarski mamę wyręczał. Proszę, mamo, wziąć wszystko, proszę!

Położył przy niej portfel, na który popatrzała smutno.

— Nie trzeba pieniędzy, Adamie, nic nie trzeba.

— Mama mi nie odmówi przecie! — rzekł gorzko.

— Nie, ja ciebie nie chcę urazić w dobrej chęci, ale naprawdę nie trzeba. Spytasz Włodarskiego... Aleś ty zdrożony, zmęczony, głodny. Jak ja pamięć i myśli potraciłam!

Wstała i przeszła do sąsiedniego pokoju; słychać było, że rozmawiała ze służącą, i po chwili zawołała go.

Zobaczył pokój równie ubogi i skąpo umeblowany. Była to jadalnia, i posiłek już był podany przez starą służącą, która ciekawie obejrzała gościa.

— Poproś pana Włodarskiego! — rzekła jej pani Jóźwicka.

Sługa wyszła, a staruszka dodała:

— Zasnął zapewne. Tyle nocy czuwał nad nim, a potem ze mną...

— Czy może krewny nasz?

— Nie, to wychowaniec Kazia.

Podała mu półmisek z potrawą, zajęła się herbatą.

Zastawa była skromna, gruby fajans i szkło zapewne miejscowej fabrykacji, stół ceratą przykryty, długi. Pod ścianami na półkach książki, a wyżej, szeregi poglądowych i geograficznych atlasów.

Wyglądało to, jak szkoła, i zrobił głośno tę uwagę.

Staruszka spojrzała wokoło i rzekła:

— Dużo tu przeszło chłopaków... i wyszło ludzi! Gwarno bywało.. teraz cicho!...

Chciał Jóźwicki dalej pytać, ale wszedł Włodarski. Przywitali się jeszcze raz, i młody mężczyzna zajął miejsce u stołu.

— Byłem przed chwilą na plebanii, — rzekł do staruszki — i ułożyliśmy z księdzem porządek pochodu.

— Proszę pana, — rzekł żywo Jóźwicki — matka mi pozwoliła ponieść koszt pogrzebu, więc jestem do rozporządzenia, i chciałbym, żeby to było zrobione jak najokazalej, o ile to przy miejscowych środkach jest możliwe.

— Proszę pana, — odparł młodzieniec — to ani moja, ani pana, ani nawet pani wola i rzecz. Pogrzeb pana doktora nie my urządzamy i robimy. Jego grzebie Kodymno; my z księdzem i policją radziliśmy nad porządkiem pochodu.

— Jak to... niby? — spytał, nie rozumiejąc, Jóźwicki.

— "Ojca chowają dzieci!" — tak mi rzekli seniorowie robotników, miasteczka i wsi okolicznych po śmierci pana Kazimierza. Pani przyznała im prawo.

Jóźwicki poczuł się wzruszonym.

— Wynagrodzę im to po królewsku! — rzekł.

Włodarski brwi zmarszczył, ale nic nie rzekł.

— Nie masz wieści od Ławrynowicza? — spytała staruszka.

— Nie ... jedzie na pewno. Rano będzie.

— Czeka mama jeszcze kogoś?

— Wychowaniec Kazia, doktór. Już drugi rok praktykuje w Łodzi.

— Słyszałem o nim. Bardzo zdolny i wzięty.

— Ojciec jego jest dotychczas mechanikiem u nas w fabryce — rzekł Włodarski. — Mamy kilkunastu ludzi z Królestwa, reszta już wszyscy tutejsi.

— Pan mówi: "już". Więc przedtem byli wszyscy z Królestwa.

— Nie ... przedtem byli sami Czesi i Niemcy.

— Dużo państwo zatrudniają ludzi?

— Trzysta rodzin!

— A pan już dawno pracuje?

— Już piąty rok.

— Pan studiował w kraju?

— Skończyłem politechnikę w Dreźnie, wprawiałem się jeszcze w Czechach, byłem rok w Anglii.

— I to pierwsza pana posada?

— Pierwsza i ostatnia. Jestem ze szkoły doktora. Tu wzrosłem, tu zostanę!

Obejrzał się po ścianach z jakimś serdecznym smutkiem, potem spojrzał na staruszkę i rzekł:

— A pani nic nie je! A pani obiecała! ...

— Piłam herbatę, doprawdy, piłam. Wyście też obadwaj pomęczeni, i tak już późno. Zaprowadzę cię na spoczynek, Adamie ... Taką miałeś daleką i nużącą drogę! ...

Zapaliła świecę i poprowadziła go przez sień do narożnej izby, która widocznie była gabinetem doktorskim. Posłanie znalazł gotowe na otomanie. Matka pocałowała go w czoło i wyszła.

Patrzał za nią. Jaki zachowała pomimo lat chód żywy i jaką prostą postać!

Pozostał sam i obejrzał pokój. I tu nie było śladu jakiegokolwiek komfortu i dobrobytu: wszędzie ta sama prawie bieda. Jedna szafka z narzędziami, druga z podręczną apteczką, umywalnia, szafa z książkami, fotel, kilka krzeseł i biurko, zarzucone papierami i gazetami.

Na biurku fotografia matki i kilka cenniejszych drobiazgów, zapewne podarków. Między innymi zauważył nóż do papieru, ślicznie rzeźbiony, z napisem: "Tiumeń, Przesyłna, Doktorowi naszemu", i żelazny kałamarz, arcydzieło kunsztu, z napisem: "Ślusarze po tyfusie 1890 swemu świętemu."

Poczuł się wreszcie wyczerpanym i zmożonym wrażeniem, położył się i zgasił światło. Długo jednak zasnąć nie mógł — ów brat, znany tylko z nędznej fotografii, stał mu w oczach, a on mu powtarzał wciąż jedno: "Jak mogłeś *moją* matkę utrzymywać tak nędznie? ... Dlaczegoś się do mnie nie odwołał?"

Rano zbudził go hałas przed domem, zakrawający na ostrą kłótnię i bójkę. Gdy się zerwał i śpiesznie ubrał, posłyszał opanowujący wrzawę głos Włodarskiego. Wyjrzał przez okna i zobaczył gromadę furmanów Żydów z batami w ręku, dowodzących czegoś hałaśliwie. Włodarski parlamentował. Żydzi skakali sobie do oczu, tkali gwałtem Włodarskiemu do rąk jakieś blaszki.

Wreszcie on wszystkie te znaki wziął, zmieszał i poszedł z nimi do domu. Wrócił po chwili rzekł głośno:

— Pani wyjęła siódmy numer. Uspokójcie się!

Żydzi, charkocząc, poszli do furtki; kłótnia uciszyła się, jak czarem.

— Co to było? — spytał Jóźwicki, spotykając Włodarskiego w sieni.

— Wszyscy chcieli wieźć panią Jóźwicką, na cmentarz. Trzeba było losować. Teraz się niepokoję, czy przyjedzie Ławrynowicz, bo na kolej nikt z nich nie pojechał.

— Czy cmentarz nie w mieście?

— O, bardzo daleko, aż za fabryką.

— Karawan zamówiony?

— Jest, i dyrektor fabryki przeznaczył do niego swe konie, ale bę-

dzie chyba tylko dla formy.

Weszli do jadalni. Staruszka robiła herbatę, ubrana w czerń, którą wczoraj sobie poszyła, spokojna; chciała się nawet do syna uśmiechnąć, ale nie zdołała, kurczowo zadrgała twarz tylko.

— Już dziewiąta, a Ławrynowicza nie ma! Spóźni się! — rzekła.

— Ot i jest! — zerwał się Włodarski, wyjrzawszy oknem.

Od furty szedł barczysty, elegancko ubrany mężczyzna, za nim dwóch ludzi niosło spore kufry.

Po chwili nowo przybyły wszedł do jadalni i przypadł do kolan staruszki. Nie płakała, przez chwilę nie mówił nic, tylko jej ręce ucałował.

A potem ozwał się drżącym głosem:

— Depesza o chorobie nie zastała mnie w domu, a po tej drugiej zabawiłem dwa dni, żeby sprawy uporządkować i już nie potrzebować wracać.

— Już nie odjedziesz?

—Jakeśmy postanowili. Bodajem tylko potrafił tym się stać, czym on był!

Głęboko odetchnął i wstał. Wtedy dopiero spostrzegł obcego i zesztywniał.

—Mój syn Adam — rzekła staruszka.

—Ławrynowicz.

Uścisnęli w milczeniu dłonie.

— Pójdziemy już — ozwał się Włodarski.

Staruszka odziała się w niemodne palto i zrudziały stary kapelusz, i wyszli przed dom.

Dzień się wypogodził, jeden z tych rzadkich słonecznych dni później jesieni. Jóźwicki zobaczył teraz całą posiadłość. Domek był drewniany, typowy dworek z małego miasteczka. Jednym bokiem już się pochylił, gontowy dach zielony był od mchu, ze ścian tynk w wielu miejscach poopadał — rudera!

Przed nim był spory dziedziniec, plac widocznie dziecinnych zabaw sportowych i gimnastyki, na boku



Żarty

A ty?...

— Moja żona uczy się grać na gitarze, jedna córka na fortepianie, a druga na saksofonie.

— A ty?

— Ja? Cicho i cierpliwie cierpieć.

Dlaczegóż?...

Gość: — W tym hotelu są przecież wszystkie pokoje jednakowe. Dlaczegóż więc cena wynosi za jedne 7, a za drugie 8 złotych?

Portier: — Proszę pana, w tych pokojach za 8 zł. stawiamy na noc łapkę na myszy.

Uzbrojona...

Mąż wraca późno do domu. W progu oczekuje go żona z miotłą:

Mąż:— Kochanie, cały świat się rozbraja, czemu i ty nie ograniczysz zbrojeń?

Od wielu lat...

— Nic nie robisz już od wielu lat... Czy nie wiesz, co święty Paweł powiedział: *"Kto nie robi, niech nie je!"* Co masz na swe usprawiedliwienie?

— A no to, że imaginuję sobie, że jestem już zasłużony na wszystkie strony...

rabatki ze szkieletami i zwłokami letnich kwiatów, w głębi sad owocowy. Całość stanowiła może dwa morgi — ot, marna zagroda mieszczańska.

U furty na ulicy stały dwie landary i woźnica pierwszy począł wołać:

— Ja, numer siódmy! Ja wiozę panią!...

Jóźwicka spojrzała serdecznie na pejsatego furmana i wsiadła z Adamem.

W kościele biły już dzwony.

Gdy wynurzyli się z uliczki, zobaczyli plac przed kościołem, zatłoczony ludźmi, którzy utworzyli dla nich jakby szpaler, i na widok staruszki, co do jednego odkryli wszyscy głowy. Zresztą była cisza, tylko te dzwony gadały.

U bramy kościelnej było sporo bryczek, a gdy stanęli, kilku starych, z waszecia ubranych mężczyzn otworzyło drzwiczki i na ręku wyniosło prawie Jóźwicką z landary. Adam jej podał ramię i szli wśród pochylających się, odkrytych głów i uroczystej ciszy. Jóźwicki czuł dziwne ściskanie i bicie serca.

Kościół cały był jedną masą świeżej świerczyny. Wysoko, pośrodku, w mnóstwie świateł szarzała dębowa trumna, jak w gaju.

Nie było na niej wieńców, ni wstęg.

Pierwsza ławka czekała na Jóźwicką, w następnych było nieco sąsiedniego obywatelstwa, nieco kapeluszy damskich, trochę miejskiej inteligencji, ale tłum zbity, gęsty, stanowiły kapoty, siermięgi, kurty robotnicze, i jak Jóźwicki z podziwem zauważył, chałaty żydowskie. Stali, jak jedna zgodna armia, robotnicy, chłopy Rusini, mieszczanie i Żydzi. Stali poważni i skupieni, i patrzyli wszyscy na trumnę.

Zaczęły się egzekwie, potem msza, wreszcie ruch się uczynił w tłumie, jakieś porządkowanie, wokoło katafalku skupili się mężczyźni, zbliżyli się panowie z ławek, Włodarski i Ławrynowicz.

Jóźwicka modliła się cały czas bez łkań i jęków. Z oczu jej, utkwionych w trumnę, sączyły się ciche łzy, usta poruszały się czasem.

Gdy ludzie poczęli spuszczać trumnę, gdy ją wzięli na ramiona, zajęczała raz tylko i wstała, by iść za nią aż do ostatecznego kresu.

Uderzono we wszystkie dzwony, roztworzono naścieżaj podwoje kościoła: krzyż, chorągwie, ksiądz, trumna wysoko nad tłumem, wszystko wysunęło się na rynek, i wyszło też słońce z za chmur jesiennych. Tłum runął nazewnątrz, ale Jóźwicką i Adama, który ją prowadził, otoczył kordon robotników, by ochronić od nacisku ludzi.

Ksiądz chwilę się zatrzymał, bo karawan czekał przed furtą, ale szmer się uczynił, rósł,ogarnął tłum.

— Nie damy wieźć ... zaniesiemy! On z nami był do końca, my z nim! Nie damy wieźć!

Karawan się usunął. Tłum zwartą masą otoczył trumnę, zajaśniały w słońcu krzyże i chorągwie, zamigotały tysiące świateł, wszystkie dzwony, jakie były w mieście, biły, wszystkie bractwa uszykowały się w pochód, ksiądz zaintonował śpiew, który podjęły młode głosy chłopaków, poprzedzających trumnę, zgodnym chórem.

Pochód się wysunął, minął rynek, skręcił w uliczkę, i nie miał, zda się, końca. Ławrynowicz napół przemocą uprowadził staruszkę do powozu i z nią pozostał. Za trumną szedł Adam z Włodarskim; ludzi niosących zmieniali gwałtem coraz to nowi, i widział Adam, że cisnęli się jednako i panowie, i chłopi i robotnicy... Wszyscy do tej trumny, jakby do zaszczytu.

— Co ludu się zebrało! — szepnął Adam.

— Bo nikt nie został w domu, a i fabryka dziś stoi. Wszyscy są! — odparł Włodarski.

— Bardzo poczciwi ludzie!

— Poczciwi! Ludzie będą zawsze poczciwi dla tych, którzy ich kochają. Bywają wyjątki, ale to wyrodki. Ten tłum nie dowodzi mocy swego

uczucia, lecz wielkości duszy tego, którego w grób niesiemy. Miał wszystkich w sercu i myśli, i wszyscy są z nim, do ostatka! O, teraz go nasza fabryka żegna.

Pochód wił się już po drodze podmiejskiej, opodal zaczerwieniały mury fabryki i białe domki osady robotniczej, i oto te mury się ozwały: nad dachami wykwitły smugi pary, rozległy się gwizdy wszystkich sygnałów, zadźwięczały wszystkie robocze dzwony i dzwonki. Z osady wysypały się dzieci i kobiety, usypały drogę świerczyną, i przyłączyły się także do pochodu.

Jóźwicki szedł, szedł, po wybojach, po błocie, nie czując zmęczenia ni niewygody. Taki miał w głowie natłok wrażeń, taki szum, takie dziwne dławienie w gardle.

A już ukazał się cmentarz w borze, mnóstwo krzyżów i kapliczka, domek grabarza. Dzwon stamtąd począł witać i wołać tego, który ku spoczynkowi dążył.

Zbliżała się ostatnia chwila rozstania.

Gdy się staruszka znalazła nad otwartą katakumbą, obok trumny, przypadła do tego drzewa, objęła je ramiony, zajęczała. I nagle jak huragan przeszedł po tłumie, zajęczały, załkały wszystkie piersi, zgłuszyły modlitwy i śpiewy.

Adam Jóźwicki cały się wstrząsnął. Widział tłumy na pogrzebach, eskortę uznania lub sympatii, formę oddania czci zmarłemu, ale takiego jęku tysięcy nie znał, nie przypuszczał, że jest możliwy.

Ławrynowicz szepnął coś staruszce i pomógł jej powstać. Potem skinął na ludzi, pokazując ją oczyma, i uciszyli się, ciche tylko chlipanie rozlegało się, kędy były kobiety. Spuszczono trumnę w grób, i wtedy ksiądz przemówił. Młody był, o energicznej twarzy, a d o b r y c h oczach. Modlił się głosem, który się łamał i wiązł chwilami w gardle.

— Bracia, otośmy w grób złożyli tego, który nas miłował. Co bym wam rzekł o nim, to tylko słowa będą blade. Nie ma wśród nas żadnego, który go ojcem nie zwał, i ze mną po nim nie płakał, i nie błogosławił go. I oto opuścił nas, który nas miłował, ale myli się, kto sądzi, że go już nie ma wśród nas. Był on tu i pozostanie, bo nie ujrzy każdy z nas domu jego, matki jego, uczniów jego, czynów jego, nie wspomni żaden z nas dobra i cnoty, żeby jego pamięci i życia nie czcić, jego myśli i duszy nie miłować. Jako sieroty i rozbitki się czujemy, ale zarazem za synów jego się uważając, bierzemy po nim dziedzictwo święte, chlubne i nieoszacowane, i obowiązek miłowania tego, co on miłował, pracy i cnoty, jakiej on nas uczył, służenia temu, czemu on służył. I będzie on zawsze wśród nas, jeśli będziemy jego godni. Niech mu ta ziemia będzie lekka, bo ją miłował!

Głos księdza ustał, schylił się, rzucił na trumnę garść ziemi.

Jóźwicki wziął też trochę piasku w rękę, ale zamiast rzucić w grób, trzymał w dłoni i zapatrzył się w robotnika, który stanął obok księdza, i bardzo blady, z drgającymi rysami twarzy, cisnąc do piersi swą czapkę, mówić począł.

Zdało się Jóźwickiemu, że go zna, że go często widział, że głos jego słyszał, tak podobny był do tej rzeszy fabrycznej, z którą spotykał się prawie codzień u siebie. Ach, jak on ich znał! — zdawało mu się. Ich postać barczysta, ich ręce twarde i zdefigurowane narzędziem, często okaleczone wypadkiem, i cerę ciemną, i zadymioną, ich rysy zgrubiałe i tępe, ich oczy martwe lub złowieszcze, ich milczenie posępne, lub ryk rozpętanej bestii. Widział i znał ich w różnych fazach: pokory, pochlebstwa, strachu przed władzą, wykrętów fałszywych, czasem pijanego zuchwalstwa, i z doświadczenia nie lubił i był na ostrożności, gdy mówili.

Gdy tłum ten się zbierał bezczynny i wybierał z pośród siebie mówcę, Jóźwicki zwykle pierwszym instynktowym ruchem skupiał się do jakiejś walki, i szukał w kieszeni re-

wolweru. I teraz w pierwszej chwili doznał tego uczucia, ale tylko w pierwszej chwili.

— Bracia i towarzysze, i wszyscy ludzie tutejsi, od najbogatszych do najuboższych, którzyśmy się tu zeszli, jakby jedna familia! Czy pomnicie wy, jako tu u nas się działo przed laty piętnastu, kiedy ot my tu się zabłąkali aż z końca świata, szukając chleba, stagnacją fabryczną zniszczeni!

— W fabryce byli Niemcy, na wsi Rusiny, w mieście Żydzi, a każdy jeden drugiego nienawidził, jeden drugim pogardzał, jeden na drugiego wilkiem patrzał. Nas pięciu przybyło jeszcze innych i już całkiem obcych. Do fabryki nas nie przyjęto, we dworach nas się lękano, na wsi traktowano jak włóczęgów: musieliśmy żebrać, żeby mieć o czym dalej się wlec.

— Po jałmużnę przypadkiem zaszliśmy do niego... i ot, jaka była jego jałmużna. Na jego słowo po kilku dniach przyjął nas dyrektor na najmarniejszą robotę i zostaliśmy. Nie starczyło zarobku na chleb, on nas żywił; nie starczyło na odzież, on nas odział; nie było dachu, jego dach nas ogarnął. Tylko jednego wymagał: "Nie czyńcie mnie wstydu... Nie czyńcie sobie wstydu." To tak się zaczęło. Było nas, jego domowników, pięciu, a jest nas teraz w fabryce trzysta rodzin, i wszystkich ludzi, którzy z nami żyją i mieszkają w tej okolicy, bierzemy za świadki, żeśmy wstydu nie zrobili ni jemu, ni sobie! I wszystkim ludziom tutejszym dziękujemy, że nas przyjęto za swoich, jako on zalecał. I dziękujemy starszym naszym i zwierzchności, że uczynili nam pracę dobrą i korzystną, życie zdrowe i wygodne... na jego prośby i starania. Staraliśmy się tak być, jak on chciał, i błogosławimy go za to, i pamięć jego świętą zachowamy wśród siebie, pewni, że będą jemu podobni ci, których on wybrał i nauczył, żeby po nim wzięli kierunek naszych uczynków i potrzeb. Aby znak był po wsze czasy myśli jego, czynimy z groszy naszych szpital jego imienia, bo wiemy, jak on tego zawsze pragnął!

— Uczynimy! — przeszło uroczyście falą głosów po tłumie.

Posypały się na trumnę grudki ziemi, rozległo się ostatnie: "Anioł Pański".

Jóźwicki się rozejrzał. Ławrynowicz i Włodarski prowadzili staruszkę do powozu; tłum ich przeprowadzał.

Duża gromada kupiła się na uboczu wokoło mówcy, i słychać było dysputę.

— Dlaczego my nie możemy dać! — wołał jakiś w kapocie zagrodnik.

— A namże win ne bat'ko buw? — oburzał się jakiś chłop, przez głowy ludzkie podając rubla.

— Jak wszyscy, to wszyscy! — coraz więcej wołano. — Bierzcie, Ławrynowicz!

— No, to wołajcie pana Włodarskiego, nie dam sam rady.

Skoczył ktoś i wrócił z Włodarskim.

Tłum kładł srebro i papierki, dawali zobowiązania do jutra. Jóźwicki, jak zahipnotyzowany patrzał. Wszyscy byli — datki wszystkich. I grubsze asygnaty obywateli, i dyrektorów, i inteligencji, do wytartych czterdziestówek kobiet w chustkach, do zmiętych papierków kramarzy, Żydów i chłopów.

Zrazu Włodarski chciał zapisywać ofiarodawców, ale za wielu się cisnęło, za wielu powtarzało:

— Na co pisać? Wszyscy dajem... ile kto może. Będzie mało, to potem znowu dołożym.

Tu Jóźwickiego coś pchnęło, wydostał się z tłumu do Włodarskiego i rzekł:

— Ile zabraknie, to ja dołożę. Jestem jego bratem.

Tłum się rozsunął, poczęli mu się przyglądać, coś szeptać, wreszcie jakaś kobieta rzekła:

— Szczęśliwy pan, że Bóg jeszcze taką matkę uchował po jego stracie!

— Dziękujemy panu za ofiarę! — rzekł Włodarski.

Jóźwicki skierował się ku wyjściu razem z tłumem. Dzień jesienny miał się już ku końcowi, niebo znowu zasnuło się chmurami. Jóźwicki zaniepokoił się o matkę, wsiadł do jakiejś landary i kazał jechać prędko.

W szarym mroku domek doktora wydał mu się jeszcze nędzniejszym, jeszcze bardziej ruderą. Matkę zastał w jadalni z księdzem.

Zapoznał ich z sobą, i po chwili obojętnej rozmowy, Jóźwicki bardzo gładko zagaił sprawę zapłaty za pogrzeb. Ksiądz spojrzał na niego, jakby z wyrzutem, i odparł:

— Pan Kazimierz sam to już załatwił.

I zapanował dziwny chłód. Ksiądz się zaczął żegnać i rzekł, wychodząc do staruszki:

— Więc od jutra wieczorem będę już codzień przychodził na lekcję. Dzieci są uprzedzone. Czy doktór Ławrynowicz wyszedł?

— Poszedł już do chorych. Tyle czasu byli bez opieki!

Gdy zostali we dwoje tylko, Jóźwicki począł nerwowo chodzić po jadalni. Miał natłok myśli, a nie umiał wyrazić.

Wreszcie usiadł obok matki, i wziął jej rękę w swoje, i począł ją całować.

— Mamo, wiecie, że jestem bogaty, bardzo bogaty. Mam żonę i jednego syna! Żebym się teraz z interesów wycofał, złożę milion; jeśli dalej pracować będę, fundusz będzie co rok wzrastał. Nie przeżywam dochodów, a przecie na nic nie skąpię. Co teraz będzie? Ach, jak pragnę, by mama ze mną była, bo, mamo, ja pomimo wszystko bardzo sam jestem!... Poczułem to teraz, dotychczas nie myślałem!... Sam, i spracowany, i już zdarty życiem. Jakbym ja się poczuł szczęśliwy, gdybym mamę miał przy sobie! Jam przecie nie winien, że tak dotychczas było!. Gdybym wiedział, gdybym przypuszczał...

Urwał, czując, że winien; nie śmiał dalej mówić.

— Teraz mama do mnie należy... teraz musimy być razem, teraz...

Popatrzał na nią, trochę niepewny, czy nie urazi tym, co powie.

— Teraz, mamo, my to miasteczko i tych ludzi osypiemy złotem za ich

WIARA SILNIEJSZA OD PIENIĄDZA



W ROKU 1915 zmarła w Anglii pewna protestantka, zostawiając testamentem majątek w kwocie 5 tysięcy funtów (615,000 franków) swemu siostrzeńcowi, ale pod pewnymi warunkami. Dobra, kapitał mają zostać oddane spadkobiercy w dniu dojścia do pełnoletności i tylko wtedy, jeśli porzuci religię katolicką.

Młody człowiek urodzony i wychowany w wierze katolickiej, pozostał jej wiernym, mimo ciągłych prób i doświadczeń, na jakie był wystawiony. Pierwsza uchwała sądu w dniu jego pełnoletności w 1928 r. odroczyła termin masy spadkowej na 3 lata, po których, jeśli dalej trwać będzie w wierze katolickiej, 615 tysięcy franków przelane zostaną na Uniwersytet Oxfordzki — według brzmienia testamentu. Odmowne stanowisko, jakie zajął siostrzeniec zmarłej po 3 latach, zmusiło go do przelania majątku na uniwersytet.

Trzeba doprawdy podziwiać cnotę Anglika, który nie chciał poświęcić religii dla pieniędzy. W czasach dzisiejszego materializmu, czyż wielu znalazłoby się jemu podobnych. poświęcających dobrobyt, życie swobodne dla przekonań religijnych?

uznanie dla Kazimierza. Co im trzeba: szpitala, szkoły, ochrony, zapomogi, wszystko im mama da, wszystkie potrzeby zaopatrzy. Ja mam na to wszystko dość funduszu, ale przecie matki im nie mogę zostawić ... nieprawda? Nie może mama żyć nadal w tej ruderze, wśród tych rupieci, cierpieć niedostatku ...

— Nie mów tak! o nie mów! — przerwała mu. — O, Adamie, czyż to naprawdę mogłeś myśleć, że ja to opuszczę? Dla ciebie to rudera i rupiecie, dla mnie to ukochane gniazdo, i skarby, i ideały nasze. Ja się tu czułam zawsze szczęśliwa i bogata, a teraz ... mój Boże, teraz ... ja tylko dlatego przeżyłam go, dlatego mi z bólu i rozpaczy serce razem z nim nie pękło, że jego matką się czułam! Tu jego duch, jego myśl, jego praca ... Dlatego żyję. Nie mów tak, nie mów! Mnie tak ciężko słuchać, żeś ty taki obcy! Mnie ciebie bardzo żal!

— Prawda, żem inny, prawda! Ja nie rozumiem, mnie to oburza widzieć mamę w takim otoczeniu. Ja nie zniosę, żeby mama tak została, jeśli stąd wyjechać do mnie nie chce. Dobrze, ale ja tu mamie stworzę odpowiednie gniazdo, dam odpowiednie wygody, i ja tu do mamy przyjeżdżać będę. Dobrze, mamo?

Ukląkł przed nią i błagał, do głębi wzruszony.

Staruszka potrząsnęła głową:

— Nie, Adamie, nie. Ja tu zostanę, jak byłam i czym byłam. Rudera jeszcze mnie przestoi, rupiecie te kocham! I pieniędzy twoich tu nie wezmę ... Nie, to wszystko tutaj, jak jest i co jest, to Kazia dziedzictwo: nic nie zmienię ... A do mnie tu przyjeżdżaj, pókim żywa, przyjeżdżaj często, a gdy umrę, połóż mnie przy Kaziu, i uszanuj te rupiecie nasze, i podaruj je temu, kto o nie cię poprosi. Bo widzisz, te rupiecie, to ... to ... moje klejnoty! ...

Łzy przerwały jej mowę, łkanie ciche wstrząsało nią.

Wtem rozwarły się drzwi: wszedł Ławrynowicz i Włodarski, a za nimi dwóch majstrów fabrycznych. Położyli na stole dwie czerwone chustki pełne pieniędzy, a potem przystąpili do staruszki, pocałowali jej rękę, i jeden przemówił:

— Przynieśliśmy zebrane pieniądze. Niech pani je schowa i z panami tymi sprawą pokieruje. My, co w naszej mocy, zrobimy. Mendel Sysel obiecał dać drzewo na szpital, pan Rudnicki daje sto tysięcy cegły, chłopi ją darmo zwiozą, a mieszczanin Taras Bur daje plac swój za młynem. "Stanowy" obiecał papiery, jakie trzeba wyrobić, majstrzy za pół darmo zrobią. Byle nam pani zdrowa była, daj Boże!

Staruszka opanowała się siłą, a drugi majster dodał:

— Boć pani z nami zostanie?

— Zostanę, dziatki, z o s t a n ę! Gdzieżbym była do końca!

— To i dzieci można wieczorem przysyłać?

— Od jutra, a jakże! Ksiądz tymczasem syna zastąpi.

— Potem ja! — ozwał się Ławrynowicz. — Tylko się trochę z chorymi urządzę.

SŁUSZNA ODPOWIEDŹ

WINCENTY Karczewski, słynny w swoim czasie pedagog, pełnił między innymi obowiązki nauczyciela młodych Grabowskich na dworze ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta. Jak świadczą współcześni, był on człowiekiem nadzwyczaj skromnym i na zapytania z dziedziny nauki, jakie mu nieraz natrętnie zadawano, najczęściej odpowiadał: — Nie wiem.

Jeden z dworzan, otrzymawszy podobną odpowiedź, rzekł:

— Powinieneś wiedzieć, bo za to bierzesz grube pieniądze od króla!

— Król płaci mi za to tylko, co wiem — odparł Karczewski.— Gdyby miał mi płacić za to, czego nie wiem, nie starczyłoby mu dochodów całego królestwa.

— Bobyśmy też pani od siebie i nie puścili! — rzekł majster, rzucając spojrzenie ukośne na Jóźwickiego.

— Dziękuję wam za wszystko, i za ten pochówek serdeczny ... — zaczęła, ale łzami się zalała, i tylko objęła ich za głowy, a oni też dławieni żałością, nic nie rzekłszy, prędko wyszli.

— To ci, którzy urządzali pogrzeb! — szepnął Włodarski do Jóźwickiego, — Czy można im wspomnieć o zapłacie?

Ten potrząsnął w milczeniu głową.

— Przynajmniej mój dar na szpital może się zda? — rzekł po chwili nerwowym tonem.

— Zaczniemy tutejszymi środkami. Jeśli zabraknie, udam się do pana.

— Nie zabraknie! — mruknął Jóźwicki z jakąś zawiścią.

Czuł się niczym, i obcym, i samotnym, i bezradnym, i serce napełniała mu niechęć i upokorzenie, żal przy tym do matki, zazdrość o tego brata. Zdało mu się, że wtedy, gdy się nimi dzielono w dzieciństwie, popełniono względem niego krzywdę: jakim prawem dano mu miliony, a temu matkę?! Bo nie miał matki, i już mieć nie będzie; tamten ją zachował sobie, za grobem nawet ... — tamten — od rupieci!



Starzy Mawiali

W lecie

Będzie pogoda:



bo słonko zachodzi blade;
bo słonko weszło łzawe;
bo słonko prędko mgły wypiło;
bo nowy miesiączek (księżyc) ma rożki do góry;
bo na pełni tak wyraźnie widać plamy na księżycu;
bo nietoperze (gacki) wieczór kupą latają;
bo komary i muszki o zachodzie zbijają się w słupy;
bo pająki (krzyżaki) aż do południa siedzą pośrodku sieci i targają ją nogami;
bo wieczór i rano taka wielka rosa;
bo dym z komina idzie prosto do góry;
bo takie chmurki śliczne na niebie, jak stado baranków;
bo góry czyste, a dalekie (w górach);
bo góry zamglone (widziane z dalsza, z dolin);
bo błyska się na pogodę (błyskawice bez grzmotów na nieboskłonie, ale ta pogoda nie na długo, trzeciego dnia bywa deszcz);

Będzie burza:

bo słonko przypieka;
bo tak parno;
bo wychodzą bałwany (białe, skłębione chmury);
bo bydło ryczy niespokojnie;
bo ptaki się chowają.

Będzie słota:

bo słonko się ogląda (o zachodzie purpurowo oświeca);
bo słonko wodę pije (przed zachodem, jeszcze dość wysoko stoi, a widać promienie sięgające od słońca do ziemi);
bo księżyc miedziany i w czapce;
bo ptaki późno idą spać;
bo psy skubią trawę;
bo jaskółki latają nisko;
bo muchy i komary złe (tną);
bo na niebie takie chmurki białe, jak welonki rozciągnięte;
bo krety ryją;
bo glisty (dżdżownice) wyłażą;
bo sól zawilgła;
bo dzwony słychać tak daleko;
bo góry takie bliskie;
bo góry dymią;
bo nawóz czuć;
bo dymy się rozciągają.

Wypogodzi się:



bo wiatr się zrywa (podczas spokojnego deszczu);
bo wyjaśnia się od strony przeciwnej kierunkowi wiatru;
bo góry przestały dymić.

W zimie.

Będzie mróz siarczysty:

bo niebo wyiskrzone;
bo wiatr północny (albo północnowschodni);
bo okna zamarzają (choć jeszcze nie ma wielkiego mrozu);
bo śnieg sypie, jak piasek;
bo wodne ptactwo ucieka z bagien, a szuka wielkich jezior.

Będzie odwilż:

bo niebo zamglone;
bo wiatr południowy (albo zachodni);
bo okna tają (choć jeszcze mróz trzyma);
bo śnieg sypie wielkimi płatami;
bo mgły wstają nad wodą.

Będzie roczek urodzajny:



bo na siewy było sucho;
bo śnieg przed mrozami przykrył oziminy;
bo przechodzą (na wiosnę) ciepłe deszcze;
bo kwitną drzewa (czy zboża), a sucho i wietrzno.

Ciężki będzie ten rok:

bo jesień była mokra;
bo śnieg nie przykrył na czas ozimin;
bo śniegu było za dużo i wyleżał oziminy;
bo (na wiosnę) długo przymrozki;
bo wiosna sucha;
bo na okwiat leją deszcze;
bo oziminy wybujały, będzie sama słoma.



MARYA

"AB INITIO et ante saecula"— Na początku i przed wiekami". Już w mrokach wieczności, zanim istnieć począł czas, Królowa Niepokalana ściśle zjednoczona była ze Słowem w owych przedziwnych zamiarach Opatrzności, które Zbawiciel miał urzeczywistnić dla zbawienia grzesznych: z Odkupicielem — Współodkupicielka; ze Synem — Matka; ze Sprawcą łaski — powszechna Pośredniczka wszelkich łask.

Pądając na kolana przed tymi przedziwnymi wyrokami Bożymi, strzeżmy się, by nie rozłączać tego, co Bóg nierozerwalnie połączył w czasie i w wieczności: Serce Jezusa i Serce Maryi — to droga wiodąca prosto i bez niebezpieczeństw w głąb tajemnic Serca Jezusowego,

a nakreślona miłością i przykładem samego Mistrza.

Podobnie jak nikt nie zna Ojca i nie idzie do Ojca jeno przez Słowo, tak analogicznie można powiedzieć, że nikt nie pozna Króla, jeno przez Serce Królowej; nikt nie dochodzi do Niego, jeno przez Tę, która na zawsze stała się przybytkiem Jezusa i przez Maryę.

Podstawowa zasada wszelkiej nauki marjańskiej brzmi tak: Kiedy Słowo opuszczało łono Ojca swego, z rozmysłem chciało przejść przez łono tej jedynej i nieporównanej Matki. To miało być chwałą dla Niego i dla Niej, a równocześnie przykładem i dobrodziejstwem dla nas. Oczywista, że Syn Boży nie potrzebował Maryi, by stać się Zbawcą. Jako Bóg miał wiele innych sposobów, by zstąpić między ludzi. Jeśli więc wybrał tę Pośredniczkę nadziei, jaką jest Marya, bo chciał nam dać w Niej jakoby pomost, po którym moglibyśmy w pielgrzymce naszej łatwo przechodzić z czasu do wieczności. Pewną więc jest rzeczą i dogmatem katolickim, iż, aby dojść do Jezusa, a przez Niego do Ojca, Marya jedyną jest drogą.

Pomijając Maryę, nie skracamy drogi do Jezusa i do Boga, lecz raczej zwiększamy ją i czynimy ją cięższą i niebezpieczniejszą. Wyjaśnia to doskonale następujące porównanie: Marya nie jest przedsionkiem pałacu króla, ani przedpokojem opóźniającym posłuchanie, lecz jest żywą Świątynią, która mieści w sobie i daje nam każdego czasu Serce Umiłowanego. Ona przyśpiesza zjednoczenie duszy z Bogiem. Ona jest kluczem Tabernakulum. Ona bierze dusze w macierzyńskie ręce swoje, by je prowadzić do przybytku Najwyższego.

Takie jest Jej zadanie od 25 marca; ma Ona je spełniać póty choć jedna znajdzie się dusza na tym padole płaczu.

Czy to nie jest rzeczą uderzającą i wzruszającą zarazem, że zarówno pasterze, jak Królowie, nawet święty Józef, mieli otrzymać Boże Dzieciątko z rąk Maryi? Ona jedna otrzymała zlecenie, by dawać Jezusa, a to zlecenie dał Jej sam Jezus.

Czy nas to nie uderza, że w Nazarecie Jezus najzupełniej i bez zastrzeżeń poddaje się Maryi? Nietylko w latach dziecięcych, lecz i później jako młodzieniec i mąż dojrzały pozostaje On całkiem powolnym i posłusznym Synem Maryi, dając nam przez to najwznioślejsze pouczenie o wielkości Matki Swej oraz o obowiązkach, jakie mamy wobec Niej. Słowa Ewangelii: "I był im poddany" (Łuk. II, 51) podkreślają silnie królowanie Maryi, Jej stanowisko zwierzchnicze, dzięki któremu Marya rządziła w Nazarecie, mając władzę nad wszystkim, zwłaszcza nad Sercem swego Króla, co stał się Jej podwładnym. Przyzwolenie Maryi było niejako pieczęcią na wszelkich dziełach Jezusa.

Tu nasuwa się myśl wzruszająca: Marya jest stworzeniem świętym, przedziwnym, wyniesionym ponad

Piękne rozmyślanie dla tych, co odprawiają nabożeństwo pierwszych sobót miesiąca ku czci Matki Bożej.

wszelkie stworzenie, dzięki łasce Macierzyństwa Bożego. Równocześnie jednak jest Ona mocą natury Swej naszą Siostrą, a tym samym całkowicie naszą, wedle ciała i krwi. Niebiosa upadają do Jej stóp, z podziwem wysławiają Ją ponad wszystkie chóry anielskie, a jednak jest Ona stworzeniem należącym do rodzaju ludzkiego, jest niewiastą jak wszystkie matki ziemskie.

Toteż na Dworze Niebieskim my również, bracia Jej, cieszymy się przywilejami, których nikt nie odważy się odmówić braciom Królowej Niepokalanej, mimo że natura nasza niższa jest od natury anielskiej i dotknięta grzechem. I dlatego chętnie przyjmujemy, że gdyby Marya miała do wyboru oddać Swego Jezusa aniołowi, czy małej Teresce, to bez namysłu złożyłaby Go w ręce Tereski, siostry swojej.

Jezus jest niezrównanym wzorem synowskiej miłości dla Maryi. Serce Jezusa stanowi pierwszą i najwyższą rację, dlaczego Maryę miłować mamy całym sercem. Jezus pała miłością ku Ojcu Niebieskiemu, a potem ku Maryi. Umiłował Ją taką miłością, jak tylko Bóg miłować potrafi najpiękniejsze ze stworzeń Swoich, arcydzieło Swej wszechmocy; uczynił Ją dla Siebie ze wszechmiar piękną: **tota puchra.**

Królowo Umiłowana! Jesteś przedziwnym pomostem zbudowanym ręką samego Boga między rajem zatraconym a tym, którego się spodziewamy. Niech przeczyste ręce Twoje, które dają nam Jezusa, zaprowadzą nas do najgłębszych tajników Serca Jezusowego.

Ukochał On, jak tylko Bóg kochać może Tę, która Mu dać miała środki niezbędne, by mógł umrzeć i cierpieć, jako Zbawiciel świata. Od chwili Wcielenia Marya stała się Jego bezpośrednią Współpracowniczką i Współodkupicielką rodzaju ludzkiego.

I dlatego słusznie można powiedzieć, że Jezus miłował Maryę poniekąd Bożą wdzięcznością, albowiem Ciało i Krew, które Ona Mu dała, pozwoliły Mu spełnić to wszystko, co o Nim przepowiedziało Pismo: Iż Syn Człowieczy będzie upokorzony, umęczony, ukrzyżowany i zabity jak złoczyńca i robak ziemi. Jako Bóg nie mógł On cierpieć i umrzeć; zdolność tę zawdzięcza Maryi.

Jezus miłował Maryę najserdeczniejszą miłością, pełną czułości i zaufania. Któż potrafi odgadnąć tajemnice, najwznioślejsze z tajemnic, jakie wzajemnie powierzały sobie te dwa Serca w czasie długich lat samotności, milczenia, pracy i modlitwy w Nazarecie? W niebie Sam Król objawi je nam na chwałę Swoją i Matki Swej.

Jakąż miłością Jezus miłował Ją w Wielki Piątek, w dniu wspólnego konania i zwycięstwa! Jakie było tych dwóch Serc spotkanie na drodze krzyżowej! Z jaką miłością Syn konający spoglądał na Matkę, kiedy polecał Jej Jana św., Kościół i dusze! Ile miłości żywił On ku Niej w ostatnich chwilach pożegnania, kiedy oddawał ostatnie Swe tchnienie i ostatnie łzy Tej, która przyjęła pierwsze Jego westchnienia dziecięce i pierwsze łzy!

Ewangelia milczy; wszakże wszyscy komentatorowie są zdania, że Jezus Zmartwychwstały ukazał się najpierw Maryi, by Jej pokazać chwa-



lebne Człowieczeństwo Swoje i oznajmić Jej, że odtąd będzie Szafarką wiernej miłości Boga-Syna, mającego być Jej Synem na całą wieczność.

Tak tedy Serce Jezusa jest dla nas najdoskonalszą szkołą, gdzie Boże czerpiemy pouczenie o prawdziwym stosunku naszym do Maryi. Ten nie zbłądzi napewno, kto postępuje śladami Mistrza; kto miłuje tę, którą On miłował; kto wedle sił tak Ją miłuje, jak On Ją umiłował.

Z powyższych rozważań wypływa doniosły wniosek: Miłując Maryę — miłujemy Jezusa; im bardziej miłujemy Maryę — tym bardziej miłujemy Jezusa. Kto więc oddaje się całkowicie Królowej Niepokalanej; kto Jej ofiaruje swe serce, życie i uczynki swoje, ten nie tylko nie odejmuje niczego, co przysługuje Królowi, lecz owszem podwaja swą ofiarę i czyni ją nieskończenie bogatszą. Bo w rzeczy samej, jaka radość dla Serca Jezusa, jeśli oddajemy się Maryi, jak On Sam Jej się całkowicie oddał!

Stawiam następującą niemożliwą hipotezę: Przypuśćmy, że istnieją dwie drogi, wiodące do Jezusa: pierwsza, pomijając Maryę, wiedzie wprost do Boga; druga jest wiele dłuższa i mniej zasługująca, ponieważ prowadzi przez Serce Maryi. Gdyby, powiadam, ta niedorzeczna hipoteza była rzeczywistością, obrałbym jednak bez namysłu ową drugą drogę, mniej chwalebną dla mnie, dłuższą i cięższą, albowiem przekonany jestem, że radując w ten sposób Maryę, radowałbym i Serce Jezusa. Pewny jestem, że Jezus przyjąłby mnie tysiąckroć przychylniej, niż gdybym szedł do Niego wprost trzymając się, drogi pierwszej. Na szczęście prawda i rzeczywistość stoją w krańcowym przeciwieństwie do tej fantastycznej hipotezy.

Od chwili Wcielenia Marya jest drogą najprostszą, najkrótszą i najpewniejszą do Króla miłości.



Prosta sobie powiastka, która nieraz w życiu codziennym się powtarza.

TRUCICIELE

CAŁA wieś szanowała Marcina Kemparę. Ba, nie tylko sąsiedzi, znała go nieomal cała gmina. Z dziada pradziada pracowała na roli rodzina Kemparów — ongi, za czasów poddaństwa, na gruntach dziedzica Jaśnie Pana Modlińskiego, później — na własnym zagonie.

Nie wiele tego było — niespełna 15 morgów, w dodatku lekkiej ziemi—ale wytrwałością i pracą doszli Kemparowie do pewnego dostatku, a już p. Marcin Kempara, jako że był i piśmienny i rozgarnięty — doprowadził swe gospodarstwo do niezwykłego porządku. Chałupa —jak się patrzy, choć stara, ale opatrzona i czysta, przy niej ogródek owocowy. I obejście schludnie utrzymane; ma p. Marcin chudobę, inwentarz odpowiedni. Zna się na płodozmianie i sztucznych nawozach; namówił sąsiadów i wspólnym kosztem nabyli siewnik, kultywator i młockarnię.

Nie dziw więc, że musiał p. Marcin sołtysować przez dwa terminy i upatrzono go nawet na wójta, lecz temu stanowczo oparł się, perswadując kumotrom i sąsiadom: nijak mi z tym wójtowstwem. Za dobre chęci dziękuję, ale przy urzędzie wójtowskim zabraknie mi czasu na doglądanie własnego gospodarstwa, a przecież znacie przysłowie o pańskim oku, co konia tuczy. Poza tym wiecie, że od kieliszka przy słusznej okazji nie wymawiam się; zaś jako wójt musiałbym, rad nie rad, dotrzymywać kompanii i kolejki, czy to w piątek, czy świątek, bo prawie codzień powód się nastręczy.

Za żonę pojął Marcin zacną kobiecinę, choć nie z zamożnego rodu, ale z dobrego gniazda, z zaściankowych szaraczków.

Sam proboszcz Jegomość wysoko cenił Kemparów, stawiając ich za przykład parafianom.

Kemparowa była jedną z pierwszych niewiast, które przystąpiły do Tercjarstwa; jeszcze za czasów, kiedy to trzeba było się kryć z tym, jak z jakim występkiem. W dość późnym wieku nauczyła się czytać, a wielką radość sprawiała jej możność odmawiania bez cudzej pomocy oficjum tercjarskiego lub wertowania jakiegoś pisemka, na które co miesiąc niecierpliwie wyczekiwała.

Tak płynęło by życie Kemparów —zbożnie i pracowicie, gdyby nie... ale tak się już złożyło na tym Bożym świecie, że każdy ma swe utrapienie. Otóż takim utrapieniem był dla Kemparów kłopot familijny.

Pobłogosławił Bóg ich związek

licznym potomstwem, lecz niestety, dzieci wcześnie umierały. Dochowały się tylko dwie dziewczyny (a w gospodarstwie dziewucha nie zastąpi chłopa) oraz jedynak—Stach, któremu na Gromniczną kończyło się 19 lat.

Chłopak to był na schwał. Wysoki, postawny, zwinny, rozgarnięty. Gdy jeszcze był dzieciakiem, już spoglądał na niego Marcin z lubością, przemyśliwając — jakiego to będzie miał na stare lata nie lada pomocnika — a gdy zamknie oczy, pozostawi schedę w mocnych rękach, które nie roztrwonią ojcowizny, ale jeszcze jej przysporzą...

Lecz w ostatnich czasach zauważył Marcin jakąś dziwną zmianę w zachowywaniu się i usposobieniu syna.

Dawniej posłuszny, chętny i łagodny — zmienił się do niepoznania. Począł zaniedbywać kościół. Gdy w w niedzielę lub święta i starzy i młodzi śpieszyli na sumę — Stach gdzieś się zawieruszał. Pracował byle jak — ot, aby tylko zbyć — przy lada sposobności wymykał się z domu, a nieraz powracał późno i czasem nawet mocno zawiany.

Zatroskał się stary — zawołał syna i począł go monitować:

— Zastanów się, chłopcze, co ty wyprawiasz?... Jesteś przecie katolikiem i gospodarskim synem, powinieneś odpowiednio żyć i pracować. Słyszałem od sąsiadów, że się wdajesz z jakimiś włóczykijami, co to niby z Rosji, czy z Ameryki poprzyjeżdżali. To nie dla ciebie kompania. Oni cię niczego dobrego nie nauczą.

Wielkie było zgorszenie p. Marcina, gdy syn, miast opamiętać się, hardo odciął się.

— Czego ojciec się czepia? Inne teraz czasy nastały. Te nabożeństwa, te dewocje — to tylko wymysły księży, by wyzyskiwać i oszukiwać lud. Wy, starzy, nic nie rozumiecie. Nie masz ani polaka, ani szwaba, ani moskala, ani żyda. To wszystko przestarzałe przesądy. My, młodzi — wszystkich uszczęśliwimy. Robociarze wszystkich państw podadzą sobie ręce i wtedy wszechwładny proletariat odbuduje i uszczęśliwi cały świat. Precz z religią, precz z wyzyskiem kapitału! Niech żyje komunistyczna międzynarodówka!...

Ciężko zadumał się Marcin. To oświadczenie syna uderzyło go jak obuchem. Opuścił głowę i wielki smutek zakradł się w jego duszę... A więc po to harowali w ciężkiej pracy dziady, ojcowie i on; po to dziad padł pod Ostrołęką, a ojca aresztowali w 1863 roku za udział w powstaniu...

Niekorzystną zmianę swego usposobienia zawdzięczał Stach przypadkowi. Gdy pewnego wieczoru był w odwiedzinach u swego przyjaciela — Grzesia Pawlaka, zastał tam całe towarzystwo. Było tam kilku młodych ludzi z wojewódzkiego miasta, ubranych z waszecia.

Jeden swego czasu służył w organizacji walki z okupantami — drugi przed rokiem powrócił z Rosji, gdzie spędził kilka lat — trzeci pracował dłuższy czas w Ameryce; czwarty, pomimo starannie zgolonego zarostu i zawadiackiej miny — zdradzał swymi rysami wyraźnie semickie pochodzenie.

Stół zastawiony był wódką, kiełbasą, jajecznicą, słoniną i innymi

wiejskimi przekąskami. Nie brakło też butelek z piwem. Raczono się obficie, a za każdą kolejką podnosił się animusz towarzystwa i coraz to nowe dykteryjki dodawały obecnym wesołości.

Nieprzyzwyczajony do libacji Stach już po drugiej kolejce poczuł jakieś błogie rozmarzenie, a barwne opowiadania przyjezdnych wprawiły go w zachwyt.

Bo oto amerykanin jął się rozwodzić, jakie szalone zarobki miewają tam robotnicy; jak wygodne życie — przemilczając o natężeniu pracy i drożyźnie tego życia. Repatriant z Rosji zachwalał równouprawnienie, podział ziemi między włościan, zniesienie administracji w fabrykach i inne dobrodziejstwa rządów sowieckich. Zapomniał oczywiście o nędzy włościan i robociarzy, o nieobsianych polach, o nieczynnych fabrykach, o okrucieństwach komunistów i zamarciu całego życia społecznego.

Wygolony żydek unosił się nad dobrodziejstwami, jakimi w przyszłości obdarzy komunizm całą ludzkość: oto nie będzie ani biednych, ani nieszczęśliwych — wszyscy będą opływać w dostatkach nic nie robiąc... omal że nie będzie ani chorych, ani kalek — przyczym podkreślił, że przede wszystkim należy rozpocząć od zwalczania religii i rządów "burżujskich", stanowiących nieprzepartą przeszkodę dla osiągnięcia tej ogólnej szczęśliwości.

Gdy ktoś z obecnych nieśmiało się zapytał, któż i jak dokona tych cudów, zaperzony żydziak ofuknął go słowami: niech was o to głowa nie boli. My damy wam i rząd i za-

NIEWDZIĘCZNOŚĆ I CIERPLIWOŚĆ

PAPIEŻ Innocenty VII polecił sławnemu malarzowi, Andrzejowi Mantinei, przyozdobienie jednej z kaplic watykańskich. Artysta, przejęty najgłębszą czcią dla Ojca Św., dokładał wszelkich starań, aby pozyskać jego zadowolenie i pracował z prawdziwym poświęceniem w przekonaniu, że jego praca zostanie stosownie oceniona i wynagrodzona. Jednakże, widząc swe dzieło, rosnące z każdym dniem, a nie widząc żadnej nagrody, oburzył się i postanowił dać odczuć Papieżowi swój żal. Pewnego dnia Papież kazał mu wymalować na murze siedem grzechów głównych. Mantinei postanowił skorzystać ze sposobności, i zamiast podzielić mur na siedem równych części, podzielił go na osiem i oświadczył Papieżowi, że w ósmej zamierza umieścić daleko szkaradniejszy występek niż siedem tamtych. Papież, zdziwiony tym, zapytał go, jaki grzech ma na myśli.

— Umieszczę tu **niewdzięczność** — odpowiedział malarz — bo według mnie jest to najszkaradniejszy występek.

Papież, doskonale zrozumiawszy jego myśl, uśmiechnął się i rzekł:

— Zgadzam się, abyś namalował niewdzięczność w najstraszliwszej nawet postaci, ale pod warunkiem, że naprzeciw niej umieścisz cierpliwość, która jest najpiękniejszą z cnót. Widać, że jej jeszcze nie masz poddostatkiem, kiedyś nie umiał cierpliwie czekać na nagrodę, o której oddawna myślę.

Po tych słowach wręczył artyście zapłatę, przewyższającą wszelkie jego oczekiwania.

sady moralne, bo damy wam dyktaturę proletariatu.

— A któż będzie pracował, kto podatki płacił? — jął dopytywać się trochę osowiały Stach.

— Wy... goje... — wyrwało się niebacznie żydkowi; lecz natychmiast poprawił się; — towarzysze, nie miejsce tu na rozprawy o tym, jak "suwerenny naród" przeprowadzi i ułoży warunki nowego szczęśliwego bytu — lepiej ot zaśpiewajmy coś z hymnów proletariatu.

Nieco fałszywie, ale za to nader donośnie zaintonowali przybysze "Międzynarodówkę" a potem przyszła kolej na "Czerwony sztandar".

Niezwykłe rozmowy, niezwykłe otoczenie i to obcesowe oplucie, wyszydzanie i postponowanie wszystkiego, co Stach dotąd uważał za święte, konieczne i dobre — utworzyły w głowie jego zamęt daleko trwalszy, niż wypita w nadmiarze wódka.

Była w tym i ciekawość i chęć łatwego używania i utajona w duszy pożądliwość — w wyniku których Stach coraz więcej przejmował się światopoglądem nowych przygodnych znajomych, którzy, zmiarkowawszy co się święci, poczęli mu okazywać względy i wkrótce zażyła przyjaźń połączyła Stacha z niedoszłymi dobroczyńcami ludzkości.

Myliłby się jednak ten, kto by pomyślał, że Stach ostatecznie przerodził się w wywrotowca, który w zniszczeniu całokształtu dotychczasowego życia widzi wytknięty cel... Było to prędzej czymś w rodzaju znieczulenia własnej duszy, bo przed ostatecznym zbolszewiczeniem broniły go wrodzone dobre instynkta, a oprócz tego — miłość.

Bo Stach kochał. Tą pierwszą, ogromną miłością, co rozsłonecznia życie. Przed rokiem poznał się z Hanką, córką miejscowego gospodarza, który zginął na wojnie światowej.

Sierotą zaopiekowała się siostra nieboszczyka i chowała ją gdzieś w Kieleckiem. Dopiero, gdy doszła do lat 17, powróciła do matki-wdowy, mającej chałupinę i parę morgów gruntu.

Świeża i urocza jak sama wiosna, zgrabna jak sarenka, a przytym pracowita, pobożna i wesoła, ujęła Stacha od pierwszego spotkania.

Widocznie, że i zuchowaty Stach przypadł jej do gustu, bo odtąd "mieli się ku sobie", a gdy starzy Kemparowie dowiedzieli się o tym, pan Marcin z radości jął zacierać ręce, bo cieszyło go, że i syn przy wczesnym ożenku nie bałamucąc się ustatkuje się, że synową będzie miał gospodarną, że będzie na kogo zostawić gospodarstwo, no i wnuków tęgich, da Bóg, doczeka się...

Wiosna, ta pora najpiękniejszych marzeń, pokryła ziemię kobiercem kwiecia, umaiła szmaragdami; wionęła ciepłem, nawołując wszystkich do życia i radości...

W zacisznym zagajniku zakochany Stach powtarzał swej lubej Hance stare jak świat, znane tylu pokoleniom, a jednak zawsze miłe dla każdej ukochanej słowa...

Tym razem jednak Hanka była zamyślona.

— Hanko moja, luba jaskółeczko! O czymś taka zadumana? Czyż już nie kochasz twego Stacha? Wszak już daliśmy na zapowiedzi... Za kilka tygodni będziesz moją — moim szczęściem jedynym!

— Ach, Stachu, Stachu! Sama nie wiem, ale cosik mi markotno. Różnie ludzie teraz o tobie gadają. Mówią, żeś się Boga wyrzekł, że pijesz, pomstujesz na wszystkich... a to wszystko bez tych bęcwałów, z którymi się wdajesz... Rzuć ich, błagam cię, rzuć! Nie dobrze im

Niósł Diabła

NIEDALEKO Ptasiej Wólki mieszkał ze swoją małolepszą połowicą Maciej Wąż. Był to sobie taki pan, który nie siał, a zbierał, znajdował, czego nikt nie zgubił; naprzykład połcie słoniny w kominie sąsiada, osełki masła i sery w komorach wieśniaków; czasem zabłąkaną kurę, a czasem nawet wypchaną sakiewkę. Jesienne noce sprzyjały zarówno kopaniu ziemniaków na nieswoim polu, jak i obieraniu jabłek w cudzym ogrodzie.

Maciek nieraz już wiódł przykładny żywot za okratowanymi oknami, jednak te przymusowe wypoczynki nie zmniejszały wcale zręczności jego palców.

Pewnej pięknej nocy Maciek wybrał się znowu na nocną wyprawę, ale tym razem miała go spotkać niemiła przygoda. Spostrzeżono bowiem bohatera ciemności i w przydrożnym lasku czekały na niego cztery silne ramiona, należące do dwóch mężczyzn, ukrytych w zaroślach. Byli to wielki, barczysty Wojtek Drąg i niepokaźny, ale silny i zwinny człeczyna, Bartek Kula.

Zegar na kościele wybił jedenastą; do lasku ostrożnie podsuwał się jakiś cień. "To on — ozwał się szept w krzakach — łapać, bić!" — "Pst, jeszcze nie".

Był to rzeczywiście Maciek Wąż z wielkim koszem na plecach; musiał nieść sporo łupu, bo stękał pod ciężarem. W lasku postawił kosz, otarł rękawem pot z czoła, rozglądnął się ostrożnie wkoło, i pomknął ku zagrodzie Mroza.

"Wojtek, on ma jeszcze coś do załatwienia — szepnął Bartek Kula — zobaczmy tymczasem, jakie skarby niesie".

Z trudem przenieśli kosz za krzaki. Czego tam nie było! Kawał mięsa, bochny chleba, żelazko do prasowania, wagi od zegara, para butów, pół głowy cukru i t.d.

"Słuchaj, Wojtek, coś mi przyszło do głowy. Możebyśmy się tak zabawili w duchy. Wyjmijmy trochę tych gratów, ja wlezę do kosza, a ty mnie nakryjesz workiem. Ręczę, że gałgan nic nie zauważy i weźmie mnie na plecy".

"Aleś ty chytry, Bartek... A to ci będzie kawał!"

"Ale jakby zauważył... W koszu nie mogę się przecież bronić".

"Nie bój się, dyć zostanę za krzakiem. Jak nie zauważy zaraz, to pójdę cichem za wami... a w razie czego skoczę na pomoc".

Jak powiedzieli, tak zrobili. Skradzione rzeczy ukryli w krzakach. Bartek wlazł do kosza. Wojtek nakrył go pustym workiem, położył na nim mięso i chleb, a sam schował się znowu za krzakiem.

Za chwilę wrócił Maciek. Wrzucił do kosza skradzione jabłka i, stękając, dźwignął kosz na plecy.

Zaledwie uszedł parę kroków usłyszał za sobą niesamowity gwizd. Wzdrygnął się i przyspieszył kroku.

z oczu patrzy — gotowi są zatracić mego Stacha!

— Głupstwa pleciesz; — wszystko to babskie plotki. Nie do smaku ludziom nasze rozmowy, bo są to głupcy i zacofani. Ja sam dopiero teraz przekonałem się, ile my krzywdy od tych wyzyskiwaczy cierpimy...

Nagle tuż nad jego głową ozwało się jakieś straszne syczenie. Ciarki go przeszły, a tu znowu tak blisko i tak okropnie "szczszcz"... jeszcze bliżej i groźniej "huzia! huzia!"

"Wszyscy Święci..." — krzyknął Maciek.

Teraz doszło już do kosza... teraz wlazło do niego. Maćkowi włosy stają na głowie, ucieka, co sił w nogach...Znowu licho skrobie po koszu. Maciek jęknął:

"Święty..."

A tu jak nie gwizdnie i tuż nad głową jakiś głos niesamowity. Już myślał rzucić kosz, ale w tej samej chwili ogniste pazury chwyciły go za uszy. Biedak woła żałośnie:

"Litości, litości!... to zły... to diabeł!..."

A diabeł pyta z sykiem: "Skąd te rzeczy?"

"Kupione, panie diabeł, wszystko kupione!"

Czart strasznie szarpie za uszy.

"Darowane, panie diabeł, darowane!"

Zły targa coraz silniej i wkońcu Maciek wyznaje: "Skradzione, panie diabeł, skradzione!"

"Gdzie? gdzie?" ryczy szatan.

"We dworze, we wsi, u Mazura, u Mroza, u Gruszki, u Sroki" — wyznaje przerażony złodziej.

Czart zaśmiał się szyderczo, a Maciek w prośby: "Pozwól spocząć, panie diabeł, już nie mogę dalej".

"Spoczniesz w piekle — zgrzytał diabeł. — A teraz naprzód!"

Biedny Maciek pędzi, dysząc. Z za lasu wyjrzał księżyc i przerażony złodziej ujrzał na cieniu siebie kosz... a na koszu diabła. Wtedy zaczęło znowu niesamowicie syczeć, gwizdać, zgrzytać, koło niego, za nim, nad nim... a całe mnóstwo ognistych diabełków koło niego skakało, szczypały go po twarzy, po ramionach, po łydkach... Maćkowi już uginały się nogi. Właśnie mijał potężną lipę, której konar zwisał nad drogą, kiedy diabeł ryknął: "Stój!"

Stanął drżący, a diabeł wolno, słowo za słowem, syczał mu w uszy: "Dziś nie mam jeszcze pełnej mocy nad tobą... ale pamiętaj, że przy najbliższym łajdactwie jesteś mój!... Dziś cię tylko pomęczę... i puszczę!"

To mówiąc chwycił go za włosy, szarpał i targał, wkońcu kilka razy silnie uderzył w twarz. Podczas tej operacji Maciek wrzeszczał co siły: "Bóg zapłać, panie diabeł, stokrotnie Bóg zapłać!"

W tej chwili rzekomy diabeł schwycił konar lipy i z przeraźliwym rykiem skoczył między gałęzie. A biedny Maciek rzucił kosz i nie oglądając się popędził do domu. Kiedy zniknął za zakrętem, Bartek Kula zlazł z drzewa, nadszedł tymczasem i Wojtek Drąg. Ależ to było śmiechu...

Nazajutrz znaleziono w krzakach skradzione rzeczy, a Maciek Wąż kilka dni nie wychodził z domu; żona mówiła, że chory.

Następnej niedzieli Maciek długo klęczał przy konfesjonale i od tego czasu nic nie ukradł nikomu.

krew naszą piją... ale nastanie dzień —"sędziami wtedy będziemy my"... a wtedy my im pokażemy!

— Bój się Boga, Stachu, co ty wygadujesz! A dyć któż to twoją krew pił? — chyba komary lub pluskwy? Gdzieś ty się sędziowskich praw nabrał? Stachu, Stachu, zamroczyło cię, biedaku... ot lepiej poszedłbyś do proboszcza ze spowiedzią, a potem uprosiłbyś o Mszę świętą na intencję wybawienia od złego...

Jak wicher rozprasza chmury, tak te proste słowa dziewczyny przepędziły zatrute myśli z głowy Stacha.

— Moje ty kochanie! Bylebym ciebie miał, a tam choć by się świat zapadł...

Coraz mocniej przypieka słonko. Coraz hojniej obdarza matka ziemia swą dziatwę. Powietrze, przepojone wonią kwitnących ziół, zda się być przednim winem, które ludziska chłoną pożądliwie. A po pracy dziennej, cóż za miły wypoczynek wśród żywicznej chwoi, gdzie rzeźwiący przewiew wieczorowego chłodu tak łagodnie muska ciało.

Gwarząc o przyszłych kłopotach weselnych, Stach i Hanka w roztargnieniu zaszli w sam gąszcz zagajnika.

— Stachu, wracajmy! Przecież już noc zachodzi — zmiarkowała się Hanka — ale co to?...

Nagle z gęstwiny rozległy się jakieś głosy, a po chwili kilku drabów otoczyło młodą parę.

— Hola! — krzyknął Stach — czego to?...

— Ha, ha, ha!... Stachuniu drogi — odezwał się pijany głos — co to, nie poznajesz kamratów? Toć to my, twoi przyjaciele, urządziliśmy tu małą bibę i już mieliśmy wracać... Ale jesteś w miłym towarzystwie, zapraszamy więc was, bo jeszcze buteleczka się znajdzie!

— Chodź-no, panno! — z tymi słowami amerykanin objął przerażoną Hankę i pociągnął za sobą.

— Precz, łajdaku! — wrzasnął Stach — wara ci od mojej narzeczonej!

— To tak rozmawiasz z towarzyszami, ty chamska duszo? — odezwał się repatriant bolszewicki — ach ty burżuju! My twoją narzeczoną zsocjalizujemy, bo to prawo proletariatu!

— Hu, hu, hu! — nikczemnie zaśmiał się żydek — kiedyż ty nareszcie zrozumiesz zasady komunizmu?...

W tej samej chwili usłyszał nagle Stach głos Hanki, wołającej w śmiertelnej trwodze:

— Stachu!... na Boga, ratuj!

Jak rozjuszony buhaj rzucił się Stach na najbliższego napastnika, lecz ugodzony z tyłu jakimś tępym narzędziem w głowę, zatoczył się jak pijany i runął nieprzytomny na ziemię.

Smutek i przygnębienie ogarnęły rodzinę Kemparów. Nazajutrz widziano Hankę w zagajniku. Przykucnęła nad stawem i nuciła rzewną piosenkę. Gdy chłopcy, co szli do lasu po jagody, odezwali się do niej, krzyknęła przeraźliwie i poczęła uciekać. Po dłuższych poszukiwaniach udało się nareszcie zaniepokojonej rodzinie odnaleźć Hankę, która się zaszyła w stogu siana koło sąsiedniej wioski. Lecz straszne to było spotkanie! Hanka nie poznawała rodziny, do domu wracać nie chciała — musiano ją przemocą zabrać.

Gdy przyprowadzono ją do chałupy, zaczęła tłuc statki, pochwyciła nóż i rzuciła nim na Marcina, a gdy ją nareszcie skrępowano ręcznikami — dostała napadu furii.

Posłano do miasteczka po doktora, który zbadawszy chorą zaopiniował, że zachodzi ostre pomieszanie zmysłów na tle nerwowego wstrząsu i że dla bezpieczeństwa chorej i otoczenia należy ją natychmiast odwieźć do szpitala dla obłąkanych. Dodał przy tym, smutnie kiwając głową, że nadzieja wyzdrowienia bardzo słaba, że nawet, o ile stan ogólny się poprawi, będzie umysłowo upośledzoną i że naturalnie o zamążpójściu nie może być mowy.

Na drugi dzień zawieziono Hankę do Tworek. Zamknęły się za nią podwoje szpitalne — niby drzwi grobowca dla żywcem pogrzebanych.

Ledwie dowlókł się Stach do chałupy. Głowę mu obandażowano, niczym bohaterowi wojennemu, a w głowie huczy... huczy... Jakiś rozpętany wicher jesienny skłębił mu wszystkie myśli...

Usiadł na stołku, obolałą głowę w ręce wtulił — rzekłbyś, że to zgrzybiały starzec, życiem znękany, a nie chłop w kwiecie lat...

I pan Marcin zatroskany, markotny, sam nie swój. Rozwiały się jego marzenia i nadzieje — nie będzie już nigdy pieścił wnucząt — dzieciaków Hanki...

Serce mu się ściska na widok biednego Stacha, a przecież musi mu jeszcze powiedzieć, co się stało z Hanką. Siada więc przy nim, głaszcze po ramieniu, cichym głosem oznajmia mu los dziewczyny, perswaduje, radzi poddać się woli Bożej.

Jak nieprzytomny wysłuchał Stach smutnej opowieści ojca, która jak dzwon pogrzebowy zadźwięczała w jego sercu. Nagle ryknął jak dzieciak i przypadając do nóg ojca, jął je całować, a prosić, a błagać:

— Ojcze kochany, wybacz twemu jedynakowi. Zrozumiałem, niestety, zbyt późno, co to za ludzie, których słuchałem... Haniebnie oszukali mnie, okłamali, wydarli mi z serca, co miałem najświętszego... zabrali mi Hankę, duszę mi zatruli... Ale niedoczekanie ich! Choćbym życiem przypłacił, ale odnajdę tych łotrów... krwią mi zapłacą za me krzywdy!



— Uspokój się, mój chłopcze! Nie tędy droga, a zresztą już byś ich nie odszukał, czmychnęli cichaczem, gdzie pieprz rośnie! Boga proś, by się nad tobą ulitował, a co się stało, to już się nie odstanie. Słusznie powiedziałeś, że ci duszę zatruli! Bo to są **TRUCICIELE**, którzy potrafią tylko niszczyć i burzyć, deprawować serca, ale wzamian nic ani dać, ani zbudować nie są w stanie. Jest to perz, który głuszy zboże i najbujniejsze łany zamienia na ugory.

Zdziwił się ksiądz Proboszcz, gdy pewnego ranka ujrzał w pustawym jeszcze kościele Stacha Kemparę— klęczącego przy konfesjonale.

Już od kilku miesięcy ten parafianin nie pokazywał się w przybytku Bożym, a od rodziny jego dowiedział się, jak szyderczo zapatruje się na religię i świat...

Długo trwała spowiedź, a skrucha grzesznika była tak wielka, że kapłan dając rozgrzeszenie, poczuł się w obowiązku pokrzepić go słowem pociechy.

— Wielkie twe grzechy zaiste, ale pamiętaj, że Bóg miłosierny i dla grzeszników zachował bezmiar Swej dobroci — i ci, co przyszli do Niego w ostatniej godzinie, otrzymali zapłatę na równi z innymi.

Obraziłeś Boga i ludzi, ale zrozumiałeś ohydę twych czynów i widzę twój szczery żal. Pamiętaj, że wielkiego dzieła Odkupienia ludzkości dokonali nie wichrzyciele, nie burzyciele i gwałciciele porządku społecznego, ale tacy święci Pańscy, jak święty Franciszek, przez swą pokorę i miłość. Dołóż starań, by stać się prawdziwym katolikiem; o ile ci serce mówi, godnym członkiem Trzeciego Zakonu, a wtedy życiem i czynmi zgładzisz dawne błędy, a nawet dostąpisz obfitych łask Najwyższego.



ŚWIĘTY JÓZEF

JEŚLI pragniemy jakiej pomocy
W potrzebach duszy, w cierpieniach ciała;
Gdy nas rój cierpień zewsząd otoczy
I już ratunku nadzieja mała . . .

W takich to chwilach, w takiej godzinie,
Wnet do Świętego Józefa spieszmy —
Jego ratunek nas nie ominie —
I tą nadzieją naprzód się cieszmy.

On wiernie wspiera swoich czcicieli
Od niebezpieczeństw wszelakich broni;
Gdy nabożeństwo do Niego mieli —
W godzinę śmierci On ich osłoni.

Toć Święty Józef jest pierwszym w Niebie
Po swej Najświętszej Oblubienicy;
On jest w możności w każdej potrzebie
Wesprzeć młodziana, pomóc dziewicy.

Święty Józefie wszystkich Patronie,
Którzy do Ciebie się uciekają —
Wspomóż ich w życiu, ratuj przy zgonie,
Niech Twej opieki wszyscy doznają.

Br. Anioł Wasilewski, O.F.M.



Na Wesołą Nutę

Medycyna

Rzecz dzieje się latem w Ciechocinku. W parku siedzą na ławce dwie starsze panie.

— A na co się pani leczy?...— pyta pierwsza.

—Na nic...

— Jak to?... A co pani lekarz mówi?

— Nic nie mówi. Nie chodzę do lekarza.

— Dlaczego?...

— Bo jestem zdrowa.

— Pani się tak zdaje!... Pani nie ma pojęcia, jakie postępy poczyniła ostatnia medycyna!... Niech pani idzie do lekarza, on na pewno znajdzie jakąś chorobę dla pani!...

Prymus

— Mamusiu, dzisiaj na lekcji historii nauralnej ja dałem najlepszą odpowiedź.

— A to ślicznie. I cóż ty takiego powiedziałeś?

— Powiedziałem, że struś ma trzy nogi.

— Ależ, Romciu, przecież struś ma dwie nogi.

— Tak, ale inni chłopcy odpowiedzieli, że ma cztery nogi.

Pierwsza pomoc

Lekcja fizyki w szkole powszechnej.

— Uważajcie, chłopcy — mówi nauczyciel — wchodzę do pokoju, przekręcam kontakt, ale światło nie zapala się; próbuję jeszcze raz — bezskutecznie... Co powinienem zrobić przede wszystkim?

— Zapłacić rachunek, panie profesorze!

Dwaj głusi

Dwaj starsi panowie, obaj z przytępionym słuchem, siadają za stołem w restauracji. Podbiega kelner i wita przybyszów:

— Szanowanie!

— Tak, tak — zgadza się pierwszy.

— A do tego kilka grzybków w occie, — dodaje drugi.

W szkole

— Jasiu, wiesz, chciałbym zostać czarownikiem.

— A co byś robił?

— Zaczarowałbym naszego nauczyciela, zamieniłbym go w kanarka i potem otworzyłbym okno.

O podatkach

Nauczyciel: — Bywają podatki pośrednie i bezpośrednie.—Frączkiewicz, daj przykład na podatek pośredni.

— Opłata od psów.

— Co? To ma być podatek pośredni? Mylisz się.

— Pośredni, bo go nie pies płaci, lecz człowiek.



PRAKTYCZNE RADY

Wazelina jako oczyszczający środek

Po skończonej pracy w fabrykach, koło gospodarstw itp. ręce bywają tak zanieczyszczone, że trudno jest wymyć je zwykłym sposobem; wazelina zaś ma tę własność, że wsiąkając do skóry, łączy się z brudem, który się wjada w ciało. To też zaleca się ręce zabrudzone natrzeć dobrze wazeliną, a następnie wymyć je w gorącej wodzie, zwyczajnym mydłem. Ręce po tej operacji będą zupełnie czyste, bez śladu brudu.

Jak wywabiać plamy z białego atłasu

Białą czystą watę umoczyć w ciepłym spirytusie i nacierać nią mocno plamę na atłasie, która wskutek tego prędko się ulotni. Tym sposobem dobrze jest bardzo czyścić białe atłasowe obuwie.

Plamy od farb olejnych i lakierów

Dają się wywabiać terpentyną, a następnie przeprać je w mydlinach.

Jak myć szyby w oknach

Zabrudzone szyby w oknach łatwo i prędko się zmywają następującym sposobem: do wody z mydłem wlać trochę spirytusu, rozmieszać dobrze, posmarować tym płynem okna i dać nieco przeschnąć. Poczem przetrzeć je miękkim gałganem lub lepiej bibułką i szkła będą zupełnie jasne i czyste.

Czyszczenie srebrnych przedmiotów

Srebrne przedmioty najlepiej się czyszczą gałgankiem umoczonym w amoniaku.

Matowe zaś lub ozdobione rzeźbą rzeczy szczoteczką. Jeżeli przedmiot jest pociemniały, w takim razie zaleca się rozprowadzić utłuczoną miałko kredę z amoniakiem i tym czyścić. Jak w jednym tak i w drugim razie, rzecz po wyczyszczeniu należy przemyć w ciepłej wodzie szczoteczką, a następnie wytrzeć gałganem do sucha.

Jak odświeżać meble politurowane

Meble nabierają znów pierwotny połysk, jeżeli się je dwa razy do roku wyciera spirytusem z olejem migdałowym (po równej części rozmieszać olej i spirytus).



1. Raz zagotowane potrawy gotować dalej na małym ogniu. Jeżeli gotujemy na gazie, oszczędzamy w ten sposób paliwo, unikamy przypalenia i konserwujemy smak i aromat potrawy.

2. Do kosztowania potraw posługiwać się jedną łyżką, nie wkładając tej, którą mieliśmy w ustach z powrotem do potrawy. Chcąc uniknąć uciążliwego ciągłego płukania łyżki, najlepiej czerpać jedną łyżką, kładąc drobną ilość jedzenia na drugą, będącą w pogotowiu.

3. Pokrywy z garnków kłaść zawsze odwrotną stroną ku górze. Postępując tak nie walamy stołu, a powtóre kurz i odpadki znajdujące się na stole lub płycie kuchennej, przyczepiwszy się do wewnętrznej strony pokrywy, nie spadają potem do garnka.

4. Nie kłuć widelcem mięsa ani surowego ani gotowanego, bo soki z niego uchodzą.

5. Nie pozostawiać resztek w rondelkach i garnkach. Resztki tłuszczu, czy sosu, choćby najmniejsze, rozpuścić, polać wodą i wlać do zupy.

WĄTROBA zawierając dużo żelaza, powinna być często podawana. Można ją przyrządzić w rozmaity sposób.

Wątroba zawiera 30 procent proteiny. Nie ma w niej kości, nie ma tłuszczu. Wątroba wołowa, cielęca, wieprzowa i barania, chociaż różni się w cenie, przedstawia jednakową wartość pożywną.

Najbardziej delikatny smak posiada wątróbka cielęca i przez to jest najpopularniejsza. Po cielęcej wątróbce idzie wątróbka wołowa, a dopiero potem barania i wieprzowa.

Żelazo jest bardzo ważne w diecie dla dzieci i dorosłych. Żelazo jest potrzebne przy odradzaniu komórek krwi i ich funkcjonowaniu.

Chude mięso, żółtka, suszone owoce, mączne potrawy i ciemne, zielone jarzyny są dobrym źródłem, dostarczającym żelazo do organizmu.

* ★ *



Warto wiedzieć, że...

Butelki po oliwie myje się za pomocą fusów, które poprzednio trzeba wysuszyć na talerzyku. Do butelki po jakimkolwiek tłuszczu wsypać wysuszone fusy i nalać ciepłą wodą. Fusy wyciągają tłuszcz tak dobrze, że wystarczy popłukać kilkakrotnie flaszkę ciepłą wodą, aby ją zupełnie wyczyścić.

Przestarzałe plamy znikają po zanurzeniu ich w occie lub po zamoczeniu w rozcieńczonym amoniaku.

Przypaloną żelazkiem bieliznę ratujemy przez nacieranie tych miejsc cebulą, po czym należy bieliznę dobrze wypłukać.

Rdzę wywabiamy w roztworze kwasu cytrynowego, dodanego do wody w proporcji 1:2. Bieliznę po tym należy dobrze wypłukać.

Do św. Franciszka Serafickiego

ZSTĄP z górnych niebios na tę biedną ziemię,
Skłóconą walką, skalaną zbrodniami,
Franciszku święty! i stań między nami,
Dźwignij swym wzorem Adamowe plemię;
Pośród zamętu, rozterki i trwogi
Wskaż mu bezpieczne odrodzenia drogi!

Ucz nas pokory, co do Boga zbliża,
Co każe chować prawa Jego wieczne,
Składać Mu hołdy synowskie, serdeczne,
I z Magdaleną rzuć nas do stóp Krzyża,
Naucz nas Zbawcę uwielbiać na ziemi,
Który zamieszkał w Hostii z dziećmi swymi.

Naucz miłości Boga i bliźniego,
Co każe w ludziach widzieć swoich braci,
I nieść im pomoc we wszelkiej postaci,
Tępić królestwo czarta przeklętego,
Niecić poganom biednym światło wiary
Przez misyj trudy, znoje i ofiary!

Naucz ubóstwa, co bogactw unika,
Lub ich używa zgodnie z wolą Bożą,
Niech dobroczynne zakłady się mnożą,
Niech głód i nędza z ulic naszych znika,
Niech wszyscy mają z dóbr ziemskich pożytki,
Ustaną krzywdy, nadużycia, zbytki!

Tyś rzeźbił duszę, ujarzmiałeś ciało,
Tyś na świętości wspinał się wyżyny,
Spraw, niech dziś ludzkość dba o święte czyny,
Niech pobożności zajaśnieje chwałą,
Niech się z pod jarzma zepsucia wyzwoli,
A będzie pokój ludziom dobrej woli!

Ks. Mateusz Jeż



MIESIĘCZNIK FRANCISZKAŃSKI

Z drukarni Ojców Franciszkanów w Pulaski, Wis. wychodzi już od roku 1907 popularne czasopismo katolickie p.t. **Miesięcznik Franciszkański.**

Za prenumeratę $1.50 rocznie, przeczytacie co miesiąc:

Uwagi Redakcyjne—Artykuły na czasie
Życiorysy Świętych—Powieści
Dział Tercjarski—Dział Pytań
Kącik dla Dzieci—Przykłady różne
Wiersze—Humor—Złote Myśli

Chętnie nadeślemy Wam (lub waszemu adresatowi) numer okazyjny, bo chcemy WSZYSTKICH przyłączyć do rodziny CZYTELNIKÓW NASZYCH.

KUPON PRENUMERUJĄCY

Imię i Nazwisko ____

Adres: ____

____

☐ Miesięcznik Franciszkański
$1.50 rocznie; $1.75 w Kanadzie; $2.00 zagranicą.

Franciscan Message ☐
$1.00 rocznie; $1.25 wKanadzie; $1.50 zagranicą.

FRANCISCAN MESSAGE

We began publishing the **FRANCISCAN MESSAGE** in July, 1947. Then, as now, it is **The Magazine of the Common Man to Answer the Problems of His Heart.** It is (and will be!) the magazine of the common man because it will try to suit

- **his pocketbook,**
- **his thought and language,**
- **his everyday interests,**
- **and his heart!**

Let Us Send You or Your Friends a Sample Copy and prove that we can be friends through the **Franciscan Message.**





Wyższa Szkoła Św. Bonawentury

Chłopcom i młodzieńcom polskim, pragnącym poświęcić się stanowi kapłańskiemu w Zakonie Franciszkańskim, lub też w kapłaństwie świeckim, polecamy Wyższą Szkołę Św. Bonawentury, zostającą pod zarządem OO. Franciszkanów.

Po bliższe informacje pisać należy na adres:

THE REV. RECTOR
ST. BONAVENTURE HIGH SCHOOL
STURTEVANT, WIS.